M. Ogniew

PAMIĘTNIK Kosti Riabcewa

PAMIĘTNIK
KOSTI RIABCEWA

N. OGNIEW

PAMIĘTNIK KOSTI RIABCEWA

Przełożył z rosyjskiego

H. R. WINLAN

WARSZAWA
BIBLJOTEKA GROSZOWA

Zakłady Graficzne „Drukarnia Bankowa"
Warszawa, Moniuszki. 11. telefon 190-93.

1923/24 ROK SZKOLNY

PIERWSZY KWARTAŁ

ZESZYT PIERWSZY

15 września 1923 r.

Mamy już połowę września, a lekcje jeszcze się nie rozpoczęły. Kiedy się rozpoczną — niewiadomo. Mówiono, że szkołę odnawiają, a tymczasem dzisiaj z rana byłem tam i widziałem, że nic nie robią, przeciwnie, nawet nikogo tam nie było i nie mogłem się z nikim rozmówić. Szkoła stoi otworem i zupełnie pusta. Po drodze kupiłem od jakiegoś chłopaka ten oto zeszyt zą trzy miljony.

Kiedy wróciłem do domu, pomyślałem sobie, że nie mam nic lepszego do roboty, i postanowiłem pisać pamiętnik. W tym pamiętniku będę zapisywał wszystkie bieżące wypadki.

Bardzobym chciał zmienić imię Konstanty na Władlen*) dlatego, że Kostków jest już za dużo.

---

*) Skrócone: Władimir Lenin.

Prócz tego Konstanty był to cesarz turecki, który zdobył miasto Konstantynopol, a ja pluję sobie na niego z wysokości szesnastego piętra, jak powiada Sieriożka Blinow.

Ale kiedy wczoraj wstąpiłem do milicji, powiedziano mi, że nie wolno zmieniać nazwiska przed ukończeniem osiemnastu lat. Muszę więc czekać dwa i pół roku. Szkoda.

16 września.

Zdawało mi się, że będę musiał myśleć nad tem co zapisywać w pamiętniku; tymczasem mam aż nadto do pisania.

Dziś rano wstąpiłem do Sieriożki Blinowa. Dowiedziałem się od niego, że lekcje rozpoczną się dwudziestego. Ale najważniejszą była nasza rozmowa o Linie G. On mi powiedział, żebym się koło niej nie kręcił, bo ona pochodzi z inteligencji, i mnie — synowi klasy pracującej — nie wypada zwracać na siebie powszechnej uwagi. Odpowiedziałem mu na to, że po pierwsze wcale nie zwracam na siebie powszechnej uwagi, po drugie Lina jest ze mną w jednej grupie i siedzi obok mnie, więc nic dziwnego, że się koło niej kręcę.

Na to Sieriożka odrzekł, że uświadomienie proletarjatu na to nie pozwala, a prócz tego, zdaniem szkrabów*) i wszystkich byłych uczko-

*) Skróc.: pracownicy szkolni.

mów*), mam na nią jakoby zły wpływ; że podobno zamiast się uczyć Lina włóczy się ze mną po ulicach i ideologja jej narażona jest na szwank.

— A wogóle—dodał Sieriożka—wszelkie łażenie z dziewczętami powinno ustać, jeśli się chce wstąpić do komsomołu**).

Wyłajałem go, wróciłem do domu i oto piszę w pamiętniku wszystko to, czego nie zdążyłem powiedzieć Sieriożce.

Lina nie istnieje dla mnie jako kobieta, tylko jako koleżanka; wogóle na wszystkie nasze dziewczyny patrzę poniekąd z pogardą. Są one bardzo pochłonięte szmatkami, fatałaszkami, tańcami, a najważniejsze są dla nich plotki. Gdyby za plotki zamykano w więzieniu, w naszej grupie nie byłoby ani jednej dziewczyny. A jeżeli nawet w zeszłym roku chodziłem z Liną do kina, to tylko dlatego, że nie miałem z kim chodzić. Lina tak samo, jak ja, lubi kino i niema w tem nic dziwnego.

20 września.

Nareszcie nastąpiło otwarcie szkoły. Był wielki hałas i zamieszanie. W naszej grupie mamy wszystkich dawnych chłopców, a z dziewcząt przybyły dwie nowe. Jedna blondyneczka z war-

---

*) Skróc.: komitet uczniowski a także członek komitetu uczniowskiego.

**) Komsomoł — związek młodzieży komunistycznej.

koczem i kokardą, która wygląda jak śmigło aeroplanu. Nazywa się Sylfida, chociaż jest tutejsza, a nie zagraniczna. Dziewczęta natychmiast przezwały ją Sylwą. Nazwisko jej — Dubinina. Druga — brunetka, o krótkich włosach, w czarnej sukni, wogóle cała czarna. Nigdy się nie śmieje. Cokolwiek jej powiedzieć, ona zaraz: „fu, fu-fu, fffu, f-f-f-u“ — sapie jak parowóz. Przytem wciąż chodzi zgarbiona i pochmurna jak cień. Nazywa się Zoja Trawnikowa.

27 września.

W naszej szkole ma być wprowadzony system Daltona. Jest to taki system, przy którym szkraby nic nie robią, uczeń musi własnym rozumem dojść do wszystkiego. Przynajmniej ja tak zrozumiałem. Lekcyj takich, jak dotychczas, nie będzie — a uczniom będą rozdawane prace do samodzielnego wykonania. Prace te mają być odrobione w ciągu miesiąca w szkole lub w domu a kiedy się je skończy, odpowiada się z tych przedmiotów w laboratorjum. Laboratorjum ma zastąpić klasę. W każdem laboratorjum siedzi szkrab, znawca swego przedmiotu; naprzykład w matematycznem sterczeć będzie Almakfisz, w przyrodniczem — Nikpetoż i t. d. Oni jak pająki, a my — jak muchy. Postanowiliśmy w tym roku — żeby łatwiej było wymawiać — skrócić imiona wszystkich szkrabów; Aleksy Maksymowicz Fi-

szer będzie odtąd Almakfisz, Nikołaj Piotrowicz Ożygow — Nikpetoż.

Z Liną nie rozmawiam. Podobno ma zamiar przenieść się na inne miejsce.

1 października.

System Daltona został wprowadzony. Pulpity zewsząd wyniesiono, zostawiono je tylko w jednej klasie; będzie tam audytorjum. Zamiast pulpitów przyniesiono długie stoły i ławki. Przez cały dzień wałęsałem się po tych laboratorjach z Wańką Pietuchowym i czułem się dość głupio. Szkraby też dotychczas nie zrozumiały należycie, jak to ma być z tym Daltonem. Najrozumniej jak zawsze zachował się Nikpetoż; przyszedł i miał z nami zwykłą lekcję; tylko że nie było pulpitów, a siedzieliśmy na ławkach. Obok mnie usiadła Sylfida Dubinina, a Lina—na zupełnie innym końcu.

A niech ją licho weźmie! Wcale mi na niej nie zależy!

Dzisiaj wszyscyśmy się uśmiali z Zoi Trawnikowej. Zaczęła opowiadać dziewczynkom, że nieboszczycy wstają w nocy z grobu i odwiedzają żywych. Nawet niektórzy chłopcy przysłuchiwali się temu. A Wańka Pietuchow zapytał:

— No, a ty sama widziałaś kiedy nieboszczyka?

— A jakże, widziałam.

— A jak wygląda nieboszczyk?—pyta Wańka.

— Jest taki siny i blady, jakgdyby dawno nie jadł — i jęczy.

Jednocześnie Zoja zrobiła straszną minę i zaczęła wywijać rękoma.

A Wańka powiada:

— Nieprawda, właśnie, że nieboszczyk jest szaro-buro-malinowy i kwiczy tak: ui, uii, uiii — i zakwiczał jak prosię.

Zoja obraziła się i zasapała jak parowóz, a chłopcy wybuchnęli śmiechem.

3 października.

Z Daltonem sprawa stoi zupełnie źle. Nikt nie rozumie, o co tam chodzi, ani szkraby, ani my. Szkraby co wieczór zbierają się na naradę, a tymczasem wprowadzono tylko jedną zmianę; ławki zamiast pulpitów — i nie mamy gdzie chować książek. Nikpetoż powiada, że to teraz niepotrzebne, ponieważ książki, dotyczące każdego przedmiotu, leżeć będą w oddzielnych szafach, w laboratorjach — i uczniowie w miarę potrzeby sami brać je będą stamtąd. Ale dotychczas w laboratorjach szaf niema.

Chłopcy powiadają, że był jakiś lord Dalton pochodzenia burżuazyjnego i że to on właśnie wymyślił ten system. Po jakiego licha tem system burżuazyjny! I jeszcze mówią, że kiedy układał ten system, to się odżywiał tylko gęsiemi wątróbkami i galaretą. Niechby tak spróbował ósemkę

chleba i wobłę! Zobaczylibyśmy wtedy! Albo kazać mu tak chodzić po prośbie na wsi, jak nam w kolonjach! A kiedy się jada gęsie wątróbki, to nie sztuka robić wynalazki.

Sylfida wciąż się kręci, i siedzieć obok niej jest bardzo niewygodnie. Kilka razy posłałem ją do djabła, a ona w odpowiedzi nazwała mnie draniem. Zapytałem dziewczęta, jakiego jest pochodzenia. Jest to córka zecera. Szkoda, że nie jest burżujką, pokazałbym jej wtedy!

4 października.

Dzisiaj mieliśmy ogólne zebranie w sprawie samorządu. Mówiło się o tem, jakie były braki w zeszłym roku i co trzeba zrobić, żeby je usunąć. Największa wada — to istnienie dziennika karnego. Wszystkie uczkomy, nawet najlepsze, przy byle głupstwie zaraz grożą dziennikiem karnym. Ale nic się od tego nie zmienia. Wkońcu postanowiliśmy znieść ten dziennik na jeden miesiąc. Zobaczymy, co z tego będzie. Była wielka uciecha i krzyczano „hura"!

A Zoja Trawnikowa wszystkich rozgniewała. Wstaje i powiada swoim grobowym głosem:

— Mojem zdaniem, należy zostawiać w kozie po ciemku, zwłaszcza chłopaków. Inaczej nikt sobie z nimi nie da rady.

Powstał zamęt, zaczęto gwizdać, wszyscy się oburzyli, ale ona przeprosiła nas i powiedziała, że

to był żart. Ładny żart, niema co mówić! Ona cała od stóp do głów jest czarna, i dlatego przezwano ją Czarną Zoją.

Po ogólnem zebraniu odbyło się zebranie nowego uczkomu, który wybrano na miesiąc.

5 października.

Dzisiaj zaszło coś takiego, co oburzyło całą naszą grupę. Przyszła nowa szkrabka, przyrodniczka, Jelena Nikiticzna Kaurowa czyli Jelnikitka, jak ją przezwaliśmy. Daje nam do odrobienia pracę, zwraca się do nas i mówi: — Dzieci! — Wstałem wtedy i powiadam: — Nie jesteśmy dziećmi. — A ona na to: — Oczywiście jesteście dziećmi, i inaczej nazywać was nie będę. — Ja mówię: — Zechce pani być grzeczniejszą, inaczej poślemy panią do djabła. — Oto wszystko. Grupa trzyma moją stronę, a Jelnikitka, cała czerwona, powiada: — W takim razie proszę wyjść z klasy. — Ja jej na to: — Po pierwsze to nie klasa, a laboratorjum, a po drugie u nas niema zwyczaju wypędzać ucznia z klasy. — A ona: — Grubjanin! — A ja: — Pani jest jak nauczycielka starej szkoły; one miały prawo tak postępować. — Oto, co zaszło. Cała grupa jest po mojej stronie, a Jelnikitka wybiegła jak oparzona. Dopiero to będzie skandal! Wtrąci się uczkom, potem szkrabówka (ogólne zebranie szkrabów), a potem rada szkolna. A podług mnie wszystko to jest drobnostka, a Jelnikitka jest poprostu głupia!

W starej szkole szkraby znęcały się nad dziećmi, jak im się podobało, ale teraz nie pozwolimy na to. Nikpetoż czytał nam w „Szkicach o Bursie", jak dawniej nawet dorosłych chłopców bito na progu klasy, a sam czytałem w rozmaitych książkach, jak kazano kuć lekcje, a uczniom nadawano rozmaite przydomki i przezwiska.

Ale zato ówczesne dzieci nie miały pojęcia o takich czasach, jak nasze. Myśmy zaznali głodu i chłodu, patrzyliśmy na ruinę całego życia, niektórzy z nas utrzymywali rodziny; jeździliśmy sami tysiące wiorst po mąkę; są i tacy, którzy brali udział w wojnie cywilnej. Niema jeszcze trzech lat, jak wojna się skończyła.

Po awanturze z Jelnikitką myślałem dużo o tem, co zaszło. Żeby wyjaśnić sobie, czy miałem rację, chciałem pomówić z Nikpetożem, ale był zajęty. Laboratorjum jego było pełne uczniów. Poszedłem więc do laboratorjum matematycznego, do Almakfisza — i powiedziałem mu, co myślę o naszem życiu. On dał mi jakąś dziwną odpowiedź; mianowicie powiedział, że wszystko, cośmy przeżyli, ilościowo jest dowodem bogactwa epoki, a jakościowo stoi poza dobrem i złem.

Zupełnie nie o to mi chodziło. Chciałem tylko mu dowieść, że nauczyciele nie mają prawa postępować z nami jak z dziećmi albo pionkami, ale nie dogadałem się z nim, bo przyszli chłopcy po wskazówki z matematyki.

Nie rozumiem, dlaczego Almakfisz skierował rozmowę na dobro i zło. Mnie się zdaje, że niema ani dobra, ani zła; co dla jednego jest dobrem, to dla drugiego złem i odwrotnie; jeśli kupiec zarabia na towarze sto procent, to dla kupca jest to dobre, a dla kupującego — złe. Tak przynajmniej wynika z politnauki*).

6 października.

No, nie pożałowali nam tematów do opracowania! W ciągu miesiąca, a nawet wcześniej, bo już na pierwszego listopada trzeba przeczytać moc książek, napisać dziesięć referatów, zrobić wykresy, w dodatku jeszcze przygotować się do ustnych odpowiedzi. Właściwie nie odpowiada się, lecz odbywa się pogawędka z nauczycielem na dany temat. Każdy uczeń ma inny temat do opracowania. Prócz tego mamy prace praktyczne z fizyki, chemji i elektrotechniki — czyli trzeba jeszcze cały tydzień sterczeć w laboratorjum fizycznem.

Dzisiaj wezwano do uczkomu mnie i Sylfidę. W uczkomie zasiada Sieriożka Blinow i inni. Okazuje się, że Sylfida naplotkowała na mnie; nagadała, że jej wymyślam najgorszemi słowami jak w ogonkach. Jest to wierutne kłamstwo. Kiedy-

*) Politnauka — są to ogólne wiadomości o polityce, wyłożone w duchu komunistycznym; stanowią jeden z głównych przedmiotów, wykładanych w zakładach naukowych Rosji Sowieckiej.

śmy wychodzili, pociągnąłem ją za kokardę; ona zaraz w bek i uciekła. Doprawdy, siedzieć obok dziewczyny — to niemały kłopot! Jutro zmienię miejsce.

7 października.

Szkrabówka postanowiła przekazać naszą sprawę z Jelnikitką radzie szkolnej, która znowu ma ją przedstawić na ogólnem zebraniu. Ogólne zebranie odbędzie się jutro. Niewiadomo, jak się to wszystko skończy, ale nie pozwolimy siebie nazywać dziećmi.

Dzisiaj ukazał się pierwszy numer ściennej gazety „Czerwony Uczeń". Wszyscy byli bardzo zaciekawieni, ale potem okazało się, że to bujda. Artykuliki nudne; wszystkie tylko o tem, żeby się uczyć i żeby się dobrze sprawować. Do Komisji Redakcyjnej wchodzi Sieriożka Blinow i inni.

Otrzymałem taki liścik: — Napróżno robisz miny; żadna z dziewcząt nie chce się z Tobą zadawać. — Nawet nie wiem, jak to się robi miny. Na pewno napisała to Lina. Zaprzyjaźniła się z tą nową dziewczynką, czarną Zoją; obie siedzą wciąż koło pieca i szepczą do siebie. Nawet wtedy, kiedy wszyscy się bawią, one sterczą koło pieca. Na pewno bardzoby chciały, żeby któryś z nas przystawiał się do nich, a tymczasem chłopcy wcale nie zwracają na nie uwagi. Ktoby tam chciał!

Czarną Zoję przezwano jeszcze faszystką dla-

tego, że faszyści też się zawsze czarno ubierają. Ona nie rozumie, co to znaczy, i złości się. Wogóle nasze dziewczyny na polityce znają się mniej niż chłopcy.

8 października.

W tej chwili wróciłem ze szkoły. Właśnie skończyło się ogólne zebranie, na którem rozpatrywano moją sprawę z Jelnikitką. Najrozumniej przemawiał Nikpetoż. Powiedział, że wszystko to jest drobnostką, że każdy pracownik szkolny musi umieć sobie radzić z dziećmi, a Jelena Nikiticzna jeszcze nie wyrobiła sobie systemu, ale zczasem wyrobi. O mnie szkraby powiedziały, że jestem ordynarny chłopiec i że trzeba postarać się wpłynąć na mnie. A Zinaidyszcza, czyli Zin-Pałna — nasza kierowniczka, powiedziała, że jestem chłopiec głęboki, ale nie panuję nad swemi instynktami. Jak się panuje nad instynktami — nie wiem, ale nie znoszę, kiedy nazywa mnie chłopcem. Ale z Zinaidyszczą niełatwa sprawa; w razie czego zawoła do pokoju i porządnie nagada. Po takiej reprymendzie człowiek traci humor na cały dzień.

Na ogólnem zebraniu ni stąd, ni zowąd zabrała głos faszystka Zoja Trawnikowa i powiedziała, że ze mną nie można dojść do ładu, że się przylewam do dziewcząt i t. d. To mnie oburzyło. Po pierwsze nie powiedziałem do niej ani słowa, po drugie nie może dać żadnych dowodów.

Cała grupa zasykała na nią, bo to jest wbrew wszelkim zasadom szkolnym — występować na ogólnem zebraniu przeciwko własnemu koledze.

Wkońcu uchwalono, że mam przeprosić Jelnikitkę, a ja zażądałem, żeby przedtem ona przeprosiła nas za to, że nazwała nas dziećmi. Teraz sprawa pójdzie na radę szkolną. A ja myślę, że Jelnikitka wsypie mnie teraz z przyrody, ot i wszystko.

Wracałem do domu z Wańką Pietuchowym; powiada on, żebym się nie ukorzył, bo to jeszcze gorzej. Wańka handluje papierosami, ale nie ma patentu. Starszy milicjant wypędzał go z rogu ulicy, ale Wańka wciąż wracał; wreszcie tamtemu znudziło się, i Wańka handluje teraz, ile mu się podoba. Bez handlu Wańka nie utrzymałby się, bo ma chorą ciotkę i siostrę, a on sam jeden w rodzinie zarabia — w dodatku musi się uczyć. Jak to dobrze, że mój ojciec jest krawcem i że ma tylko mnie jednego — inaczej i ja musiałbym handlować papierosami.

10 października.

Dziś Jelnikitka wykładała w audytorjum, a Sylwa siedziała przy mnie i wciąż się kręciła; nieumyślnie pchnąłem ją łokciem, a ona zapiszczała. Jelnikitka nazwała mnie chuliganem; zapytałem, co to jest chuligan, jak mam to rozumieć, a ona nie umiała odpowiedzieć, jak należy. Spytałem potem

Nikpetoża i dowiedziałem się, że chuligan jest to człowiek, który krzywdzi innych bez wszelkiego pożytku dla siebie. A czem ja skrzywdziłem Sylwę? W kaszę jej nadmuchałem czy co?

11 października.

Dziś wyszło, niewiadomo w jaki sposób, nowe pisemko ścienne IKS. W tym IKS-ie nikogo nie oszczędzono: ani szkrabów, ani Daltona, ani dziewcząt, które potajemnie tańczą — a najwięcej dostało się „Czerwonemu Uczniowi". O Daltonie umieszczono wiersz, który mi się tak podobał, że go przepisałem.

Sen.

Bracia! Niegdyś w dawnych czasach
Miał faraon dziwny sen:
W szmaragdowych morza masach
Ujrzał siedem tęgich krów,
Żółtych, burych, białych, czarnych,
I naliczył siedem głów.
Ale zachwyt trwał niedługo,
Nagle błysło, huknął grzmot,
I rozwarło się dno morza,
Z wody wyszło siedem krów,
Suchych, głodnych, wychudzonych,
Porostami oblepionych.
Widać na nic się nie zdały
I wypędził je pan wód...
Niewesołe widowisko,
Rozbestwione, dzikie, wściekłe,

Lecą, pędzą, już są blisko,
Straszne ślepia krwią nabiegłe...
Biedne, ciche, tłuste krowy
Giną w paszczach chudych sióstr...
Odrzuciwszy żart na stronę,
Faraona sen zawiły
Wytłumaczył Józef miły.
A czy znajdzie się kto taki,
Ktoby mój odgadnął sen?
Śniła mi się jakaś szkoła,
Która miała aż pięć klas...
Młodzież była tam wesoła,
Hoża, zdrowa, pełna sił,
I nauka nie kulała,
Nagle błysło, huknął grzmot,
I jak bomba oszalała
Wpadł do szkoły Dalton, lord...
Z nim 103 laboratorja,
Wszystkie puste, ciemne, złe,
I pożółkłem jak cykorja,
Kiedym we śnie ujrzał je.
I napadły rozbestwione
Na chłopaczków biedny rój,
I pożarły nieszczęśliwych,
Aby głód nasycić swój.
Lecz zostały nadal puste,
I tak stoją niby pień,
A nad niemi się unosi
Lorda cichy, blady cień.
I zbudziłem się spocony
I wydałem okrzyk ten,
— Czy się znajdzie drugi Józef,
Żeby mój wyjaśnił sen?

Chodzi o to, że laboratorja dotychczas świecą pustkami. Wprawdzie wszystkie książki z dziedziny politnauki przeniesiono do laboratorjum społecznego, a do przyrodniczego — akwarjum i zbiory przyrodnicze, ale na tem się skończyło. A tymczasem każde laboratorjum powinno mieć wszystkie odpowiednie książki i pomoce szkolne. Dopiero wtedy uczeń będzie mógł swobodnie korzystać z tego, co mu potrzeba, i dobrze opracować materjał.

12 października.

Podczas przerwy obiadowej graliśmy w sali „w łapeć". „Łapeć" jest to zimowa gra w rodzaju futbolu. Łapeć przechowujemy pod schodami, a wyciągamy go stamtąd wtedy, kiedy rozpoczyna się zabawa. Gra w łapeć polega na tem, że tworzymy koło i z całej siły uderzamy łapeć nogami, żeby wyrzucić go z koła. W środku koła stoi jeden z nas i stara się schwytać łapeć. Jeżeli schwyta, staje na miejscu tego, kto ostatni uderzył nogą. I otóż bawimy się, łapeć lata dookoła jak aeroplan, nagle ja uderzyłem nogą, łapeć wyleciał poza koło i trafił w twarz Zinaidyszczy, która właśnie wchodziła do sali. Jak się rozgniewała! Tupnęła nogą — to jest jej zwyczaj — i krzyczy: — Proszę przestać! Kto to zrobił? — Wszyscy umilkli. Tu dopiero zaczęła nudzić jak zwykle.

— Myślałam — powiada — że w naszej szkole

winowajca sam się przyznaje do winy, a jeżeli tego nie robi, to jest uważany za tchórza i t. p. — Nie wytrzymałem i powiedziałem: — Naturalnie, winowajca powinien się przyznać, ale na czem polega jego wina? — Na tem — powiedziała Zinaidyszcza—że pozwala sobie na zbyt gwałtowne ruchy i nie liczy się z tem, że może komuś wyrządzić krzywdę. — Powiedziałem, że to ja zrobiłem. Zinaidyszcza zbliżyła się do mnie, chwyta mnie za rękę i powiada: — Chodźmy. — Dziwnie jakoś osłupiałem i poszedłem za nią do pokoju nauczycielskiego. Dopiero tu zaczęła mnie piłować na dobre. A ja tego nie znoszę. Powiedziałem jej: — A od czego mamy samorząd, jeżeli szkraby wtrącają się do wszystkiego i wciąż nas łają? Niech się pani zwróci do uczkomu, już on będzie miał ze mną do czynienia. — A ona mi na to: — Przedewszystkiem proszę nie zapominać, że jeszcze nie jesteś człowiekiem, a dopiero poczwarką i nie możesz jeszcze odpowiadać za swoje czyny. — I znowu zaczęła mi świdrować dziury w brzuchu.

Kiedy się wreszcie odczepiła, było już po przerwie obiadowej i gra w „łapeć" była skończona. Gdybym się przyjaźnił jak dawniej z Sieriożką Blinowym, poszedłbym do niego pomówić o sprawie samorządu i szkrabów. A tak nie mam z kim. Chyba z Wańką Pietuchowym.

Już dawno miałem zamiar zapisać się do ja-

czejki, ale nasza jaczejka nic nie robi. Gdyby chciała, mogłaby zmniejszyć forsę szkrabom, a tymczasem nie wtrąca się zupełnie do spraw szkolnych. Wstęp na posiedzenia jaczejki jest wolny, ale są one tak nudne, że nikt z bezpartyjnych nie przychodzi. Na porządku dziennym zawsze tylko polityka i twórczość — jak nudna lekcja. — A jeżeli ktoś z uczniów ma referat, to poprostu zasnąć można.

13 października.

Było posiedzenie rady szkolnej. Omawiano moją sprawę z Jelnikitką. Zinaidyszcza też przylazła i opowiedziała historję z łapciem. Postanowiono roztoczyć nade mną opiekę moralną. Nikpetoż zaprowadził mnie do pustego laboratorjum i rozpoczął ze mną rozmowę. Ale nie powiedział ani słowa o moim charakterze, tylko mówił o Daltonie; mianowicie, że nauczycielstwo inaczej się teraz zapatruje na nauczanie niż dawniej. Dawniej chodziło o to, żeby uczniowi jak najwięcej napchać do głowy, a po ukończeniu szkoły wszystko to odrazu wietrzało. Trzeba było jakgdyby napełnić puste naczynie, ale czem — na to oni sobie pluli z wysokości szesnastego piętra. A teraz uczeń jest czemś w rodzaju ogniska, które trzeba tylko rozniecić, a palić się już samo będzie. Właśnie system Daltona wprowadzono dlatego, żeby nauczyć ucznia myśleć samodzielnie. Odpowiedziałem, że

to jest rzecz trudna i że na 1-go listopada na pewno nikt jeszcze nie złoży gotowej pracy; ale Nikpetoż twierdzi, że nie o to chodzi, to jest drobnostka — i że koniec końców wszyscy zrozumieją pożytek systemu Daltona. — Ja jednak dotychczas nie rozumiem go.

Zapytałem Nikpetoża, jakiego jest o mnie zdania, czy jestem chuliganem; odpowiedział, że nie, ale że mam pewną szorstkość, która z wiekiem przeminie.

Wyszedłem od Nikpetoża z uczuciem ulgi w sercu i, przyśpiewując sobie, poszedłem przeprosić Jelnikitkę. Zbliżam się do laboratorjum przyrodniczego — jak stamtąd wyskoczy Jelnikitka jak zacznie mnie łajać — że sam nic nie robię, że innym przeszkadzam i wogóle w tym rodzaju. Obraziłem się, pokazałem jej figę i odszedłem. Znowu zacznie się włóczenie po radach szkolnych — znowu wezwą do szkoły ojca... Niech ich licho weźmie! Według mnie, Jelnikitka nie roznieca ogniska, a raczej je gasi.

Dzisiaj znowu otrzymałem liścik. — Chociaż w tobie kocha się jedna dziewczyna, ale nie myśl, że jesteś bardzo zajmujący. I przestań wreszcie wymyślać, bo już nikt nie chce się z tobą zadawać. — Zapewne znowu Lina.

15 października.

Wczoraj była niedziela i poszedłem do kina z Sylwą. Dlaczego właściwie z Sylwą? Dlatego,

że ona dostaje skądciś kontramarki. Wyświetlano obraz „Wyspa Rozbitych Okrętów". W foyer zobaczyłem Linę i Czarną Zoję; zaprzyjaźniły się i wciąż coś szepczą do siebie. I nagle po przedstawieniu Lina zbliża się do mnie i mówi:

— Chodź na chwilę.—Podszedłem do niej, a Sylwa w tej chwili uciekła do domu. Lina powiada:

— Chociaż ze mną nie rozmawiasz, muszę ci powiedzieć, że niedługo przestaniesz mnie zupełnie widywać. A teraz powiedz ode mnie twojej Sylwie, że jej nienaw—w—widzę!

Odwróciłem się i przeszedłem obok Czarnej Zoi, która stała jak posąg. Czemu one mnie zaczepiają? Czego chcą ode mnie?

20 października.

Wciąż mamy wycieczki — albo do fabryk, albo do muzeów. Nie mam czasu na pisanie.

22 października.

IKS wychodzi w dalszym ciągu, ale nikt nie wie, kto tam pisze. Chyba starsze grupy. A teraz jeszcze z rąk do rąk przechodzi DDX, to znaczy dodatek do IKS'a, lecz z surowem zastrzeżeniem, żeby nie wpadł do rąk szkrabów. W DDX są takie sprośności, że można umrzeć ze śmiechu.

23 października.

Jakimś sposobem DDX dostał się do rąk Nikpetoża. Nikpetoż nagle rozgadał się o miłości

i o stosunkach między mężczyzną i kobietą, jakgdybyśmy sami o tem nie wiedzieli. Uderzyło mnie to, co powiedział, mianowicie, że miłość jest to kwitnący ogród, a kto z miłością łączy sprośności, ten zaśmieca ten ogród. Wołodźka Szmerc zapytał, czy aby naprawdę kwitnący ogród, a Nikpetoż odrzekł, że naprawdę nietylko kwitnący, ale jeszcze jasny, promienisty, złoty i srebrny. Chłopcy zaśmiali się, dziewczęta zaczęły sykać na nich, a Czarna Zoja, faszystka, wstaje i mówi:—A prócz tego miłość trwa do grobu. — Jakto do grobu?— zapytał Nikpetoż. — A ona: — Nietylko do grobu, ale nawet dłużej; znałam człowieka, który kochał umarłą dziewczynę. — Przytem zrobiła taką straszną minę, jakgdyby sama była nieboszczykiem. Nawet chłopcy przestali się śmiać. A Nikpetoż powiedział, że to jest rzecz nienaturalna; że ciało nieboszczyka tak prędko się rozkłada i obraca w proch, że o miłości do umarłych nie może być mowy.

24 października.

Wkrótce trzeba będzie oddawać prace za październik, a tymczasem nic jeszcze nie przygotowałem. Przeklęty Dalton! Jakgdyby mi głowę napchano watą. Nie przypuszczałem, że tak trudno jest pracować samodzielnie.

25 października.

Zaczęto wydawać nową gazetę ścienną pod tytułem „Katuszka". Wydaje ją „Zjednoczony kolektyw młodszych grup".

Gazeta wywołała duże zainteresowanie, ponieważ odrazu ogłosiła ankietę: „Czy w naszej szkole dziewczynka i chłopiec mogą się przyjaźnić?"

Przepisałem odpowiedzi, które były wywieszone na ścianie obok gazety:

1) Mogą, jeżeli charaktery się zgadzają.

2) Dziewczynka nie może przyjaźnić się z chłopcem dlatego, że chłopcy i dziewczęta mają zupełnie inne charaktery i zainteresowania (to napisała faszystka).

3) Myślę, że to jest możliwe, ale nie dla wszystkich. Jak tylko wytworzą się dobre stosunki między chłopcem a dziewczyną, ze wszystkich stron rozpoczynają się drwiny, i to zmusza do zerwania. Ludzie zaraz inaczej rozumieją te stosunki.

4) Nie, dziewczęta to zbiór sprzeczności (to ja napisałem).

5) To byłoby możliwe, gdyby niektóre dziewczynki nie traktowały chłopców pogardliwie i nie obniżały tym sposobem powagi chłopców wobec innych dziewczynek.

6) Trudno jest odpowiedzieć na to pytanie.

Ja, naprzykład, rozróżniam dwa rodzaje przyjaźni: po pierwsze między chłopcami a dziewczynkami powinna istnieć przyjaźń ogólna, kolektywna, która, mojem zdaniem, jest zupełnie możliwa. Jest jeszcze inny rodzaj przyjaźni — przyjaźń poszczególnych osób, których charaktery zgadzają się. Ta przyjaźń też może istnieć między chłopcem i dziewczyną, ale oczywiście, nie wszystkie dziewczyny i nie wszyscy chłopcy są zdolni do takiej przyjaźni. A wogóle przyjaźń jest czemś wzniosłem, i nie należy z niej kpić.

7) Podług mnie, w naszych czasach jest to niemożliwe, ponieważ wszelka przyjaźń wkońcu przechodzi w silniejsze uczucie z jednej lub z drugiej strony. (To napisała Lina, sam widziałem).

26 października.

Stało się dziś coś bardzo smutnego. Zoję Trawnikową oddawna przezwano „faszystką" i „Czarną Zoją". Nikt już nie zwracał na to uwagi, tylko ona wciąż się obrażała. I otóż dziś w audytorjum Nikpetoż opowiadał nam szczegółowo o Mussolinim i o faszystach — o tem, jak czarne koszule zdobyły Rzym i jak się potem znęcały nad komunistami. Podczas przerwy obiadowej chłopcy zmówili się, okrążyli Zoję i zaczęli śpiewać:

„Nie boimy się faszystów — pójdziemy na bagnety".

Zoja z początku rozbeczała się, potem za-

częła się bić, a myśmy się śmiali; nagle runęła na podłogę... W tej chwili przerwaliśmy śpiew, podchodzimy do niej, a ona leży jak martwa: twarz blada, zęby ściśnięte. Przestraszyliśmy się bardzo, pobiegliśmy po wodę, skrapiamy ją, a ona wciąż nie wraca do przytomności. Wtem przybiega Jelnikitka, która akurat miała dyżur, wyłajała nas i kazała przynieść z apteczki amonjaku. Przynieśliśmy; Jelnikitka dała jej do powąchania, i Zoja zaczęła powoli odzyskiwać przytomność. Wtedy Jelnikitka znowu napadła na nas i przepędziła wszystkich.

Po tym wypadku Nikpetoż jako kierownik grupy zebrał nas w audytorjum i miał z nami pogawędkę w sprawie przezwisk; trzeba było wyjaśnić, jakie kto ma przezwisko. Okazało się, że każda z dziewcząt ma po kilka przezwisk, a chłopcy — mniej. Jedną z dziewczynek przezywano: sobaka, kiszka, czupiradło, kapusta.

Sprzeczaliśmy się długo, wreszcie postanowiono, że jeżeli ktoś nie zgodzi się na swoje przezwisko, to go się więcej tak nazywać nie będzie. Dziewczęta zaczęły hałasować i jedna za drugą zażądały, żeby im nie dawać żadnych przezwisk. Wszystko to zostało zanotowane.

A podług mnie jest to duch starej inteligencji. Ot, np. mnie przezwano kozłem, a przecież się nie obrażam.

27 października.

Utworzono w szkole oddział młodych pionierów. Trzeba składać uroczyste obietnice, potem maszerować dookoła sali, dalej — nie palić i inne podobne rzeczy. Zapisali się wszyscy ci, którzy się lubią popisywać. A podług mnie, to jest dobre tylko dla małych dzieci, bo im dają czerwone krawaty. A ja lepiej poczekam, aż mnie przyjmą do komsomołu. Bo z przekonań jestem komunistą.

Zoja i Lina nie zapisały się do pionierów; mówią, że pionierzy nie wierzą w Boga. Opowiadają to innym dziewczynkom. Obie są nieuświadomione idjotki dlatego, że świat powstał z komórki, a nie stworzył go Bóg; to może być dowiedzione. Podczas pogawędki z Jelnikitką o mojej pracy, jaką mi dała do opracowania za listopad, zapytam ją o Boga. Ona, jako przyrodniczka, powinna mi to wytłumaczyć.

29 października.

Rozmowa z Sieriożką Blinowym. On mi powiada: — Chociaż wchodzę w skład uczkomu, to jednak uważam nasz samorząd za lichy. Co to za samorząd, jeżeli wszystko musimy robić według wskazówek szkrabów. Mamy jeszcze zbyt dużo naleciałości starej szkoły, np. przymusowe witanie się. Ilekroć spotykamy szkraba — jeżeliśmy go jeszcze tego dnia nie widzieli — musimy się ukło-

nić. To jest niesłuszne, bo uczeń może w tej chwili nie być do tego usposobiony. Albo obowiązek wstawania, kiedy szkrab wchodzi do klasy. Wprawdzie dla nas to nie ma wielkiego znaczenia, dlatego, że klas nie mamy, a w audytorjach bywamy rzadko. Zgodziłem się z nim zupełnie. Sieriożka zapytał, czy będę po jego stronie, jeżeli on wystąpi przeciwko takiej formie samorządu. Odpowiedziałem, że tak. Właściwie mówiąc, nie mamy żadnego samorządu. Jeżeli uczkom coś uchwali, to uchwała jest rozpatrywana naprzód na szkrabówce, a później na radzie szkolnej; dopiero—kiedy rada szkolna zatwierdzi, uchwała staje się obowiązującą. Albo też, naprzykład, każdy ze szkrabów ma prawo piłować ucznia, jak mu się podoba. Nieraz doświadczyłem tego na sobie.

30 października.

Dziś znowu Czarna Zoja zemdlała. Jak zwykle siedziała z Liną przy piecu, a potem pokłóciły się czy co; nagle Zoja bęc na podłogę. Znowu naznosili wody i amonjaku. Ledwo ją docucili. Zinaidyszcza wezwała Zoję do pokoju nauczycielskiego i długo z nią rozmawiała. Dziwna dziewczyna ta Zoja! Podług mnie, za dużo myśli o nieboszczykach; dlatego ciągle mdleje.

31 października.

Jutro jest termin oddawania prac w szkole. Wczoraj siedziałem przez całą noc, dziś też trzeba

będzie. Najgorsze jest to, że niema książek. Z laboratorjów i bibljotek wszystkie książki są wzięte, bo wszystkim są potrzebne. Skąd je wziąć? Na kupowanie nie mam pieniędzy. Dziś będę robił wykresy z nauk społecznych. A jednak niepotrzebnie wprowadzono system Daltona!

ZESZYT DRUGI

1 listopada.

Oczywiście wsypałem się z matematyki, z fizyki — a z przyrody nawet nie próbowałem odpowiadać. To ma się nazywać „zadłużenie". Kiedy oddam prace, wszystko będzie w porządku, a do tego czasu nie postawią mi krzyżyka. A jednak jest mi głupio; więcej niż połowa grupy odpowiadała ze wszystkich przedmiotów. U Nikpetoża, naturalnie, zdałem; podałem też wykresy.

Rozpoczęto przygotowania do uroczystości październikowych. Jestem wybrany do komisji. Prócz mnie — z naszej grupy Sylwa D.

3 listopada.

Postanowiliśmy przybrać gmach szkolny zielenią i chorągwiami. Szkraby powiedziały, że się nie będą wtrącać, że wszystko mamy robić sami. Jak to dobrze! Bez szkrabów będzie byczo! Okazuje się, że Sylwa nie jest ani taka głupia, ani ta-

ka inteligentka, jak myślałem. Tańczyć nie lubi. A kokardę, która przypomina śmigło, nosi dlatego, że matka tak każe. Radziłem jej, żeby nie zwracała na to uwagi, a ona powiada, że kocha matkę i dlatego słucha się jej. Ja niezupełnie rozumiem, jak można nosić kokardę wbrew swoim przekonaniom. Za nic w świecie nie włożyłbym kokardy, choć tatkę swego bardzo kocham i szanuję.

Jutro jedziemy za miasto po choinki! Hurra!!!

5 listopada.

Wszystko jest już prawie gotowe. Nad głównem wejściem mamy wspaniałą iluminację w kształcie czerwonej gwiazdy. Wszystkie laboratorja, sale i audytorjum przybraliśmy choinami i chorągwiami. Wszyscy chwalą; jestem zadowolony.

7 listopada.

Wszyscy poszli na demonstrację, nawet tatko. Ja zostałem w domu. Leżę w łóżku, nie mogę chodzić. Wczoraj wlazłem na dach, żeby przymocować napis: Niech żyją Sowiety! — i spadłem stamtąd. Rozciągnąłem ścięgno w nodze. Bardzo to bolało. Teraz jest mi już lepiej, ale nie mogę wstać. A Sylwa zaraz tam na trotuarze zdjęła mi obuwie i zaczęła rozcierać mi nogę. Z początku wyrywałem się, a potem przestałem; nawet było mi przyjemnie.

Potem Sylwa zawołała Wańkę Pietuchowa

i innych, skądcić wydostała nosze, i zanieśli mnie do domu. A więc i dziewczęta mogą być dobrymi kolegami. Trzeba to zapamiętać i pomówić o tem z Wańką Pietuchowym.

A teraz nie mam nic lepszego do roboty i będę pisał o wszystkich. Wańka Pietuchow to wielki spryciarz. Pierwszego listopada wszyscy zdawali u Almakfisza z matematyki — a zdawać wolno, kiedy się chce. Wańka nie przyszedł; potem się dowiedział, z czego się Almakfisz najwięcej pyta, i poszedł dopiero trzeciego. To samo zrobił z innemi przedmiotami. I teraz Wańka zupełnie nie ma „zadłużenia". Jabym tak nie mógł; przecież takim sposobem nie rozpalimy ogniska. Trzeba wszystko samemu zgłębić, jak należy, wtedy dopiero w głowie coś zostanie.

A tymczasem uczniowie, stojąc przed laboratorjum, wciąż szepczą: o co pyta? o co pyta? Typowa stara szkoła z egzaminami.

A teraz o tem — który ze szkrabów kogo prześladuje.

Jelnikitka nie znosi mnie, a Almakfisz — Sylwy. Wsypał ją z matematyki i z fizyki. Ona zaraz w bek. Almakfisz jest bardzo złośliwy. Sylwa powiada, że wciąż ją drażnił kokardą.—Kokardy — powiada — umiesz nosić, a z matematyką jest kiepsko.—Podług mnie, nie ma prawa tak mówić. Takie prawo mieli tylko nauczyciele starej szkoły.

A Zinaidyszcza prześladuje Wańkę Pietuchowa. Nazywamy ją Zinaidyszczą, dlatego, że jest bardzo wysoka. Kiedy przechadza się po sali, zdaje się, że to wieża Sucharewska*), a my dookoła—handlarze. Nawet tak się bawimy: jak tylko Zinaidyszcza ukaże się w sali, zaraz się zaczyna:

— Pierożki! Gorące pierożki!

— „Ira"! „Jawa"! W nogi! Obława!

— Oto manufaktura! Kupuj ją, dura!

— Stare spodnie! Wyciągaj ręce po nie!

A Zinaidyszcza chodzi po sali i usta z zadowolenia rozdziawia. Bo nie rozumie, o co chodzi. A usta ma wielkie, i sterczy w nich tylko jeden żółty ząb. Myśli sobie: jak się dzieci dobrze bawią! Jeżeli przyjedzie ktoś z władzy, to pochwali. Nie przypuszcza, żeśmy z niej zrobili wieżę Sucharewską.

A jednak jej się boimy. Kiedy ma nam coś powiedzieć, tupnie nogą i krzyknie: — cicho! — Zaraz się robi cicho. Chociaż nie jesteśmy żołnierzami i nie powinniśmy słuchać komendy.

Wańki Pietuchowa ona nie lubi za to, że handluje papierosami. Uważa go za coś w rodzaju bezdomnego. Myśli nawet, że on pije wódkę, gra w karty, że wącha marafet i zadaje się z kobietami. Ona nawet mówi do niego:—Jesteś zarazą dla całej

---

*) Jest to stara wieża w Moskwie. Stoi na placu, na którym mieści się rynek.

szkoły. — Wańka, oczywiście, pali papierosy. Ale ja też palę. Nawet Sieriożka Blinow, którego Zinaidyszcza stawia za wzór wszystkim—pali. A co się tyczy innych rzeczy, to wierutne kłamstwo. To prawda, że wszyscy bezdomni znają Wańkę; on im czyta książki, bo oni czytać nie umieją. Ja nawet wybieram się do nich razem z nim. Bezdomni mieszkają teraz w piwnicy zburzonego domu. Domu już niema, piwnica jest pełna gruzów, i oto w tej piwnicy mieszkają. Wańka nie boi się ich; powiada, że między nimi są niezłe chłopaki; możnaby ich nawet wziąć do naszej szkoły, tylko, że czytać nie umieją. Z początku Wańka miał się tam spyszna: napadną na niego, przewrócą go razem ze straganem, ściągną mu papierosy i jeszcze twarz nabiją na dodatek. Ale Wańka poszedł do nich z książkami, wziął z sobą papierosy, poczęstował ich i zaczął czytać. Okazało się, że bardzo lubią bajki jak małe dzieci. Od tego czasu nikt z nich Wańki nie ruszy; a Zinaidyszcza o tem wszystkiem nie wie i przy każdej okazji gniewa się na Wańkę.

Prawdę powiedziawszy, pewnego razu próbowaliśmy z Wańką wąchać marafet, ale skutek był taki, że naprzód rozbolała nas głowa, a potem przyszły mdłości.—Świństwo w ogólności i w szczególności! A bezdomni — jak mówi Wańka — żyć bez marafetu nie mogą.

Nikpetoż nie prześladuje nikogo, dlatego cieszy

się zaufaniem całej grupy. Powiada, że jest dumny z naszej grupy, bo mamy rozwiniętą solidarność zbiorową. Niezupełnie się z tem zgadzam. Jeszcze wśród chłopców istnieje solidarność zbiorowa, ale wśród dziewcząt... chyba tylko wśród niektórych.

Jednak trzeba się zabrać do roboty. Zacznę odrabiać zadania dla Almakfisza.

10 listopada.

Dziś pierwszy raz wyszedłem z domu. Powiadają, że na demonstracji było bardzo wesoło i że teraz weszło w zwyczaj chodzić po ulicy z gołemi nogami w kostjumach gimnastycznych; nawet dziewczęta tak chodzą. Uważam, że to jest bardzo dobre, bo spódnice się kurzą i za dużo wychodzi materjału na nie. A przecież dziewczęta i tak noszą coś w rodzaju spodni. Podobno na demonstracji wszystkie dziewczyny z komsomołu były w majteczkach gimnastycznych.

Ledwo przyszedłem do szkoły, otrzymałem liścik: — Tutaj za tobą ktoś bardzo tęsknił; zgadnij kto? — Ani myślę zgadywać!

Oddałem pracę Almakfiszowi. Oto co znaczy poleżeć w łóżku.

11 listopada.

Dziś mamy niedzielę. Było ogólne zebranie, które trwało długo — wymyślano na stary uczkom. Wszystko szło jak zwykle, nagle prezes starego

uczkomu, Sieriożka Blinow, oświadczył, że ostatni raz był w uczkomie, więcej brać w nim udziału nie będzie i cofa swoją kandydaturę raz na zawsze. Robi to dlatego, że uczkom jest inwalidą, który chodzi o kulach szkrabów, to znaczy, nie może przedsięwziąć nic samodzielnie, we wszystkiem musi się stosować do szkrabów. Ponieważ Sieriożka zamiast „pracownicy szkolni" mówił „szkraby" — cały szereg szkrabów zaprotestował. Potem Zin-Pałna prosiła o głos i zapytała Sieriożkę, czy według niego uczniowie zupełnie nie powinni liczyć się z pracownikami szkolnymi i uważać ich za ludzi, czy też przyznają im trochę godności ludzkiej. Sieriożka Blinow obraził się i nie chciał więcej przemawiać, lecz chłopcy uprosili go. Wtedy powiedział, że uważa wszelkie witanie i wstawanie za przesąd i że on osobiście temu podlegać nie będzie. Zinaidyszcza w odpowiedzi rzekła, że zawsze uważała go za wzorowego ucznia i nie rozumie, jaka mucha go teraz ukąsiła. Zapytała przytem, czy mycie i czesanie też uważa za przesąd. Sieriożka znowu się obraził i nie chciał z nikim rozmawiać.

Wtedy zabrał głos Almakfisz. Powiedział, że to go zupełnie nie dziwi, że ilościowo — jest to dowodem bogactwa epoki, a jakościowo stoi poza dobrem i złem. Zdaje mi się, że zupełnie to samo powiedział z powodu mego zatargu z Jelnikitką. Tak samo ni w pięć, ni w dziesięć.

Pomimo tego, co mówiły szkraby, Sieriożka Blinow pozostał przy swojem, a większość szkoły jest po jego stronie. Tylko niektóre dziewczyny trzymają stronę szkrabów, między niemi Lina i Czarna Zoja. Przynajmniej Zoja za każdym razem, kiedy przemawiał Sieriożka, sapała jak parowóz: fu-ffu-fffu!

Po tym incydencie odbyły się wybory do nowego uczkomu. Ku wielkiemu memu zdziwieniu i wbrew moim chęciom i ja zostałem wybrany. Prócz mnie z naszej grupy weszła Sylfida Dubinina. Ma szczęście; jak tylko mnie gdzie wybiorą, zaraz i ją. Ale nic nie szkodzi; z nią dobrze jest pracować. Ona nie taka, jak inne dziewczyny.

Uczkom jest to wyższy organ samorządu; są mu podległe sankom, kultkom i wszystkie inne komy. Właściwie tylko się mówi, że są mu podległe, a w rzeczywistości robią, co im się podoba.

Jelnikitka spotkała mnie w korytarzu i pyta — A kiedy to obywatel Riabcew będzie odpowiadać? — Kiedy się przygotuję, obywatelko Kaurowa. — A ona: — Wszyscy już wzięli nowe tematy do opracowania za listopad, a ty zostałeś w ogonie. — Odpowiedziałem: — Jeszcze czas — i drapnąłem. Nie znoszę jej.

13 listopada.

Ledwo zostałem wybrany do uczkomu, wypłynęła poważna sprawa. Od początku roku szkol-

nego wciąż zdarzają się kradzieże. Przed miesiącem jednemu ze starszych chłopców zginął rajzbret, potem często ginęły śniadania i pieniądze. Teraz znów Wańce Pietuchowowi zginęło sześć miljardów. Pieniądze zostawił w palcie w szatni. Później wrócił, a pieniędzy niema. Tymczasem, kiedy Sieriożka Blinow przechodził koło szatni, widział, że tam coś majstrował Alioszka Czykin. Chciano go zaraz wybadać, ale on przepadł bez śladu. Musieliśmy z Sylfidą, jako uczkomy grupy, pójść do niego do mieszkania. Przychodzimy — a tam go też niema. Wychodzi ojciec Czykina, szewc — pijany. — Czego tam? — Opowiedzieliśmy, o co chodzi. A ojciec mówi: — To on, psiamać! Znam ja go dobrze. To złodziej! Skórę z niego zedrę!

Żałowaliśmy, że się o tem powiedziało ojcu. Może to nie Alioszka zrobił, a ojciec go tymczasem wytłucze. Postanowiliśmy zaczekać na Alioszkę na podwórzu. Czekamy, czekamy — dopiero, kiedy porządnie ściemniało, Alioszka idzie.

Podchodzę do niego i powiadam: — Dlaczego wyszedłeś ze szkoły przed końcem lekcji? — To nie twoja rzecz. — Właśnie, że moja, dlatego że zginęły pieniądze. — Wtedy Alioszka pchnął mnie ramieniem, chce iść dalej i mówi: — Idę do domu, puść mnie. — A ja mu odpowiadam: — Lepiej nie chodź, dopóki się sprawa nie wyjaśni, bo ojciec cię zamorduje. — Alioszka jak wrzaśnie: — Aaaa! Toście wy mu powiedzieli! Ja nie brałem

waszych sześciu miljardów! — rzucił się na mnie i uderzył mnie w twarz.

Sylfida chwyciła go wtedy ztyłu, i przycisnęliśmy go do muru. Pytamy: — A skąd wiesz, że to sześć miljardów? myśmy ci tego nie powiedzieli. W odpowiedzi zaczął beczeć, wymyślać najohydniejszemi wyrazami i pluć na nas. Oboje z Sylwą zauważyliśmy, że czuć od niego wódką. Tymczasem wyrwał się i uciekł. W ciemnościach nie mogliśmy go dopędzić i wróciliśmy do szkoły. Uczkomy czekały na nas. Opowiedzieliśmy wszystko. Podejrzenie, oczywiście, zwiększyło się, choć wyraźnych dowodów nie było.

Dyżurnym szkrabem była Jelnikitka. Zapytała nas wprost: — A dlaczegoście go nie zrewidowali? — Wytłumaczyliśmy jej, dlaczego nie można było tego zrobić, choć prawdę powiedziawszy, do głowy nam to nie przyszło.

14 listopada.

Alioszka Czykin przyszedł do szkoły, jakby nigdy nic. Wezwano go zaraz do uczkomu.

— Co robiłeś w szatni?

— Poszedłem po chleb, który miałem w kurtce — odpowiedział.

— A dlaczego uciekłeś ze szkoły przed końcem lekcji?

— Bo musiałem pójść do domu.

— Przecież Riabcew i Dubinina nie zastali cię w domu.

— Bo wyszedłem.

— A dlaczego czuć było od ciebie wódką?

— Oni kłamią.

— A skąd wiedziałeś, że zginęło akurat sześć miljardów?

— Nawet teraz o tem nie wiem.

Bezczelnie skłamał, bo myśmy mu nic o tem nie mówili, a on sam zaczął krzyczeć o sześciu miljardach.

Jasne się stało dla wszystkich, że to on ukradł, i więcej się z nim o tem nie mówiło. Powstało pytanie: co robić? Szkraby tymczasem milczą—i dobrze robią. Lepiej, żeby się nie wtrącali. Ale z drugiej strony nie można tego puścić płazem. My, uczkomy, długośmy o tem rozprawiali i — rozeszliśmy się z niczem. Jeżeli i jutro nic nie uradzimy, trzeba będzie tę sprawę wnieść na ogólne zebranie.

Sieriożka Blinow powiada, że to wszystko skończy się na niczem i — że Wańka Pietuchow sam sobie winien: nie trzeba było zostawiać pieniędzy w palcie. To prawda, a jednak nie można dopuszczać do kradzieży w szkole. I wogóle, do czego jest uczkom, jeśli wszystkie sprawy mają się kończyć niczem!

15 listopada.

Do sprawy Alioszki wtrąciła się Zin-Pałna. Wyrznęła mu dwugodzinne kazanie; on wybiegł od niej, zakłopotany, i drapnął. Uciekł zupełnie ze szkoły. Wtedy my, uczkomy, poszliśmy do Zin-Pałny zapytać, jakiem prawem ona — pomimo iż istnieje samorząd — wtrąca się do spraw, dotyczących wyłącznie uczniów. A Zinaidyszcza powiada, że po pierwsze to ona odpowiada za porządek w szkole — a po drugie zupełnie się nie wtrąca; próbowała tylko wpłynąć na Alioszkę. Dobrze! Na ogólnem zebraniu pogadamy o tem.

Jelnikitka zebrała nas w laboratorjum i mówiła o rozmnażaniu się paproci; przytem pokazywała mikroskop. Wtem ja zapytałem: — Jak podług pani powstał człowiek i wogóle świat?—Ona, cała czerwona, powiada: — Naturalnie, drogą biologiczną. — Jakto biologiczną?

Jelnikitka w odpowiedzi zaczęła mówić o komórce, ale mnie nie o to chodziło. — A Bóg jest czy niema? — pytam. Ona znowu się zaczerwieniła i mówi: — Dla jednych jest, dla innych niema; to jest osobista sprawa każdego człowieka.

Wtem Czarna Zoja wrzasnęła jak warjatka:
— Ja wiem, dlaczego on o to pyta! bo chce dowieść, że Boga niema. A ja właśnie wierzę w Boga, to jest moja sprawa i nikomu nie wolno mi tego zabronić.

Chciałem odpowiedzieć, że nikt jej tego nie broni, a że sprawę trzeba wyjaśnić zasadniczo; ale ona nawet słuchać nie chciała; myślałem, że zaraz padnie zemdlona. Tymczasem Jelnikitka znowu zaczęła opowiadać o paprociach. Zoja uspokoiła się, a ja postanowiłem czekać.

Po lekcji Sylwa podchodzi do mnie i mówi:— Wiesz, one nawet do cerkwi chodzą. — Co za one? — pytam. — Zoja i Lina. — A ty nie chodzisz? — Nie, nie chodzę. Ja nie wierzę w Boga, choć nieraz dostaję za to od matki. Matka moja jest starych przekonań, nie tak, jak ojciec. Ja kocham i matkę, i ojca, ale w domu mamy wieczne kłótnie, a nawet bójki. Dawniej trzymałam stronę matki, ale potem ojciec mnie przekonał, że ma słuszność. — A czem jest twój ojciec? — Zecerem; dawniej był żółtym, strajkował przeciwko władzy sowieckiej, walczył z nią, ale teraz stał się czerwonym. Matka dokucza mu za to. Wszystkie baby z podwórza są po stronie matki. Kiedy wieszają bieliznę na podwórku, dzieją się takie kłótnie, że aż strach. — No, a dawniej chodziłaś do cerkwi? — Chodziłam, kiedy byłam jeszcze Dunią. Potem ja i ojciec postanowiliśmy zmienić imię moje na Sylfida. Wtedy właśnie przestałam chodzić. A matka słyszeć nawet nie chce o Sylfidzie; powiada, że tak się wiedźmy nazywają.

Poprosiłem Sylwę, żeby mnie nazywała Władlenem, zgodziła się na to.

16 listopada.

Dziś Czarna Zoja zdawała u Almakfisza z przedmiotów za październik i nagle upadła zemdlona. Ale teraz to już nie robi wrażenia. Skropiliśmy ją wodą, daliśmy amonjaku do powąchania i podniosła się.

Na zebraniu uczkomu podniesiono sprawę, jak oduczyć ją od omdlewania — i ja podjąłem się tego. Zapowiedziano mi tylko, że to ma być bez szkody dla jej zdrowia. Sam przecież to rozumiem.

17 listopada.

Było nadzwyczajne zebranie uczkomu w sprawie Alioszki Czykina. Chodzi o to, że on nie przychodzi ani do szkoły, ani do domu. Przepadł, niewiadomo gdzie. Uchwalono zawiadomić radę szkolną, że uczkom nie ma nic przeciwko poszukiwaniu Alioszki przez milicję, tylko nic nie mówić o tem, że ukradł pieniądze.

23 listopada.

Powiedziałem Nikpetożowi, że chcę się zapisać do komsomołu; on pochwalił to i powiedział, że gdyby miał tyle lat, co ja, teżby się zapisał. Potem zapytałem go, co to jest dialektyka, a on w odpowiedzi dał mi do przeczytania gazetę, w której podobało mi się następujące opowiadanie:

Dialektyka życia.

I

Kultiapycz zwykł przychodzić na werandę, kiedyśmy wszyscy byli w komplecie. Zdarzało się to tylko w dni świąteczne. Ze swoją odwieczną cuchnącą fajką w zębach przychodził podczas wspólnego obiadu lub herbaty, siadał na poręczy i, spluwając żółtą ślinę, zaczynał filozofować:

— Ot, patrzę ja na wasze życie, ale sensu w niem nie widzę żadnego. Wszyscy wy — chłopcy albo, powiedzmy, dziewczyny, młode, silne — ale calutki dzień tylko ganiacie, a po prawdzie nic w życiu zrobić nie potraficie.

— A jak to się robi w życiu po prawdzie, Kultiapycz? — mrugnąwszy okiem do chłopców, rozpoczynał gawędkę Nikołka.

— A bo to wy zrozumiecie? Z fabryk jesteście, dlatego żadnego zrozumienia dla życia nie macie. A no, wziąćby taką miarę; co jest ważniejsze—maszyna czy maszynista?—A no, gadajcie.

— Maszyna jest ważniejsza, Kultiapycz — poważnie odpowiedział Nikołka. — Człowiek umrze, a maszyna zostanie.

— A to dureń! — przerwał Kultiapycz. — A kto maszynę wymyślił? Duch leśny bez ciała czy co? Człowiek ją wymyślił, ot kto wymyślił. A niechby nie było człowieka, skądby się maszyna wzięła? A jeszcze wziąć inną miarę: pienią-

dze. Co znaczą pieniądze bez człowieka? Zero bez pałeczki; ot, czem są pieniądze bez człowieka.

— A czem jest człowiek bez pieniędzy? — próbował odciąć się Nikołka.

— Wszystkiem. Kto kogo wymyślił? Pieniądze rozum czy rozum pieniądze? A no gadajcie A widzicie! Diogenes powiedział: wszystko zginie, a sława zostanie. A ja choć nie Diogenes, a stary bombardjer, a też ci to powiem.

— A ty skąd wiesz o tem, co powiedział Diogenes?

— Ja, mój kochany, wiele wiem. Ja, mój kochany, znam i taką miarę. Ot, jest tu chłopiec Wasyli — chłopiec poważny, mądry. Wciąż z książkami siedzi, nie tak, jak ty. A tybyś tylko swawolił.

Tu wtrącił się sam Waśka Gruszyn.

— Nie, dziadku — powiedział — nie masz słuszności. Każdy z nas robi swoje. Ja siedzę z książką, a Nikołka zabawia dziewczęta. Bez Nikołki dziewczęta dawnoby się rozbiegły. Czy nie tak, dziewczęta?

— Oczywiście, z takim sucharem, jak ty, człowiek zginie — zalotnie i wyzywająco odpowiedziała Lenka Spiryna. — Całą zimę człowiek się uczy, więc niema nieszczęścia, jeżeli latem odpocznie.

— A ty myśl dialektycznie, Kultiapycz — za-

żartował Fiedor Zajcew — wtedy wszystko zrozumiesz.

— A co to znaczy dy-lech-ty-cznie — zapytał staruszek, który miał zamiłowanie do cudzoziemskich wyrazów. — Wytłumacz.

— Tego tak odrazu wytłumaczyć nie można; życie samo tego uczy.

— A ot co ci powiem, mój kochany — niespodziewanie zakończył Kultiapycz w stronę rumianej Lenki — życie jest ciężka rzecz, a baba — to tylko zawada.

Cała weranda zatrzęsła się od śmiechu.

2

Lenka Spiryna była niezupełnie piśmienna. Dopiero przed trzema miesiącami przyjechała ze wsi, ale że była towarzyska, wesoła, do zabawy i śpiewu pierwsza, więc łatwo przylgnęła w fabryce do komsomolców i dostała się latem do komuny wypoczynkowej. Prawdę powiedziawszy, niełatwo jej szło z nauką. Do lata zaledwie pokonała litery i najprostsze zgłoski. Należała też do kółka politnauki, ale ponieważ nie umiała czytać, więc wielkiego pożytku to jej nie przyniosło. Na letnisku zaczął ją uczyć Waśka Gruszyn, ale wkrótce przestał. Lenka mogła spacerować do świtu, nawet do samego odejścia pociągu, którym

miała wrócić do fabryki, ale posadzić ją do książki nie było sposobu. Chętnie słuchała opowiadania Waśki o polityce, o współpracy robotników i chłopów, ale następnego dnia wszystko to wietrzało jej z głowy. Waśka użył wtedy fortelu: opowiadał jej bajki, w których prócz djabłów i duchów leśnych występowali faszyści i komsomolcy. Ale najniespodziewaniej został zbity z tropu. — Co to za bajki — pogardliwie rzekła Lenka — ot, w naszej wsi baba Guniawicha opowiadała bajki, to jest czego posłuchać. — I rozgadała się na dobre. Waśka postanowił przerwać naukę, a Lenka w dalszym ciągu spacerowała do świtu z wesołymi chłopcami i dziewczętami, a Waśkę przezwała „sucharem".

Kultiapycza młodzież poznała właśnie na spacerach podczas wesołych letnich nocy. Kultiapycz, pełniąc służbę, obchodził ulice letniska i z wielkiem zaciekawieniem przyglądał się młodzieży.

— Coście wy za jedni?—spytał ich pewnego razu, kiedy, śpiewając, zatrzymali się obok willi.—Komsomolcy. — A — z szacunkiem oświadczył Kultiapycz — wnuczęta Iljicza*). Powiem wam otwarcie: szczery człowiek był wasz dziadek. Powinniście zawsze o nim pamiętać i czcić go na wieki wieków amen. — To też go czcimy — odpowiedzieli — no, a ty co za jeden? — Stary bombar-

*) Iljiczem lud nazywa Lenina.

djer — z powagą oświadczył staruszek.—Teraz jestem tu stróżem nocnym, a nazywam się — Kirył Potapycz. — Kultiapycz — podchwyciła młodzież, i od tego czasu nazywano go Kultiapyczem.

3

Właściwie nic więcej nie byłoby do powiedzenia, gdyby nie tragiczny wypadek, który poruszył całe letnisko i zmienił bieg życia komuny. Pewnej niedzieli Waśka Gruszyn został sam w willi; reszta towarzystwa poszła na spacer. Waśka położył się w samych majteczkach gimnastycznych, wziął geometrję i zabrał się do badania tajemnic trójkątów równobocznych. Miał zamiar zimą wstąpić do rabfaku*). Słońce tak piekło, jakgdyby chciało promieniami ultrafioletowemi przepalić wnętrzności Waśki. Opędzając się od komarów, Waśka odważnie wchłaniał twierdzenie za twierdzeniem.

Nagle z ulicy i sąsiednic willi doleciały krzyki i wrzaski i przerwały rozsłonecznioną ciszę. Waśka nastawił uszu i usłyszał: — Prędzej, prędzej — utonęli! Kto? Gdzie?... O, Boże!

---

*) Są to kursy, na których ludzie, nie mający średniego wykształcenia, przeważnie robotnicy, przygotowują się do wyższych zakładów naukowych.

Waśka zerwał się lekkim ruchem i pobiegł ulicą do lasu w kierunku stawu. Był to stary, wielki, głęboki, zaniedbany staw. Na brzegu zebrał się tłum, mówiono, że łódka się przewróciła i ludzie potonęli. Waśka przepchnął się do środka i ujrzał swych towarzyszów, mokrych i drżących.

— Lenka utonęła, zdaje się, że nie umie pływać — szepnęli z przerażeniem. — W samym środku... Jechaliśmy łódką, chcieliśmy przesiąść, a łódka tego...

— Jużeśmy szukali pod wodą; sił więcej nie mamy — ponuro mruknął Nikołka.

— Pobiegli po łódkę i drągi — ale czy prędko wrócą — powątpiewano w tłumie.—Łódka jest prywatna, w zamku, z tamtej strony...

— Gdzie? — krzyknął zadyszany Waśka i w tej chwili wskoczył do wody we wskazanym kierunku. Pływał nieźle i liczył, że niedługo znajdzie zatopioną Lenę. Przepłynął pół stawu, zwrócił się w stronę brzegu i zapytał: — Czy tutaj? — A kiedy mu odpowiedziano, skierował na lewo i znowu zanurzył się. Dno było głębokie, grząskie, pełne mułu i wodorostów. Waśka zgruntował prawie dwa sążnie w różnych kierunkach i nagle poczuł, że od zimnych źródeł, które biły na dnie brak mu tchu i nogi drętwieją. Chciał się wydostać na powierzchnię; szybko odskoczył od dna i popłynął wgórę, ale poczuł, że nogi zaplątały się w wodorostach. Rękami próbował rozplątać mocne ło-

dygi, szarpnął raz i drugi — nagle zachłysnął się wodą; woda zalała nozdrza, uszy i gardło, w oczach zamigotały pomarańczowe gwiazdy, konwulsyjnie ścisnął ręce, ale wodorosty jakby wżarły się w niego całego...

Z drugiej strony szybko płynęła łódka o dwóch parach wioseł. Lenkę wkrótce wyciągnęli drągami za suknię. Po upływie pół godziny Lenka odzyskała przytomność. A Waśkę chłopcy znaleźli pod wodą i oderwali go od wodorostów. Ale nie pomogło ani podrzucanie, ani sztuczne oddychanie: Waśka Gruszyn leżał martwy.

4

— A, no, powiedzcie mi, co jest ważniejsze — poczta czy pocztyljon? — rozpoczął zwykłą gawędkę Kultiapycz, siadając na poręczy.—Pocztyljon bez poczty istnieć może — czy tak? A jak to tam poczta obejdzie się bez pocztyljona? a no, powiedzcie! — Młodzież milczała. Miesiąc już minął od śmierci Wasi, ale na letnisku nie było już dawnej wesołości.

— Teraz już poczta może istnieć bez pocztyljona — niezwykle poważnie oświadczył Nikołka. — Teraz przez radjo można otrzymać każdą wiadomość.

— A jak twoje radjo obędzie się bez rady-

wisty? — napadł Kultiapycz na Nikołkę; — radywista musi być — bez niego twoje radjo to kij i nic więcej; nie, nie mów tak; maszyna bez maszynisty — to samo, co kapuśniak bez soli.

Rozmowa nie kleiła się. Kultiapycz wypił herbatę i powiedział: — A jednak wódka jest lepsza — na zęby dobrze robi — no, a teraz, dowidzenia.

I zaczął dreptać w stronę domu.

Ale kiedy dobrnął do środka ogródka, zawrócił i spytał tajemniczym głosem:

— A co z tą waszą Aloną; jakoś jej nie słyszę; dawniej wszędzie było pełno jej śmiechu i piosenek, a teraz... ktoby powiedział. Wciąż z książką i z książką. Ot, i teraz: siedzi w ogrodzie i czyta. Przepraszam, że pytam: czy ona nie po Wasylu tak rozpacza?

— Nie, Kultiapycz, mylisz się; nie bawiła się ona z Wasią w kochanie. Widocznie przemyśliwa tak o śmierci.

— Ot, co ci powiem, przyjacielu Kultiapyczu — wtrącił się Fiedor Zajcew — nie wiem tylko, czy zrozumiesz. Wciąż powtarzasz — baba to zawada. A nam się zdaje, że ciemnota to zawada. Wasyli uczył się; utonął przez nią; a teraz ona zabrała się do nauki. Ot, to jest, mój przyjacielu, dialektyka życia.

— Dy-lech-ty-ka — przeciągle powtórzył Kultiapycz, starając się zapamiętać. A jak to trzeba

rozumieć? Ot, jak trzeba rozumieć — chętnie wytłumaczył Zajcew. — Powiadasz, że maszyna bez człowieka istnieć nie może?

— Nie może—tonem stanowczym potwierdził Kultiapycz.

— Słusznie. To samo jest z książką. Waśka utonął, a książka została. A Lenka też jest człowiekiem; ot, ona zabrała teraz się do książek.

— Tak, tak, tak — ucieszył się Kultiapycz— a więc to jest dylechtyka. Coś w tym rodzaju: zabiję jednego bombardjera przy armacie, zaraz zjawia się drugi. T-a-a-a-k.

Kultiapycz znowu podreptał po ogródku, zbliżył się do Lenki i pogłaskał ją po głowie:

— Ucz się, dziewczynko, ucz,—całą dylechtykę przejdź, a wtedy prawdziwie żyć potrafisz. A życie bez dylechtyki — to samo, co drąg żelazny.

24 listopada.

Jak tylko chłopcy zawołali, że Zoja znowu zemdlała, wybiegłem na podwórze, schwyciłem coś w biegu, wracam i pytam: gdzie? Mówią mi, że w audytorjum. Biegnę do audytorjum, patrzę — leży jak zwykle — blada, zęby ściśnięte. Powiadam: podnieście ją trochę. Chłopcy podnieśli ją, a ja wepchnąłem jej za kołnierz grudkę śniegu. Jak wskoczy i zawrzeszczy! Jakby ją ze skóry obdzierano. Chłopcy w śmiech, a Jelnikitka biegnie z amonjakiem: — Co się stało? — Zoja ze-

mdlała, a Kostia Riabcew ocucił ją. — Jak ocucił? — Śniegiem.

Jelnikitka napadła na mnie, że to jest nie po ludzku i nie po koleżeńsku i że poskarży się na mnie na ogólnem zebraniu. Tymczasem przyszła Zinaidyszcza, spojrzała na Zoję i mówi:—Jelena Nikiticzna, proszę się uspokoić; Zoja więcej mdleć nie będzie.

Zoja błysnęła ślepiami, zasapała jak parowóz i drapnęła. A Zin-Pałna do mnie: — Tylko proszę w przyszłości nie robić tego bez mojej wiedzy. — I wyszła. A dlaczego za jej wiedzą? Skoro jestem uczkomem, to mój obowiązek.

Wkrótce trzeba będzie zdawać za listopad, a tymczasem nie ze wszystkiego jeszcze zdałem za październik. Należenie do uczkomu zabiera dużo czasu. Przytem redkomisja namawia mnie, żebym pisywał do „Czerwonego Ucznia"—a czasu nie mam na nic.

26 listopada.

Przyjmują zapisy do komsomołu. Ja i Sylwa złożyliśmy podania do jaczejki. Podobno naszą jaczejkę mają przyłączyć do innej, czynnej. Jak to dobrze! bo na naszych zebraniach nudy okropne.

27 listopada.

Ja i Wańka Pietuchow byliśmy u bezdomnych. Bardzo lubię tajemniczość, a to trzeba było

zrobić w wielkiej tajemnicy, bo gdyby się szkraby dowiedziały, byłaby awantura. Urządziliśmy się tak: Wańka wstąpił do mnie koło 9-ej — niby do kina — i wyszliśmy. Był wielki mróz, prawie 20°. Przychodzimy do tej rozwalonej piwnicy; z początku nie chcieli nas wpuścić, a potem wpuścili. Piwnica ogromna, a zimno tam jak na ulicy. Po kątach palą się ogniska, ale są osłonięte rozmaitemi rupieciami, żeby z ulicy nie było widać. Kiedyśmy się zakradali z Wańką po rozmaitych kamieniach, doznawaliśmy takiego uczucia, jak w kinie, kiedy zakradają się szpicle. Dzieci z początku nas nie tknęły, bo Wańkę znają i uważają za swego. Ubrane są wszystkie w straszne łachmany, a czuć od nich jak z ustępu; nawet mróz nie pomaga. Jest ich tam sporo, a grzeją się przy kilku ogniskach; przy jednem miejscaby nie starczyło. Kiedy wszedł Wańka, wszyscy rzucili się do niego i wołają: — Daj bajkę! Wańka przysiadł się do nich i przeczytał im bajkę o srebrnym spodeczku i rumianem jabłuszku. Co za bzdury! Nigdy nie myślałem, że takie bzdury drukuje się w książkach. Potem bezdomni prosili o jeszcze, ale Wańka więcej nie chciał. Wtedy wyciągnęli wódkę i częstowali nas. Wańka trochę wypił, ale ja odmówiłem. Potem zaczęli grać w karty.

Kiedy już zabieraliśmy się do odejścia, nagle ktoś podchodzi i ciągnie mnie do ogniska. Opierałem się, ale on zaciągnął mnie do samego ognia

i wrzeszczy: — Chłopcy, to jest „chart".—Spoglądam — Alioszka Czykin; ale taki zasmolony w łachmanach, że go trudno było poznać odrazu. Powiada: — A ty, draniu, pocoś tu przylazł? szpiegować? — Idź do djabła — odpowiedziałem i próbowałem się wyrwać. Wańka, oczywiście, przyszedł mi na pomoc. Wyrwaliśmy się; oni za nami; my broniliśmy się. Nagle coś twardego uderzyło mnie pod oko. Krzyknąłem, bo mnie bardzo zabolało. Wybiegliśmy szybko na ulicę i dalej w nogi. Oni za nami; ale niedaleko była ulica jasno oświetlona i stał milicjant. Odczepili się.

Oko mnie bardzo bolało i spuchło. Naradzaliśmy się z Wańką, co robić; czy powiedzieć komuś o Alioszce Czykinie. Postanowiliśmy nic nie mówić, bo może mu się za to dobrze dostać. A w domu niech się lepiej nie pokazuje; ojciec mógłby go teraz zabić.

Wańka powiedział mi, że w tej piwnicy mieszkają też „torebkarze" i ot co robią: jeden chowa się w bramie, a drugi spaceruje po ulicy, jakgdyby nigdy nic. Kiedy przechodzi pani z torebką, ten, który spaceruje po ulicy, z całej siły pędzi i rzuca jej się pod nogi, a tymczasem drugi wybiega z bramy, wyrywa jej torebkę, i obaj uciekają. Są i tacy, którzy zwyczajnie kradną z kieszeni; niektórzy znowu zakradają się do mieszkań; są i tacy, którzy mówić po rosyjsku nie umieją, tylko po tatarsku, ale kradną wcale nie gorzej.

Kiedy wróciłem do domu, miałem siniak pod okiem i spuchnięty policzek. Tatko zauważył odrazu i pyta, co się stało; skłamałem, żem się pośliznął i upadł. Tatko przyłożył mi do oka starą miedzianą dziesiątkę, i spuchlizna trochę opadła; ale do szkoły trzeba będzie pójść z siniakiem.

28 listopada.

Naturalnie, w szkole wszyscy pytali, skąd mam siniak; a najwięcej piłowała mnie Sylwa, aż musiałem zakląć! Jelnikitka spojrzała na mnie podejrzliwie i drwiąco, ale nie chciałem nowej awantury, więc milczałem. „Czerwony Uczeń" umieścił słuszny artykulik o pracy społecznej. Przepisałem go: „W naszej szkole stosują system Daltona. Daje się uczniowi temat, który ma w ciągu miesiąca samodzielnie opracować. Nauczyciel powie, że taki a taki temat opracowuje się według takiej a takiej książki, ale książek w szkole dostać nie można, a kupować je jest niepodobieństwem. Dalej prócz nauki jest prowadzona też praca społeczna; wyznacza się do niej uczniów, specjalnie uzdolnionych. Otóż wytwarza się taka niedorzeczność: jedni są zawaleni pracą społeczną, a inni nie mają jej wcale. — W laboratorjach naukowych jest taki hałas, że trudno jest skupić uwagę; trzeba więc pracować jeszcze w domu. Lekcje kończą się o siódmej, i ci, którzy nie mają pracy społecznej, spokojnie idą do domu, a ci, którzy ją mają, mu-

szą zostać w szkole. Przez jeden wieczór niewiele się zrobi, trzeba przyjść jeszcze nazajutrz rano, kiedy lekcje ma pierwsza grupa. A kiedy przychodzi nasza druga zmiana, znowu nie można pracować w laboratorjach, bo jest zbyt hałaśliwie. I tak codzień. Mija miesiąc, a praca nie jest gotowa. Tymczasem ci, którzy nie mają pracy społecznej, spokojnie opracowują w domu to, co jest zadane, i wszystko mają gotowe w terminie".

Artykuł jest dłuższy, ale już z tego początku widać, że uczkomy nie mają chwili wytchnienia. A tu jeszcze redkomisja, a tu komisja do upiększania szkoły, a jeszcze klaskom, a porozumiewanie się ze szkrabami w sprawach grupy...

Przeklęty Dalton! Bodajby przepadł!

30 listopada.

Jutro mamy zdawać z przedmiotów za listopad, ale ja zdawać nie będę; a kiedy będę — nie wiem. I inni są w tem samem położeniu. Dobrze, że już kończy się moje należenie do uczkomu, inaczejbym się z tego wszystkiego nie wyplątał. Jedyna moja nadzieja—to przerwa zimowa. Sylwa też nie zdaje — i też przez uczkom. Przeklęty Dalton!

Po wyjściu ze szkoły przez cały wieczór spacerowaliśmy z Sylwą po ulicach. Opowiadała mi o swojem życiu. Otóż ojciec jej podał na matkę skargę do sądu; chce się rozwieść, a ona, Sylwa,

nie wie, u kogo zamieszkać. W domu ciągłe awantury i bójki. Ona stara się jak najrzadziej bywać w domu.

Zaczęła mię też rozpytywać o cel życia. Powiedziałem jej, że żyje się poto, aby przynosić pożytek sobie i innym i żeby walczyć o powszechny komunizm. Ona przyznała mi się, że było jej tak ciężko, że nawet myślała o samobójstwie. Odpowiedziałem, że to głupota, że są ludzie, którym jest gorzej niż nam — choćby bezdomni. A przytem samobójstwo to duch dawnej inteligencji. W starej szkole dzieci odbierały sobie życie przez szkrabów, ale teraz wszystko się zmieniło; my już możemy walczyć ze szkrabami; prócz tego jest komsomoł, do którego nas na pewno przyjmą, ponieważ oboje jesteśmy pochodzenia proletarjackiego.— Sylwa uspokoiła się, i odprowadziłem ją do domu.

ZESZYT TRZECI

3 grudnia.

Ja i Sylwa jesteśmy kandydatami do komsomołu. Świetnie się ułożyło! Szkoda tylko, że trzeba obowiązkowo chodzić na zebrania jaczejki. Niema na to czasu. Zobaczymy! Jakoś to będzie!

4 grudnia.

Dziś podczas lekcji weszła do szkoły milicja. Wywołali Zin-Pałnę i pytają: — Czy to pani uczeń

Aleksy Czykin? — Ona powiada, że tak. — Proszę go przyjąć i pokwitować, bo on nie chce powiedzieć, gdzie mieszka, a u nas niema go gdzie trzymać. — A jak się on dostał do milicji? – pyta Zin-Pałna. — Zatrzymano go podczas obławy na bezdomnych. — Nagle Zin-Pałna mówi: — Nie, nie mogę go przyjąć; proszę go zaprowadzić do kolektoru dla bezdomnych.

Tę rozmowę podsłuchało kilkoro dzieci, i po chwili cała szkoła wiedziała o tem. Uderzono w dzwon, żeby zwołać ogólne zebranie. Ze wszystkich stron biegną chłopcy i dziewczęta; jedni rzucili pracę w laboratorjum, inni wybiegli, nie dokończywszy odpowiedzi. Szkraby wytrzeszczyły oczy; a to dlatego, że zwykle o ogólnem zebraniu zgóry wiadomo, a tu ni stąd, ni zowąd nagle w czasie lekcji. Uczniowie zebrali się w sali, krzyczą, hałasują. Idzie Zin-Pałna — blada — inne szkraby też czują się nieswojo. — Kto zadzwonił na ogólne zebranie? — pyta Zin-Pałna. — Ja — odpowiada Sieriożka Blinow. — Jakiem prawem podczas lekcji? — Takiem prawem, że w tej chwili szkoła dowiedziała się o wielkiej niesprawiedliwości, i chcemy zaprotestować — odpowiada Sieriożka, blady, jąkając się. — Jakaż to niesprawiedliwość? — pyta Zin-Pałna. — Taka, że szkoła nie przyjęła Czykina. Czykin jest naszym kolegą i trzeba było nas zapytać.

Wszyscy krzyczą: — Słusznie, Blinow! Precz ze szkrabami!

Zin-Pałna podniosła rękę i długo tak stała, ponieważ hałas nie ustawał; wreszcie mówi: — Tę sprawę trzeba dobrze obmyśleć. Powiadacie: niesprawiedliwość. Tymczasem ja nie mogłam go przyjąć, bo tu jest szkoła, a nie przytułek dla dzieci; przytem on mieszkał z bezdomnymi, mógł się zarazić najrozmaitszemi chorobami, a teraz was wszystkich zarazi. Wreszcie, on ma ojca, więc trzeba go odesłać do ojca, a nie do szkoły. — Wtedy ja podniosłem się i mówię: — Do ojca odesłać go nie można, bo ojciec go zabije. I widać Alioszka miał nie słodkie życie w domu, jeżeli uciekł do rozwalonej piwnicy. — Do jakiej rozwalonej piwnicy? — pyta Zin-Pałna. — Do najzwyklejszej—odpowiadam. — A skąd Riabcew wie o tem? — Stąd wiem, że sam tam byłem i widziałem go.

Tu wszyscy krzyknęli: — Brawo, Riabcew! Zuch! — Odpowiadam: — Proszę nie wrzeszczeć bez potrzeby. Skoro jestem uczkomem, to jest mój obowiązek. — A więc—powiada Sieriożka Blinow — szkoła protestuje przeciwko temu, że kierowniczka, nie pytając uczniów, odesłała Czykina do kolektoru dla bezdomnych. Dalej prosimy, żeby natychmiast posłano po niego i sprowadzono go do szkoły. — A co z nim zrobimy? — pyta Zin-Pałna. — Zobaczymy. Przedewszystkiem pójdziemy do jego ojca i zażądamy, żeby go nie bił. — A on

was zaraz usłucha — złośliwie wtrąciła Jelnikitka.

— Prędzej usłucha nas niż was — odpowiedział Sieriożka—w każdym razie prosimy, żeby pracownicy szkolni odpowiedzieli: czy uważają, że samorząd w szkole istnieje czy nie? — Tak, tak, prosimy o odpowiedź — krzyczą wszyscy.

— Jestem zdumiona tym brakiem organizacji — powiada Zin-Pałna. — Przerwano lekcje, zwołano ogólne zebranie; z tem się jeszcze mogę pogodzić wobec tego, że zaszedł nadzwyczajny wypadek. Ale jak się prowadzi to nadzwyczajne zebranie? Niema ani przewodniczącego, ani sekretarza. Plącze się jedno z drugiem. Rozpatruje się sprawę Czykina, nie kończy się i przeskakuje do innej — zasadniczej. Nie chcę brać udziału w takiem zebraniu i odchodzę. Takie zebranie — to hańba dla szkoły. — I wyszła. Za nią natychmiast Jelnikitka, a za nią ukradkiem Almakfisz i inne szkraby. Został tylko Nikpetoż. Siedzi i milczy, jakgdyby wody w usta nabrał. Chłopcy i dziewczęta z początku milczeli, a potem znowu zrobiło się gwarno. Sieriożka uderzył pięścią w stół i mówi: —Ja osobiście uważam, że rozmaici przewodniczący to przesąd. Doskonale można się obejść bez przewodniczącego. I otóż proponuję, żeby na zebraniu zostali tylko ci, którzy uznają taką formę samorządu, jak nasza. Wszyscy inni niech opuszczą zebranie: pracownicy szkolni, oczywiście, też.— Nikpetoż natychmiast podniósł się i odszedł. Wy-

szło też kilkoro młodszych dzieci. Czarna Zoja i Lina wyszły demonstracyjnie. Ci, którzy zostali na zebraniu, utworzyli „związek". „Związek" postanowił nie uznawać istniejącego samorządu, lecz opracować własną ustawę, której będzie podlegać. Postanowiono też znieść przymusowe witanie się i wstawanie. Do laboratorjów, do audytorjum i do sali wolno wchodzić w czapkach lub bez — jak kto chce. W pozostałych sprawach zachowywać się według ustawy, którą polecono opracować Sieriożce Blinowowi i innym. Odrazu zrobiło się wszystkim weselej. Jak to dobrze, że już przestałem być uczkomem!

5 grudnia.

Szkoła podzieliła się na dwie partje: na „szkołę" i „związek".

Okazuje się, że po stronie szkrabów jest dużo uczniów. Dziś „szkolarze" mieli ogólne zebranie, na którem wybrano nowy uczkom. Na tem zebraniu było pół szkoły. „My, „związkowcy", też mieliśmy zebranie. Przyjęliśmy „Ustawę Związku", według której nikt nikomu nie podlega, lecz wprowadza się samodyscyplinę. Wszelkie bzdurstwa w rodzaju przymusowego wstawania będą zniesione. Zato każdy związkowiec obowiązany jest sam czuwać nad sobą; np. nie wolno hałasować ani bić się podczas lekcji. Dla porozumiewania się

ze szkrabami i ze szkolarzami obrany został „komisarz do spraw obcych", Sieriożka Blinow.

Przedewszystkiem polecono Sieriożce wymóc na szkrabach, żeby Alioszkę Czykina sprowadzono z kolektoru do szkoły. Następnie odbył się mityng, na którym wygłaszano mowy. Potem Sieriożka wziął mię na stronę i powiedział, że ponieważ Nikpetoż mnie lubi, żebym go zapytał, co on i inne szkraby myślą o „związku". Zgodziłem się, choć nie rozumiem, co tu mają do powiedzenia szkraby: oni sobie; a my sobie! Jednak poszedłem. Oto, co mi powiedział Nikpetoż: — Uważam, że to jest ciekawy eksperyment. Sami się jednak przekonacie, że bez dyscypliny istnieć nie można. — Odpowiedziałem na to, że wprowadziliśmy samodyscyplinę. — Samodyscyplina — powiada Nikpetoż—jest to kij o dwóch końcach. Z jednej strony, zdawałoby się, że jest dobra, bo usuwa przemoc; lecz z drugiej strony jest o wiele trudniejsza, niż dyscyplina z zewnątrz. Pomyśleć tylko, że cały czas trzeba czuwać nad sobą, żeby czegoś nie przeskrobać. To się prędko znudzi.

Zapytałem go, jak się na to zapatruje Zin-Pałna. — Wy jej niedoceniacie — odpowiedział Nikpetoż. — Myślicie, że jest zwolenniczką przemocy, a co zatem idzie — wrogiem uczniów. Tymczasem jest zupełnie inaczej. Ona was bardzo kocha, a dyscyplinę podtrzymuje dlatego, że jest odpowiedzialna za szkołę. W sprawie „związku" uważa, że nie

należy wam przeszkadzać. — Niech się sami przekonają — powiada — o niedorzeczności swoich postępków.

Wszystko to powtórzyłem Sieriożce; on wysłuchał, lecz nic nie powiedział. Ze szkoły naprzód ja odprowadziłem Sylfidę, potem ona mnie; po drodze rozmawialiśmy o „związku". Powiedziała, że myśli, iż „związek" długo trwać nie będzie, a wstąpiła do niego tylko przez solidarność — i że teraz życie jej jest wesołe. Powiedziałem, że i moje też. Na pożegnanie ścisnęliśmy sobie ręce, czego dawniej nie robiliśmy.

6 grudnia.

Na pierwszy rzut oka wszystko wróciło do normalnego stanu. Szkraby udają, że nie widzą „związku", a my — jakgdybyśmy nie widzieli szkrabów. „Związek" postanowił nie naigrawać się ze „szkolarzy", to też ich nie ruszamy, tem bardziej, że są tam przeważnie młodzi, a starsi, którzy tam zostali, są zasadniczo innych przekonań niż my. Nagwałt spieszę się ze zdawaniem, żeby pobawić się w czasie przerwy zimowej. U Nikpetoża zdałem za listopad. Najtrudniejsze przedmioty dla mnie to matematyka i przyroda.

7 grudnia.

Wańka Pietuchow nie przyszedł do szkoły. Poszedłem do niego, a on leży pobity. Wytłukli

go bezdomni, bo myśleli, że to on doniósł na nich i że dlatego była obława. Odebrali mu też stragan z papierosami. On teraz chce wstąpić do fabryki, tem bardziej, że młodocianych przyjmują teraz łatwiej, niż dawniej. Zapytałem go, jak będzie z nauką; on powiada, że młodociani pracują tylko sześć godzin dziennie i mają rozmaite ulgi, żeby mogli się uczyć. W rodzinie jego rozpacz wielka, bo właściwie on sam utrzymuje wszystkich. Zrobiło mi się bardzo smutno i wyszedłem.

8 grudnia.

Przechodziłem przez salę, kiedy wybuchła bójka między „szkolarzami" i „związkowcami". To oni pierwsi zaczęli. Podstawili nogę Wołodźce Szmercowi. Natychmiast przybiegli nasi; zaczęto się bić, ale niebardzo, więcej dla figlów. Nagle wpada Zinaidyszcza, tupie nogami i krzyczy jak warjatka:—Przestać! przestać! Przestaliśmy, a ona wsiadła na nas, że ze szkoły robimy ulicę, że taka wrogość jest niedopuszczalna i że teraz widzi, co znaczy ta słynna „samodyscyplina." Nie mogłem się powstrzymać i powiadam, że to nie ma nic wspólnego z samodyscypliną, żeśmy się właściwie nie bili, tylko tak trochę klepali. Ale ona nie pozwoliła mi dokończyć i oświadczyła, że pogada ze mną o tem na radzie szkolnej. Zobaczymy, co będzie!

Nakoniec zdałem z matematyki za paździer-

nik. Już mi teraz niewiele zostało, ale nagwałt się spieszę.

10 grudnia.

Było bardzo wesoło, bo podczas dużej przerwy my, „związkowcy", wybiegliśmy na podwórko i zaczęliśmy grać w futbol. Było ciepło, a śnieg był tak ubity, że grać było zupełnie dobrze. Tymczasem „szkolarze" patrzyli na nas z zazdrością; sami byli nie od tego, żeby się pobawić, ale ich regulamin szkolny zabrania grać w futbol przed wiosną, przynajmniej na podwórku szkolnem. W inne gry, mianowicie w te, które zaleca fizkultura, wolno im się bawić, a w futbol nie, bo „futbol, jak powiada Zin-Pałna, szkodzi nauce".

Przerwa się skończyła, a myśmy wciąż grali. Szkoda, że tak wcześnie zmierzch zapada, inaczej długobym jeszcze walił w piłkę. Z początku dziewczęta brały udział w grze, ale kiedy zorganizowaliśmy regularną komendę, wyrzuciliśmy je.

11 grudnia.

Onegdaj widziałem Czarną Zoję i Linę G., jak wychodziły z cerkwi, a wczoraj było posiedzenie jaczejki, na którem postanowiono wzmocnić w szkole propagandę antyreligijną. Z tej właśnie okazji poszedłem do laboratorjum przyrodniczego. Kiedy zebrało się nas sporo, pytam Jelnikitkę:
— Jelena Nikiticzna, proszę mi odpowiedzieć, czy

Bóg jest czy niema? — Riabcew — odpowiada — wszak już raz powiedziałam, że dla jednych jest, dla innych niema. To jest osobista sprawa człowieka. — No, a wogóle? — Ogólnego poglądu niema. — A co mówią o tem nauki przyrodnicze? —Nauki przyrodnicze nie zajmują się sprawami religijnemi.

Wymignęła się; ale jeszcze kiedyś złapie się ona na moją wędkę.

Idę po korytarzu, nagle podbiega do mnie Czarna Zoja i mówi: — Zaczekaj. — Zatrzymałem się, a ona pochyla się i zgarbiona mówi szeptem: — Nienawidzę cię, nie uważam cię za człowieka, a jednak, ponieważ lituję się nad tobą, więc cię uprzedzam, że to ci tak nie przejdzie i że odpowiesz kiedyś za to. — A przed kim odpowiem? —Sam się dowiesz, przed kim. Aniołowie w niebie odwrócili się od ciebie.

Wybuchnąłem śmiechem, że aż brzuch mnie zabolał. — Oddaj ode mnie — powiadam — podarunek aniołom w niebie.—I huknąłem ją w plecy. Zasapała jak parowóz i uciekła. Naturalnie, nie goniłem jej; bardzo jej nie lubię, wprost nie znoszę! Czuć ją cerkwią i jakimś olejem.

12 grudnia.

Dziś pożegnałem się z moim ukochanym kolegą, Wańką Pietuchowym. Był dziś ostatni raz w szkole; wstępuje do fabryki. Zacząłem mu opo-

wiadać, co się dzieje w szkole, ale widziałem, że go to już niebardzo obchodzi. Siniaki już się zagoiły.

Będzie zarabiać 23 ruble 60 kopiejek. — Na papierosach — powiada — też się więcej nie zarabiało. — Bardzo żałuję, że nie będzie już w naszej szkole. Po pierwsze był dobrym kolegą — ze świecą takich szukać — a po drugie jest to chłopiec mądry. Wogóle, przyjaźń z chłopcem to zupełnie co innego niż z dziewczyną, choćby była tak mądra, jak Sylwa. Wprawdzie i z nią rozmawiam o wielu rzeczach; jednak nie o wszystkich; są takie, których nie zrozumie. Albo np. czy to z nią można pójść do bezdomnych? Ona możeby nawet chciała, ale wszak ją tam wytłuką, a ona nie potrafi się obronić. Potem dziewczyny nie umieją grać dobrze w futbol, choćby się nie wiem jak starały. Dalej, beczą często... A więc, w którąkolwiek stronę się zwrócić, zawsze jest jakaś przeszkoda do prawdziwej przyjaźni. Zupełnie co innego chłopiec... Szkoda mi Wańki. Będziemy się, naturalnie, widywać, ale to już zupełnie co innego.

13 grudnia.

Dziś znowu mieliśmy incydent przez „związek". Sylfida D. zdawała u Almakfisza za listopad, a on ją wsypał; choć ona twierdzi, że odpowiadała dobrze i że rozwiązała wszystkie zada-

nia. Wtedy powiedziała mu: — Pan mnie wsypał dlatego, że należę do „związku".—Almakfisz bardzo się rozzłościł, nazwał ją „wstrętną dziewczyną" i wyrzucił z laboratorjum. Cała grupa oburzyła się na to; posłaliśmy delegację do Zinaidyszczy, żeby Almakfisz przeprosił Sylfidę. Ja należałem do delegacji.

Wchodzimy do pokoju nauczycielskiego, siedzi tam Almakfisz. Kiedy usłyszał, czego żądamy, powiada: — Dobrze; uniosłem się i przeproszę; lecz niech Dubinina przedtem przeprosi mnie za to, że mnie posądziła o jakieś postronne pobudki. Odpowiedziałem: — Nie wiem, czy były postronne pobudki, czy nie, ale cała szkoła wie, że pan nie znosi Dubininej i że ją pan prześladuje. — Wtedy Almakfisz, wściekły, zaczął krzyczeć, że jestem arogant, grubjanin, że jeśli mnie nie wezmą w karby, to on wystąpi ze szkoły, bo w takich warunkach praca jest niemożliwa. Potem cisnął książkę na stół i wyszedł.

Zinaidyszcza kazała mi zostać w pokoju nauczycielskim i zaczęła mówić ze mną o tem, że tak dalej pracować nie można, że jesteśmy zupełnie pochłonięci „związkiem", a zapominamy o głównym a nawet jedynym celu — o nauce. Odpowiedziałem, że ma słuszność, ale zapominamy nietylko my, lecz i szkraby; mianowicie o tem, że jesteśmy ludźmi, choć młodzi i niedoświadczeni, i że nie wolno nazywać nas „dziećmi", „grubjanami i aro-

gantami", „wstrętnemi dziewczynami" i że to zawsze będzie wywoływać precedenty. Zinaidyszcza zwróciła mi uwagę na to, że się nie mówi „precedent", lecz „incydent". Wreszcie stanęło na tem, że nazajutrz ja przeproszę Almakfisza i wpłynę na Sylfidę, żeby zrobiła to samo.

Na zebraniu jaczejki postanowiono zaproponować szkrabom i „związkowi" utworzenie komisji pojednawczej, któraby zlikwidowała zatarg. Sieriożka Blinow protestował, lecz przedstawiciel władzy zapytał go, czy chce, żeby szkoła podzieliła się na dwa obozy — poczem Sieriożka umilkł.

14 grudnia.

Komisja pojednawcza z udziałem przedstawicieli jaczejki postanowiła znieść przymusowe witanie i wstawanie. Prawa uczkomu zostały rozszerzone; np. sprawy, które dotyczą wyłącznie uczniów, będą rozpatrywane tylko przez uczkom. Na szkrabówkę i na radę szkolną będą wnoszone tylko te sprawy, które dotyczą szkrabów i uczniów razem. Gra w futbol została dozwolona. „Związek" przestał istnieć.

16 grudnia.

Już myślałem, że się wszystko szczęśliwie zakończyło, kiedy nagle przed samą przerwą zimową na szkrabówce szkraby ułożyły charakterystyki uczniów, i kto chciał, mógł przeczytać

swoją. Ja nietylko przeczytałem, ale i przepisałem: „Riabcew Kostia, 15 lat. Rozwój ogólny w stosunku do wieku bezwarunkowo niedostateczny. Do nauki mało zdolny. Kolosalna pewność siebie. Do pracy społecznej zabiera się z zapałem i nerwowością, lecz prędko obojętnieje. Wiek przejściowy i okres dojrzewania płciowego przechodzi wyjątkowo ciężko. Przewaga instynktów, które — przy dużym temperamencie — wymagają natychmiastowego ujścia. Arogant, grubjanin, szorstki w najwyższym stopniu. Wyjątkowo silne działanie ośrodków odruchowych i czuciowych stwarza chorobliwy, ostry egocentryzm. Nawpół świadomy stosunek do zbliżającego się okresu dojrzałości daje pokarm intelektowi, który stara się opanować instynkty. Praca ta daje pewne, choć dotychczas niewielkie rezultaty. Typowy wyrostek według Stanly Holl'a".

Kto to jest ten Stanly Holl? Na pewno jakiś burżuj, nielepszy od Daltona!

Spytałem się Nikpetoża, co to jest egocentryzm. Powiedział, że to jest też egoizm, tylko jeszcze gorszy. Z tego wynika, że jestem egoistą. Myślę jednak, że znów tak wielkim egoistą nie jestem, ale szkrabów przekonać nie można. Ale chodzi właściwie o coś innego; mianowicie, oni napisali, że jestem do nauki mało zdolny. Być może, ale nie powiedzieli, dlaczego. To wszystko przez Daltona. Gdyby nie było Daltona, uczyłbym

się z taką samą łatwością, jak inni. W zeszłym roku uczyłem się nie gorzej od innych i jeszcze miałem czas na czytanie. A teraz z powodu Daltona nie mam na nic czasu. Sylwa ma mniej więcej taką samą charakterystykę, jak ja. Mówiłem z nią o tem; i ona zgodziła się, że to wszystko przez Daltona.

18 grudnia.

Dzisiaj była wielka radość w szkole, ponieważ sprowadzono z kolektoru Alioszkę Czykina. Długo krzyczeliśmy: hurra! i podnosiliśmy go wgórę. Potem odbyło się zebranie uczkomu, na którem postanowiono odesłać Alioszkę do ojca — a razem z nim — dla porozumienia się z jego ojcem mieliśmy pójść Sieriożka Blinow i ja. Alioszka, chudy, blady, nic nie mówi. Widocznie niesłodko mu było i u bezdomnych, i w kolektorze.

Po lekcjach poszliśmy z nim do ojca. Przychodzimy — ojciec trzeźwy, siedzi i dłubie szydłem w bucie. Matka szyje. Kiedy zobaczyła Alioszkę, rozbeczała się. A Sieriożka mówi do ojca: — Obywatelu Czykinie, przyprowadziliśmy tu pańskiego syna. Szkoła ręczy za niego, że się będzie uczyć i wogóle dobrze sprawować. Tylko żąda, żeby go pan nie bił.—Ojciec Czykina odłożył szydło i mówi: — Żadnego prawa nie macie wtrącać się do mego życia; zechcę — zabiję, a nie zechcę — nie zabiję. Tylko to wam powiem, że on w wa-

szej szkole zaczął kraść; to znaczy, żeście go tam tego nauczyli. — W naszej szkole nie uczą kraść — odpowiada Sierjożka. — Jeżeli nawet coś przeskrobał, to więcej tego nie zrobi. Tylko niech obywatel Czykin ma to na uwadze, że jeśli go palcem ruszy, będzie miał do czynienia z całą szkołą, a prócz tego dostanie się do sądu.

Kiedyśmy wyszli, zatrzymaliśmy się umyślnie przed oknem i widzimy: matka daje mu jeść, a ojciec rozmawia z nim, jakby nigdy nic. Uspokoiliśmy się i odeszliśmy.

19 grudnia.

Po drodze do szkoły spotkaliśmy Linę G. Podchodzi do mnie i mówi: — Ostatni raz pytam się ciebie: będziesz ze mną rozmawiać czy nie? — Ostatni raz ci powiadam, że tak samo, jak z innemi dziewczętami.

Ona zaraz odczepiła się ode mnie. To dopiero głuptas! Nigdy w życiu nie pytała się mnie o to, i nagle wyskakuje ze swoim „ostatnim razem!" Sama przesiadła się dalej ode mnie, a tu odrazu mam z nią rozmawiać. Widocznie Czarna Zoja tak wpływa na nią. Doprawdy, niektóre dziewczyny to wprost warjatki!

Wracamy do szkoły — wszyscy siedzą w laboratorjach i kują. Obszedłem wszystkich i rozpytałem się, jak stoją sprawy. Okazało się, że większość uczniów tak, jak i ja — nie ma jeszcze

gotowych prac za grudzień, a przynajmniej połowa nie zdała jeszcze za listopad.

Zebrałem kolegów i poszedłem z nimi do ustępu. Paliliśmy papierosy i omawialiśmy pewien projekt.

21 grudnia.

Posiedzę dzisiaj choćby do 5-ej rano, ale zapiszę wszystko, jak było. Jeszcze onegdaj postanowiliśmy skończyć z Daltonem i przez cały wczorajszy dzień przygotowywaliśmy się do tego. Dzisiaj, kiedyśmy przyszli do szkoły, na wszystkich ścianach rozlepione były napisy: „Precz z Daltonem!" „Niech wszyscy djabli wezmą Daltona"! Była wielka uciecha. Rzuciliśmy się do pianina i nauczyliśmy się piosenki, którą ja sam ułożyłem:

Niech krew nasza płynie,
Niech skończą się męki!
Przeklęty niech zginie
Dalton z naszej ręki!

A kiedy przyszły szkraby, przywitaliśmy ich tą piosenką. Szkraby jakgdyby nigdy nic, rozeszły się po laboratorjach. Ale nikt nie poszedł zdawać, choć niektórzy byli przygotowani.

Wszyscy wybiegli na podwórze, a już tam przygotowaliśmy kukłę ze słomy w podartym kapeluszu, a na szyi powiesiliśmy jej napis: „To jest lord Dalton". Kukłę postawiliśmy na środku po-

dwórza, żeby ją z okien było widać, i zaczęliśmy dookoła niej tańczyć i śpiewać „Karmanjolę". Potem kukłę podpaliliśmy. Nadszedł stróż, ale kiedy zobaczył, że niema niebezpieczeństwa, śmiał się razem z nami. Kukła płonęła wielkim jasnym płomieniem i wydawała trzask, a myśmy śpiewali. Zaśpiewaliśmy jeszcze taką piosenkę:

Jesteś burżuj, wstrętny lord!
Wynoś się, przebrzydły czort!

Śpiewając, wpadliśmy do szkoły. Szkraby już na nas czekały, a Zin-Pałna zapytała, czy chcemy zwołać ogólne zebranie, czy też jesteśmy tak zdenerwowani, że lepiej będzie pójść do domu. Chociaż niektórzy z młodszych wołali, żeby pójść do domu, jednak zadzwoniono i zwołano ogólne zebranie. Przed zebraniem poszedłem do ustępu i widzę, w kurytarzu na podłodze poniewiera się jakaś kartka. Podniosłem ją i przeczytałem:

„Wiedzcie wszyscy, że my, dwie dziewczynki, nie chcemy dłużej żyć, ot, z jakich powodów: po pierwsze wszyscy nas prześladują i krzywdzą. Po drugie — jedna z nas chce być jak najprędzej na tamtym świecie, a druga kocha się nieszczęśliwie. Wszystkim przebaczamy. Prosimy, żeby nas pochowano według obrządku kościelnego. A dzisiejsze moje śniadanie niech zje Kostia Riabcew. Jemu też przebaczam. Kto przeczyta tę kartkę, niech nikomu nie pokazuje. I niech nas pochowają ra-

zem w jednej trumnie. A jeżeli samobójców nie wolno chować według obrządku kościelnego, to niech przynajmniej będzie nabożeństwo żałobne. Żegnajcie!

P. S. A jeżeli chcecie znaleźć nasze trupy, to idźcie do laboratorjum fizycznego. Lina G. i Zoja T."

Przelękłem się bardzo i pobiegłem zpowrotem do sali; nagle widzę, do ściany przymocowana jest kartka. Zerwałem ją i przeczytałem: „Żegnajcie wszyscy, wszyscy, wszyscy — rodzice, chłopcy, dziewczęta, cała szkoła. Żegnajcie! Ciała nasze są w laboratorjum fizycznem. Lina i Zoja".

Wpadłem do sali. Rozpoczęło się już ogólne zebranie. Wołam: — Prędzej, do laboratorjum fizycznego! Tam dziewczęta odbierają sobie życie! Może jeszcze zdążymy!

Wszyscy zerwali się z miejsc i pobiegli; szkraby i uczniowie. Ja wpadłem jeden z pierwszych ale... nikogo tam nie było. Zaczęto przewracać w szafach i na półkach, jakgdyby one tam się mogły schować. Nagle z audytorjum rozległ się czyjś głos: — One są tutaj obiedwie! — Biegniemy wszyscy do laboratorjum, one tam siedzą za pulpitami — obiedwie żywe — a łzy strumieniami leją się im z oczu.

Zaraz je stamtąd wyciągnięto, a mnie kamień spadł z serca. Teraz dopiero poczułem, że

przez cały czas szukania coś mnie ściskało za gardło.

Linę i Zoję zaprowadzono do pokoju nauczycielskiego, dano im kropel walerjanowych, a mnie ze wszystkich stron obstąpiły szkraby i uczniowie i pytają, jak się o tem dowiedziałem. Pokazałem obie kartki i powiedziałem, jak je znalazłem. Wtedy Zin-Pałna mówi: — To jest świństwo. Kartki były umyślnie podrzucone. Zoja i Lina nie miały zamiaru odbierać sobie życia, a wszystko to zrobiły tylko dlatego, żeby zwrócić na siebie uwagę. Teraz będą musiały opuścić szkołę.

Kiedy to usłyszałem, zrobiło mi się jeszcze lżej na sercu; zauważyłem, że nikt z nas nie ma zamiaru zaprzeczyć Zin-Pałnie. Potem przyszedł z pokoju nauczycielskiego Nikpetoż. Opowiedział, że pytał się ich, jaką śmiercią chciały zginąć, a one przyznały się, że chciały umrzeć od zaczadzenia. W tym celu za wcześnie zamknęły szyber w piecu, otworzyły drzwiczki i czekały. — Rzeczywiście, w laboratorjum czuć było czad. — A dlaczego wyszły z laboratorjum?—pyta Zin-Pałna. — Zlękły się — odrzekł z uśmiechem Nikpetoż, i wszyscy wybuchnęli śmiechem. — Jakiż to samobójca — powiada Zin-Pałna — rozrzuca po korytarzu kartki z adresem; a już na pewno nie przypnie ich do ściany. — Uznaliśmy to wszyscy za słuszne.

— A więc jest jasne, że to wszystko było udane; przecież rozumiały, że zanim umrą od

zaczadzenia, ktoś wejdzie do laboratorjum — powiada Zin-Pałna. — Trzeba będzie wezwać rodziców.

A stojący obok Almakfisz mówi: — Z filozoficznego punktu widzenia ilościowo jest to bogactwo epoki, a jakościowo stoi poza dobrem i złem.—Słyszałem to od niego już kilka razy. Powtarza jak gramofon.

Wtem Nikpetoż podnosi rękę i mówi: — Proszę mnie posłuchać. Tworzymy obecnie nową wolną szkołę. Nieraz czytaliście i słyszeliście, że dawniej szkoła była zupełnie inna. Oczywiście, na drodze tworzenia nowej szkoły spotkamy niejedną przeszkodę, jak wogóle na każdej nowej drodze. Ot, np. dzisiaj, zbuntowaliście się przeciwko systemowi Daltona. Nie podoba się wam ten system. Czyż doprawdy chcecie, żeby was kijem zapędzano do nauki jak w starej szkole? I żeby wam narzucano oświatę wbrew waszej woli? System Daltona bezsprzecznie nie jest łatwy; może nawet w stosowaniu tego systemu robimy błędy, ale przecież błędy można naprawić. Kto się nie myli, ten nie pracuje. Nie można stworzyć nowej szkoły spokojnie, tak, jakby się nam chciało; tworzy się ona burzliwie z przeszkodami. Ot, np. wy powstajecie przeciwko samorządowi i przeciwko systemowi Daltona. Wasze niezadowolenie — to jest właśnie jedna z przeszkód, o których mówiłem. Lina i Zoja chciały postawić na waszej drodze

nową przeszkodę; ale tylko przez bezmyślność i głupotę, i dobrze robicie, że im przebaczacie. Wprawdzie, spodziewałem się tego po was, po młodem pokoleniu, które wyszło z rewolucji i żyje w tak burzliwym okresie. Nasza kierowniczka, Zinaida Pawłowna, zdaje się, nie chce przebaczyć tym dziewczynkom. A ja przyłączam się do waszej prośby; i myślę nawet, że niema poco wzywać rodziców; a co najważniejsze — nie trzeba wydalać ze szkoły. Myślę, że razem z wami potrafimy tak wpłynąć na nie, że porzucą myśli o samobójstwie i że dojdą do wniosku, że w nowej wolnej szkole niema miejsca na rozpacz i samobójstwo. I oto, Zinaida Pawłowna, ja i uczniowie prosimy, żeby pani przebaczyła Zoi i Linie.

Zin-Pałna chciała coś powiedzieć, lecz my zaczęliśmy krzyczeć: — Przebaczyć! Wpłyniemy na nie! Przebaczyć! Przeba-a-a-aczyć!

Zin-Pałna aż zatkała uszy. Kiedy przestaliśmy krzyczeć, podniosła rękę i mówi: — Obie dziewczynki, oczywiście, powinny być wydalone. Sądzę, że tego samego zdania będzie Wydział Oświaty Ludowej. Jednak zgodzę się nie rozmazywać tej sprawy i nawet ręczyć za nie, jeżeli szkoła spełni jeden niewielki warunek.

Nastawiliśmy uszu: — Jaki warunek? — Taki — powiada Zin-Pałna — uszanować system Daltona i nie psuć nam pracy bezmyślnemi wybrykami. Chyba się zgodzicie, że dzisiejszy wybryk nie miał

sensu. Możecie twierdzić, że system Daltona jest trudny, ale nie — że niedorzeczny. A w każdym razie walczyć trzeba środkami rozsądnemi, a nie paleniem kukły. Oto mój warunek.

Milczymy, a Nikpetoż powiada: — Chyba ten warunek będzie przyjęty? Co? W każdym razie mamy możność rozsądnie rozważyć system Daltona. Dotychczas nie zrobiliśmy tego, bo nie było czasu i były inne trudności. A więc, chłopcy i dziewczęta, przyjmujemy?

Patrzę — wszyscy podnoszą ręce. Więc i ja podniosłem, choć ze ściśniętem sercem.

— A więc — powiada Zin-Pałna — Linie i Zoi przebaczam i sama porozumiem się z Wydziałem Oświaty Ludowej.

— Hurra!!! — krzyknęliśmy tak głośno, że w uszach zabrzęczało. — Wgórę Nikpetoża! wgórę!

I Nikpetoż odrazu znalazł się w powietrzu.

DRUGI KWARTAŁ

ZESZYT PIERWSZY

1 stycznia 1924 r.

W czasie feryj zimowych obchodziłem Boże Narodzenie w robotniczym klubie razem z naszymi komsomolcami. Najprawdopodobniej przyłączą do tej fabryki i naszą jaczejkę. Przyszedłem ra-

zem z Sylwą o 10-ej godzinie wieczorem, ale choć sala była przepełniona, nic się jeszcze nie rozpoczęło; ciasno było i duszno. O godzinie 11-ej przyjechał mówca i zaczął opowiadać o różnych bogach. Może to nawet i byłoby zajmujące, gdyby mówca nie był tak zmęczony i zachrypnięty. Wszyscy przyglądali się z ciekawością, jak popijał wodę. Potem wśród wykładu nagle spojrzał na zegarek i powiedział: — Towarzysze, przepraszam was, ale muszę już skończyć, bo mam być jeszcze w pięciu miejscach.—Zerwał się z estrady i pojechał, nie dokończywszy wykładu. Według mnie, nie trzeba było zaczynać. Potem bardzo długo trwała przerwa; chciało mi się okrutnie spać, aż tu niespodzianie podniosła się kurtyna i zaczęło się przedstawienie. Na tem przedstawieniu popi różnych państw spierają się między sobą, kto ma lepszego boga, aż tu nagle wchodzi robociarz z miotłą i przepędza wszystkich. Dlaczegoś kręci się tuż jakiś burżuj. Chociaż on tam był ni przypiął, ni przyłatał, ale grał lepiej od innych i był bardzo zabawny. A najśmieszniejsze było to, że kalesony wysunęły mu się z pod spodni. On je cały czas podciągał; poprawi, a one znowu wyłażą. Sala trzęsła się od śmiechu. Według mnie, jeżeli ma być propaganda antyreligijna, to koniecznie trzeba pokazać coś śmiesznego, tylko wtedy można dopiąć celu. A te przeróżne referaty, wy-

kłady, szczególniej takie, jaki był na tym wieczorze, mogą tylko zniechęcić.

Poza tem jeszcze byłem wczoraj, w wilję Nowego Roku, w naszej szkole 1-go stopnia na przedstawieniu. Sylwa też była. Przedstawiali „Czerwony Kopciuszek". Były tam jakieś dwie siostry burżujki, a trzecia — praczka. Kto to wymyślił, nie wiem, tylko według mnie tak nie bywa, tem bardziej, że mieszkają one wszystkie trzy razem. Potem jakoś te trzy burżujki jadą na bal, a Czerwony Kopciuszek zostaje w domu, żeby zmyć statki. I odrazu zjawia się jakiś oberwaniec w czerwonej koszuli i temu Kopciuszkowi daje do przeczytania proklamację. Kopciuszek czyta, potem kładzie suknię siostry i ucieka. W drugim akcie — bal. Na tym balu tańczą siostry Kopciuszka i jeszcze jakieś inne dziewczęta, a wszystkie pstro ubrane. I otóż nagle wpada Kopciuszek i też zaczyna tańczyć. Nadskakuje jej książę, ale ona się go boi, ucieka i gubi trzewik. Potem w trzecim akcie książę przyjeżdża do nich do mieszkania i zaczyna przymierzać wszystkim ten trzewiczek. Nie pasuje on do żadnej nogi, tylko dla Kopciuszka jest w sam raz. Książę już chce się z nią żenić, ale nagle — zjawia się ten sam agitator w czerwonej koszuli, oznajmia, że rozpoczęło się powstanie, i tuż zaczyna walić księcia po karku. Książę daje drapaka przez widownię, ten w czerwonej koszuli pędzi za nim, a tymczasem wychodzą na

estradę wszyscy ci, co byli na alu kostjumowym, i razem z siostrami Kopciuszka śpiewają „Międzynarodówkę".

Dużo tu było rzeczy nieprawdopodobnych, ale oczywiście, nie można zbyt wiele wymagać od takich małych dzieci, a grały one morowo, nawet ja sam chciałem być na scenie.

Doprawdy: dlaczego nigdy nie urządzamy przedstawień? Trzeba o tem pomówić z Nikpetożem. Według mnie, wogóle, przyjemniej bywać w kinie niż w teatrze, dlatego, że w kinie nie trzeba myśleć; ale samemu lepiej grać w teatrze: wszak na ekranie pozostaje tylko nasz cień.

Po przedstawieniu malcy zaczęli tańczyć.

Natychmiast poszedłem do ich szkrabki Marji Iwanowny i powiedziałem:

— A czy towarzyszka wie o tem, że tańce wogóle są zabronione?

A ona na to:

— Po pierwsze, towarzyszu Riabcew, proszę się nie wtrącać do nie swoich spraw. I tak wasza szkoła 2-go stopnia płacze i skarży się na ciebie, a ty jeszcze i tu masz coś do powiedzenia. A po drugie, jeżeli się tobie nie podoba, to możesz odejść. Wogóle nie rozumiem, co ty tu masz do roboty.

Rozzłościłem się okropnie, ale zapanowałem nad sobą i postanowiłem opowiedzieć o tem w naszej jaczejce. Potem przyglądałem się tańczącym

i zapytałem Sylwę, czy ona umie tańczyć. Powiedziała, że umie, ale nie lubi; przytem oczy jej błyszczały jakoś, twarz zarumieniła się, a kokarda poruszała się w takt muzyki. Myślę, że gdyby mnie tam nie było, to na pewno onaby tańczyła. Prawdę powiedziawszy, i ja czułem się jakoś inaczej niż zwykle. Było bardzo jasno, wszystkie lampy paliły się, i choć grano na zwyczajnym fortepianie, muzyka tak oddziaływała na mnie, że chciało mi się zrobić coś takiego niezwykłego. Naprzykład wygłosić wspaniałą mowę, albo przejść się ze sztandarem w ręku. Albo chociażby fiknąć koziołka. Ale oprócz Sylwy nie było nikogo z naszej szkoły. Nagle Sylwa bierze moją rękę i mówi:

— Władlen, za nic dłużej tu nie pozostanę.— (Stanęła pomiędzy nami umowa, że będzie mnie nazywała Władlenem). — Jeżeli chcesz, możesz zostać, a ja odejdę.

Oczywiście, i ja poszedłem. Sam nudziłbym się. Po drodze Sylwa powiada do mnie:

— Nie trzeba ulegać zachciankom, co się wtedy stanie z ideologją?

Trudno z tem się nie zgodzić.

5 stycznia.

Zauważyłem, że bardzo mało sypiam w nocy. Zacząłem szukać przyczyny. Można byłoby przypuszczać, że to skutek intensywnej nauki, ale właśnie podczas świąt mało się uczyłem i zaniedba-

łem kilka przedmiotów nietylko za grudzień, ale nawet za listopad. Jeszcze dlatego trudno mi zrozumieć, skąd ta bezsenność, że zupełnie dostatecznie spaceruję i ślizgam się. Poszedłem do Siериożki Blinowa i powiedziałem mu o tem. A on mnie zapytał:

— Czy dużo czytasz?

Odpowiedziałem mu, że dużo, na co Sieriożka odrzekł, że prawdopodobnie dlatego źle sypiam. Kiedy wracałem od niego, zacząłem myśleć, czy to możliwe. Okazało się, że podczas tych wakacyj nie tak dużo przeczytałem, ale niektóre ustępy specjalnie zapamiętałem i w nocy dużo o nich myślę. Naprzykład czytałem opowiadanie, zatytułowane „Schadzka". W tej nowelce guwernantka-Francuzka pokazuje chłopakowi swoją nogę wyżej kolana. Chociaż on uciekł od niej, bo od Francuzki czuć było potem, to jednak ustęp ten zapamiętałem dobrze. Jest to opowiadanie z żółtej książeczki uniwersalnej bibljoteki. Jak to dziwnie się dzieje: uczymy się razem z dziewczętami, chwytamy je, tłuczemy i nie sprawia to najmniejszego wrażenia, a ot przeczyta się coś o tem, i już trudno zasnąć. Dlaczego tak się dzieje?

A głównie wstrętne jest to, że po takich rozmyślaniach mimowoli fim-fim, pik-pak (tak w oryginale N. 0).

11 stycznia.

W „Katuszce" wydrukowano zbiór „ulubionych szkolnych słówek":

Urwipołeć, zabijaka, nudziara, gęba, klepajło, drań, bydlę, idjota, czort, djabeł, świnia, swołocz, kanalja, sukin syn, podlec, żebyś zdechł, „cham", a o „durniu" i „bałwanie" to niema co wspominać.

A jeszcze jest dopisek: „niektórych słów nie można wydrukować w gazecie ściennej, dlatego, że sama gazeta mogłaby się zaczerwienić, takie to są wyrazy. Pozostawiamy to już „Dodatkowi do Iksa" czyli „DDX". W korytarzu przy „Katuszce" rozgadał się z nami Nikpetoż. Powiedział nam, że prasa ścienna w szkole jest pożyteczna, a potem zapytał:

— Jak wy sądzicie, w jaki sposób zwalczać te wyrazy? — Ktoś pośród nas bąknął, że nic złego niema w tych wyrazach. Inni wypowiedzieli się przeciwko nim. Nikpetoż taką rzecz zaproponował.

— Odrazu trudno jest odzwyczaić się od mówienia brzydkich słów, ale stopniowo można się nauczyć tego nie czynić. Naprzykład niech uczkom zabroni używać wyrazów, które są po „czorcie", tylko „do czorta", można. Śmialiśmy się i nareszcie zgodziliśmy się, że można używać wyrazów gęba, klepajło, świnia, dureń, bałwan, czort. Reszta to już „po czorcie". Ciekaw jestem, co z tego wyniknie. Wszak to było ogólne zebranie nieoficjalne, w korytarzu, i jego postanowienia nie są obowiązujące.

Potem Nikpetoż wybrał kilku chłopców z po-

śród nas, i poszliśmy razem do laboratorjum społecznego. Dziewcząt nie było. Nikpetoż tak do nas powiedział:

— Muszę jeszcze z wami pomówić o brudnych, brukowych i innych ohydnych przekleństwach. Sądzę, że kto używa sprośnych słów, ten hańbi własny język. Cobyście powiedzieli, gdyby dzieciaki przychodziły do szkoły, oblepione gnojem, niemyte i zawszone?

Odpowiedzieliśmy, że oczywiście nie można dopuścić do czegoś podobnego.

— Otóż to samo jest z temi haniebnemi wyzwiskami. Jest to równoznaczne z przychodzeniem do szkoły w splugawionem ubraniu. I to taka sama zaraza, jak brud, tylko umysłowa. Stara szkoła nie mogła tego zwalczyć dlatego, że panowała w niej przemoc i uczniowie wyrażali swój protest zapomocą wyzwisk i przekleństw. A wy przeciwko czemu protestujecie?

Nie wiedzieliśmy, co na to odpowiedzieć, i milczeliśmy. Zauważyłem, że nie pierwszy to raz Nikpetoż zaczynał o tem rozmowę z nami.

12 stycznia.

Kapustniki! Jak tam musi być wesoło. Powiedział mi o tem Wienia Pałkin z IV-ej grupy. Wielki to sekret, nawet kazał przysiąc, że nikomu nie powiem. Tymczasem nic o tem nie będę pisał, bo mógłbym się wsypać. Tylko mam wątpli-

wości, czy to nie jest sprzeczne z zasadami komsomołu.

13 stycznia.

Dziś po lekcjach jedna z dziewcząt siadła do fortepianu i zaczęła rżnąć tańce. A dziewczyny i duże, i małe, jakgdyby zmówiły się między sobą, zaczęły wywijać nogami. Bardzo dobrze wiem, że tańce są wzbronione, dlatego też zbuntowałem niektórych chłopców, i zaczęliśmy dziewczynkom podstawiać nogi. Oczywiście, zaraz zaczął się wrzask, pisk, nadbiegły szkraby, i rozpoczęło się lotne ogólne zebranie. Wolę takie przygodne zebrania, bo na oficjalnych mamy nudziarstwo z protokółem, a na lotnem—krzyki, wszyscy są podnieceni i to zawsze z powodu jakiejś bojowej sprawy.

Zin-Pałna zapytała przedewszystkiem, dlaczego chłopcy są przeciwni tańcom.

— Dlatego, że to nie zgadza się z naszą ideologją — odpowiedział Sieriożka Blinow.— Tańce nie mają nic wspólnego z nauką i rozumem, polegają one na seksualnem ocieraniu się jednych o drugich.

Na to wybiegła Jelnikitka i powiedziała: — Mojem zdaniem, chłopcy dlatego są przeciwko tańcom, że sami nie umieją tańczyć. Futbol też nie ma nic wspólnego z nauką i rozumem, jest grą ordynarną, a jednak chłopcy chętnie się ba-

wią w ten sposób. — Tu już wszyscy chłopcy zawrzeszczeli, że futbol jest fizkulturą.

— No to i tańce są fizkulturą — powiedziała Czarna Zoja.

— Nie zgadzam się z tem — rzekła Zinaidyszcza. — Zdaje się, że w żaden sposób nie można tańców nazwać fizkulturą. Taniec jest tylko nadzwyczaj przyjemną rozrywką, i jeżeli ją skasować, to koniecznie trzebaby było zastąpić czemś innem. Chodzi tylko o to — czem. Radziłabym zorganizować gry w gmachu. Mogę nawet dać podręcznik.

— Przedewszystkiem nie jesteśmy w szkółce freblowskiej, ażeby pląsać z dziewczętami. Znam bardzo racjonalną rozrywkę i myślę, że przeciw niej nikt się nie wypowie. Otóż byłem w szkole pierwszego stopnia i widziałem, jak tam maleństwa grały na scenie. Tak mi się to spodobało, że sam zapragnąłem być na scenie. To wielka szkoda, że my nie urządzamy przedstawień.

— Zupełnie słusznie — odpowiedziała Zin-Pałna. — Poprostu nie miał się kto tem zająć. Jeżeli ktokolwiek z pracowników szkoły podejmie się tego, to ja nic nie będę miała przeciwko tej rozrywce.

Z wielkim hałasem pobiegliśmy do Nikpetoża. Zgodził się natychmiast i obiecał znaleźć odpowiednią sztukę. Potem rozeszliśmy się. Wienia Pałkin zawołał mnie i kazał mi uroczyście przy-

siąc, że się nie wygadam. Taka to tajemnica: z powodu Nowego Roku starego stylu odbędzie się kapustnik; dał mi adres. Trzeba było iść o 9-ej, a tu już 8½. Tatce powiedziałem, że idę do kina na dobre miejsce, i wziąłem pieniądze.

14 stycznia.

Gdyby nie ta okrutna tajemnica, dużo, bardzo dużo mógłbym napisać o kapustnikach. Widziałem tam Linę, zdziwiło mnie to bardzo.

15 stycznia.

Nauka w szkole idzie dawnym trybem, teraz jest mi o wiele łatwiej, dlatego, że już nie jestem uczkomem. Zdałem ze wszystkich przedmiotów za listopad i trochę za grudzień.

Dziś Nikpetoż przyniósł jakąś książkę i zebrał nas wszystkich w audytorjum.

— Otóż — powiada — Riabcew proponuje urządzić przedstawienie. Podoba mi się ten projekt. Ale ponieważ nie mamy dobrych współczesnych sztuk, zaproponuję wam odegrać jeden z utworów Szekspira: „Hamlet". Coprawda, to na pierwszy rzut oka niema w niej nic rewolucyjnego. Ale to tylko się tak wydaje. Jest w niej kolosalny protest wewnętrzny.

Potem zaczął nam czytać na głos. Czyta on bardzo dobrze. Przyjemnie go słuchać. Szkoda tylko, że tak dużo banialuków jest w tej sztuce.

Oczywiście, można to wybaczyć dlatego, że sztuka ta napisana była bodaj czy nie przed pięciuset laty i Szekspir pisał ją dla królowej, a nie dla proletarjatu.

Na wszelki wypadek zanotuję sobie wszystko, co mówiłem w audytorjum o błędach Szekspira.

Z początku w Hamlecie mówi się o straży, która stoi na ganku, i o zjawieniu się ducha. Potem przychodzi Hamlet, i ten duch prowadzi go, licho wie gdzie, a po drodze opowiada mu, jak jego, to jest tego ducha, otruli. Okazuje się ,że to jest duch jego ojca, tego ojca naprawdę otruł rodzony brat, czyli wujaszek Hamleta, który ożenił się z wdową i został królem zamiast ojca Hamleta. Mnie się zdaje, że te dwie rzeczy nie wiążą się z sobą. Po pierwsze niema żadnych duchów, a jeżeli się już jakiś tam duch zjawił, to ja na miejscu Hamleta dałbym drapaka, poco z takim gadać, żadną bronią go nie można pokonać, gdyby on zechciał bić się albo zadusić. Po drugie ten duch plecie, że mu wleli truciznę do ucha podczas snu. Jakoś nigdy nie słyszałem, żeby kogoś w ten sposób otruli. No, wreszcie niech i tak będzie, może przed pięciuset laty tak robili. O wiele większy błąd u Szekspira ot na czem polega: Tam jest Polonjusz, taki staruszek. Ma on córkę Ofelję i syna Laertesa. Hamlet kręci się koło tej Ofelji i jakgdyby zakochał się w niej, chociaż o tem niezupełnie wyraźnie się mówi. A Laertes mieszka

we Francji, i staruszek niepokoi się, żeby on się tam nie rozłobuzował. Potem wszyscy zaczynają dostrzegać, że Hamlet jest jakiś rozstrojony, i myślą, że to z miłości do Ofelji, a naprawdę to on denerwuje się przez tego ducha i nawet udaje warjata. A udaje on naumyślnie, gdyż chce się dowiedzieć, czy ten duch powiedział mu prawdę o otruciu, czy też nablagował. Otóż ten zwarjowany Hamlet urządza przedstawienie i pokazuje, jak trują jego ojca, króla. A nowy król, ten wujaszek Hamleta, przychodzi na to przedstawienie razem z jego matką. Ot tutaj są te banialuki. Ja myślę, że nawet w tamtych czasach nie pozwoliliby warjatowi urządzać przedstawienia, a wprost zamknęliby go w domu warjatów. A jednak król i królowa spokojnie usiedli, aby popatrzeć na to warjackie widowisko, ale jak zobaczyli, co im pokazują, tak co prędzej drapnęli. A Hamlet naumyślnie na całego pokazuje, jaki on warjat. Po pierwsze siada wprost na podłodze zamiast na krześle, po drugie ciągle przerywa, wygadując różne głupstwa, a potem jak wskoczy i wrzaśnie:

Strzałą zranili jelenia!!

Król strasznie się rozzłościł, a Hamlet tylko na to czekał. Teraz był już pewien, że to król otruł jego ojca. Choć Hamlet pochodził z burżujów, to jednak chłop ten głowę miał na karku.

Potem z Hamletem rozmawia jego matka, kró-

lowa, jakgdyby prosi go o przebaczenie, a stare dziadzisko Polonjusz schował się za firanką i podsłuchuje. Hamlet zauważył go poprzez firankę i przebił go szablą jak szczura. Z tego powodu dziewczyna, ta sama Ofelja, już naprawdę warjuje, a syn Laertes przyjeżdża z Francji i chce zakatrupić Hamleta za to, że on jego tatusia zamordował. Dlatego też Laertes zatruwa swój rapier i wywołuje Hamleta na pojedynek. To się tak mówiło wtedy, jak ktoś z kimś sam na sam się bił. Ażeby już na pewniaka zakatrupić tego Hamleta, król przygotowuje filiżankę z trucizną. Jakoś jednak tak się wydarzyło, że Hamlet zabija Laertesa, filiżankę z trucizną dostaje królowa, a potem Hamlet przebija króla i już sam umiera. Przedtem jest jeszcze scena, w której Hamlet rozprawia z czaszkami trupiemi, ale według mnie, to już zupełne bzdury. Przecież tylko warjaci mogą rozmawiać z czaszkami. A wszak Hamlet nie warjat, a tylko udaje.

Większość głosów wypowiedziała się za tem, żeby grać tę sztukę. Ja się powstrzymałem od głosowania dlatego, że myślę, iż lepiej byłoby zagrać coś współczesnego. Naprzykład, żeby były barykady i walka rewolucyjna.

Czarna Zoja była podczas czytania, ale siedziała cicho.

Lina czegoś nie przyszła.

16 stycznia.

Nikomu jeszcze ani słowa o kapustnikach nie mówiłem. To nadzwyczajna tajemnica. Wienia Pałkin powiada, że nikt o tem nie mówi. To bardzo ważne.

A czasami zaczynam wątpić, czy bywanie tam odpowiada ideologji komsomołu i czy zgodne jest z walką komunistyczną? Jakoś pod tym względem nie mam zaufania do Sylwy. No i Wienia Pałkin utrzymuje, że nie warto jej wtajemniczyć. Wienia powiada, że ona jakaś inna. A więcej nie mam kogo się radzić. Wienia nie jest komsomolcem. Gdybym zapytał kogoś ze starych komsomolców, mógłbym całą sprawę zasypać. Poprostu nie wiem, co robić.

17 stycznia.

Dziś był już ostateczny koniec naszego buntu przeciwko Daltonowi. Przyjechał instruktor, i było ogólne zebranie. Omawiało się sprawy szkolne i znaczenie systemu Daltona. Na zebraniu nudy były okropne i ja prawie cały czas malowałem plakat. Zin-Pałna opowiadała, jakeśmy palili kukłę „lorda Daltona". Niepotrzebnie o tem mówiła: podokazywaliśmy trochę, a ona zaraz z tem wybrała się do instruktora. Instruktor zaśmiał się i powiedział:

— Żyliście sobie spokojnie i nie trzeba było

prosić obcych ludzi o pomoc. Teraz widzę, że nie dajecie sobie rady. Jest to wina zarówno pracowników szkolnych, jak i dzieci. Niezbędne okazało się narzędzie chirurgiczne. Ja niem jestem. Sądzę, że w przyszłości można będzie obejść się bez tego instrumentu. A teraz, dzieci, zapytuję was, na czem polegają wady systemu Daltona i jak według was zaradzić złemu.

Posypały się różne skargi na Daltona: w laboratorjach brak pomocy naukowych, dużo tematów do opracowywania, uczniowie są przeciążeni pracą, szczególniej ci, którzy należą do komitetów, i wiele jeszcze wszelkich innych zarzutów. Potem ja wstałem:

— Nie o laboratorja chodzi — powiadam — a o to, że od tego Daltona głowa pęka i ręce się trzęsą.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

— Czegóż się śmiejecie? — pytam. — Zdarzało mi się nieraz nie sypiać po nocach, szczególniej, kiedy byłem uczkomem, to wcale nie jest zabawne. Nie ja jeden na tem cierpię. Przez tego Daltona gorzej poszło z nauką. Dawniej nie było w naszej grupie takich, co nie dążyli odrabiać ćwiczeń, a teraz są.

— Kto taki? — zapytuje Zin-Pałna.

— Ja — odpowiedziałem — i znowu wszyscy zaczęli się śmiać.

— Znowu się śmiejecie? — powiedziałem im

ze złością.—Dalton stale przygniata mnie jak worek z mąką. Do czegokolwiek zabieram się, zaraz przypominam sobie, że z tych lub innych przedmiotów nie zdałem. To z matematyki, to z przyrody to znów wykresów na czas nie zrobiłem. Uczyć się nie mam gdzie i nie mam kiedy. Ani to poczytać, ani poślizgać się...

— A ja często widywałam Riabcewa na ślizgawce podczas feryj — wtrąca się tu to ziółko Jelnikitka.

— A co wy myślicie, że ja tutaj powinienem wciąż w tych czterech ścianach siedzieć?

A instruktor się odzywa:

— Czemuż to Riabcew wporę nie zdaje z przedmiotów?

— Nie dążę i w dodatku byłem uczkomem.

Wtedy instruktor pyta:

— Zinaida Pawłowna, czy inni też nie dążą?

— Nie, większość uczniów normalnie pracuje.

Tak ja wpadłem. System Daltona pozostał. Onby nawet pozostał, gdyby większość uczniów nie mogła nadążyć z nauką. Nasza szkoła wciąż jeszcze jest w tem położeniu, kiedy to szkraby decydują o wszystkiem, a uczniowie są czemś w rodzaju chłopów pańszczyźnianych, o których opowiadał nam Nikpetoż: wolni bywają tylko wtedy, kiedy odrobią swoją pańszczyznę. A instruktor i wszystkie władze szkolne zawsze są po stronie szkrabów. W innych szkołach jest inaczej. Naj-

więcej mnie oburza to, że nas, starszych uczniów, wciąż traktują jak małe dzieci. Na pożegnanie Zin-Pałna powiedziała:

— Teraz życie szkolne ostatecznie uregulowało się. Będziemy się uczyć, uczyć i uczyć! Pamiętacie, czyje to słowa?

Wszyscy zakrzyczeli:

— Lenin! Lenin!

Na tem się skończyło.

18 stycznia.

Role już podzielono: Hamleta będzie grał Sieriożka Blinow. Jabym nie gorzej od niego zagrał. Trzeba będzie grać Laertesa. Choć to rola z fechtunkiem, a jednak to już nie to, nie taka dobra rola. Niech ich djabli wezmą, ostatecznie zagram Laertesa! Lepszy rydz niż nic. Próbowałem już dziś fechtować się i umierać.

Jakoś tam nieźle mi poszło. Szczególniej ten ustęp:

...— Co się dzieje? Jestem raniony!
Mój rapier trzymał Hamlet — jestem zgubiony.

A jeszcze:

Ciebie i królową zgubił
Król... Król...

Ostatnie słowo „król" trzeba wymawiać szeptem, jakgdyby podpowiadało się na lekcji.

Z dziewczętami było gorzej. Nie licząc tam wszelkich służebnic, to w sztuce są tylko dwie

role kobiece: królowa i Ofelja. Oczywiście, wszystkie dziewczęta chciały grać Ofelję. — Zjawiły się trzydzieści dwie sztuki z przeróżnych grup. Nikpetoż wypróbowywał jedną po drugiej w czytaniu, w chodzeniu i ich ruchy. Długo nie decydował się, którą z nich wybrać, wreszcie odłożył do jutra. Jak tylko sobie poszedł, zaczęła się prawdziwa uciecha. Wrzask był okropny. Jedna krzyczy: „Ty nic nie potrafisz, nawet głos masz nieodpowiedni". A druga: „Ty jesteś zbyt małego wzrostu". Trzecia znów: „Jeżeli nie dostanę roli, to wcale nie będę brała udziału"... Wszystkie wołają jednocześnie, trudno cokolwiek zrozumieć... Zaproponowałem, żeby ciągnęły supełki, a one wszystkie rzuciły się na mnie, ledwo uciekłem z audytorjum...

Lina znów nie przyszła, ona nawet w szkole nie była. Czarna Zoja wcale nie starała się o rolę, stała sobie cały czas nauboczu. Po tym wypadku, kiedy sobie życie odbierały i tak przelękły się, ona odzywa się teraz bardzo rzadko. Sylwa nie przyszła na podział ról, uważa, że nie posiada talentu dramatycznego. Przekonywałem ją, jak mogłem, a ona — ani rusz.

— Próbowałam—powiada—i nie udawało się.

19 stycznia.

Wieńka Pałkin, choć z Sucharewki (jego ojciec ma tam stragan), a uczy się w czwartej gru-

pie najlepiej. Szkraby powiadają, że on ma wielkie zdolności. To prawda: ile razy prosiłem go, żeby mi rozwiązał zadanie albo opowiedział coś z historji, zawsze doskonale to robił. Zdaje mi się, że on ma bardzo bogatą fantazję: w zeszłym roku zaczął mi bajać o Ameryce i nagle powiada, że był tam sam w tej Ameryce. Odrazu mu nie uwierzyłem. Przecież musiałby umieć po amerykańsku gadać, a Wieńka sam się przyznał, że nie umie. Ale ja udałem, że uwierzyłem, wtedy to Wieńka w strasznej tajemnicy powiedział, że znowu wybiera się do Ameryki i bardzo możliwe, że weźmie mnie ze sobą. Zrozumiałem wtedy, że to bujdy, ale się z tem nie zdradziłem. A co się tyczy tych kapustników, to nie skłamał... Tylko wciąż jakoś wydaje mi się, że te kapustniki nie zgadzają się z ideologją.

Dziś była próba „Hamleta" i wieczorem w ściennej „Katuszce" ukazała się karykatura Sieriożki Blinowa, który wygraża pięściami, a zewsząd chłopcy i podpis:

— Co się stało obywatele? Czy tam kogoś zarżnęli?
— Dlaczego takie wrzaski?
— A, to próba „Hamleta".

I rzeczywiście dużo było hałasu. Sieriożka ma zachrypnięty bas i wydziera się z całych sił. Ofelję próbowała grać Czarna Zoja, i Nikpetoż

powiedział, że jej nieźle poszło. I doprawdy, znośnie gra, tylko zdaje mi się, że możnaby jeszcze lepiej... Już wytrenowałem się w trzymaniu rapieru (to jest kija), i bardzo pragnąłem pokazać to wszystkim, ale do tego jakoś nie doszło: nie zdążyliśmy powtórzyć ostatniego aktu.

22 stycznia.

Mam wrażenie, że wszystko na świecie skończyło się, a na ziemię opadł czarny zmierzch. Już trzecia godzina po północy, a ja siedzę przy stole i nie mogę obmyśleć ani pojąć. Z początku myślałem, że to jest sztuczny nastrój, ale teraz widzę, że tak nie jest. Wszystkie nasze szkolne sprawy wydają mi się małemi i wstrętnemi, a my jesteśmy takiemi drobnemi muszkami, które tylko przez mikroskop można dojrzeć...

Na szybach tęgi mróz wyrysował esy, floresy, i wydaje mi się, że one są podobne do ozdób, które widzimy na trumnach. W uszach wciąż mi jeszcze dźwięczy smutna melodja, a przed oczyma mam wstęgi żałobne. W głowie jakiś chaos, i ja nie mogę zrozumieć.

(Dalej w pamiętniku całe 3 stronice są zasmarowane atramentem).

30 stycznia.

Chciałem ułożyć wiersze i opisać wszystko, co widziałem. Ale nie udawało mi się. Potrzeb-

ne są inne słowa, których nie znam. Wiem tylko, że postarzałem przez te dni o dziesięć lat i brak mi tych słów, które znałem, kiedy byłem chłopcem.

31 stycznia.

Szkoła dotychczas jeszcze nie ma tego ładu. Śmierć W. I. Lenina tak zaskoczyła wszystkich i wykoleiła zwykłe, normalne życie, że ani praca, ani rozrywki nie mogą się odbywać po dawnemu. O zdawaniu z przedmiotów szkraby nawet nie mówią. Wszyscy rozumieją, że choć trzeba się uczyć, to jednak nauka odrazu nie pójdzie.

Nikpetoż ostatnio dużo nam czyta na głos. Dziewczęta popłakują po kątach.

Ofelję będzie grała Czarna Zoja, teraz to już ostatecznie zostało postanowione. Dzisiaj była próba, ale jakoś niebardzo dobrze szło. Wszyscy czytali bez życia, nie było humoru. Zinaida Pawłowna powiada, że nauka teraz powinna być na pierwszym planie i że powinniśmy dołożyć wszelkich starań, aby zwalczyć przeszkody.

ZESZYT DRUGI

3 lutego.

„Katuszka" ogłosiła ankietę wśród pierwszych trzech grup: Cel życia.

W ostatnich dniach wszyscy są poważni, i dlatego „Katuszka" otrzymała dużo odpowiedzi.

Spisuję ze ściany najciekawsze:

Pierwsza grupa A.

1) Żyć trzeba dla nauki i dla poznania tego, czego nie znamy (to dopiero bzdury! Władlen Riabcew).

2) Żyjemy dlatego, żeby się uczyć, cieszyć, cierpieć, pomagać bliźniemu. No i jeszcze dla wielu innych rzeczy.

Pierwsza grupa B.

1) Żyjemy i uczymy się dlatego, żeby zbudować silne i kulturalne państwo i pomagać bliźniemu. Powinniśmy wiedzieć, że morze powstało z pojedyńczych kropel; każdy człowiek jest kroplą, która żyje, pracuje i robi wielkie, małe i średnie rzeczy. Jeżeli ta kropla nic nie czyni, to powinna wiedzieć, że zawadza morzu. Wtedy niema dla niej miejsca w morzu i powinna się oddalić. Tak i my będziemy się starali zdobyć wiedzę, żeby stanąć w obronie Rosji sowieckiej przeciwko przeklętej burżuazji.

2) Żyjemy poto, aby zaznać trochę szczęścia. Uczymy się poto, aby stworzyć przyzwoite warunki dla odpoczynku po pracy. Doznajemy rozkoszy, kiedy czytamy zajmującą książkę lub słuchamy zajmujących opowiadań. Kiedy kończymy zadaną pracę, też doznajemy rozkoszy.

3) Żyję dlatego, aby się uczyć i mieć

w przyszłości wykształcenie. Nie chcę być niewykształconą dlatego, że wszyscy będą mnie wyzyskiwali.

Druga grupa.

1) Uczyć się, być pożytecznym dla państwa, a po części i dla siebie samego. Jeżeli ja dla samego siebie nie będę pożytecznym, to umrę, nie znając życia, a więc trzeba być pożytecznym.

2) Według mnie trzeba żyć poto, żeby żyć.

3) Biedak żyje, pracuje, traci swój czas poto, żeby jako tako przeżyć; burżuj żyje poto, aby więcej użyć (oczywiście nieuświadomiony burżuj). Człowiek, który pracuje społecznie, robi to dlatego, żeby życie było lepszem, i chociaż on sam często ginie, to jednak inni będą żyć lepiej. Więc też mojem zdaniem: żyją ludzie poto, żeby jeżeli nie sobie, to przynajmniej innym uprzyjemniać życie. I my też uczymy się teraz, żebyśmy mogli lepiej żyć i ułatwiać życie innym. Przykładem dla nas może być zmarły niedawno mistrz Władimir Iljicz.

4) Trzeba żyć poto, żeby zaspokajać swoje potrzeby. (Ciekawe, kto to mógł napisać. Redaktorzy „Katuszki" za nic nie chcą o tem powiedzieć. A przecież taka odpowiedź dowodzi zupełnego braku uświadomienia nietylko człowieka, ale i bydlęcia. Władlen Riabcew).

5) Cel życia polega na budowaniu trwałej przyszłości dla następnych pokoleń.

6) Żyć poto, żeby z orężem w dłoni bronić zdobyczy proletarjatu.

7) Mówi się zwykle, że celem życia jest tworzenie nowej kultury dla dorastającego pokolenia. Ale to mnie wcale nie zadawalnia. Mojem zdaniem, celem życia jest istnienie spokojne, bez troski, tylko z małemi wzruszeniami. (Skąd się wzięło w naszej szkole tylu burżujów? Władlen Riabcew).

Trzecia grupa (nasza)

1) Oczywiście nie próżnować wtedy, kiedy inni walczą, odnoszą zwycięstwa, a samemu też stanąć do walki i zwyciężać.

2) Nikogo o nic nie pytać, do wszystkiego dochodzić własnym rozumem. (Oho-ho-ho! Władlen Riabcew).

3) Redaktor „Katuszki", stawiając takie pytanie, widać zdecydował się zabrnąć w sam gąszcz filozofji, albo może wprost go ogarnęło wielkie przerażenie i obawa przed nicością życia ludzkiego. W pierwszym wypadku postąpił dobrze, w drugim — źle. Oto z jakiego powodu. „Żyć poto, żeby żyć" jest to jedyna możliwa, choć dziwna i bardzo jednostronna odpowiedź na to pytanie. Dla każdego człowieka cel i treść życia mieści się w samem życiu. Żeby zrozumieć cel i treść życia, koniecznie trzeba przedewszystkiem kochać życie, całkowicie pogrążyć się w wirze życia; tylko wtedy zrozumie się i wyczuje, poco ono dane.

Życie jest to taka dziwaczna sztuka, która w przeciwieństwie do wszystkiego, co stworzył człowiek, nie potrzebuje teorji: z chwilą, kiedy się pozna praktyczną stronę życia, zrozumie się — teoretyczną. Zwłaszcza można dobrze to teraz zrozumieć w naszem burzliwem życiu, kiedy tak łatwo wziąć udział w pracy społecznej i polityce, kiedy można sobie według upodobania wybrać jakiś dział nauki, rozwijać się i iść naprzód, radując się, że nareszcie mamy żywą odrodzoną teorję.

Dawniej, słuchając suchych, nieciekawych wykładów, uczniowie pędzili smutny żywot. Nie mając nic lepszego do roboty, gapili się na księżyc, słuchali śpiewu słowików, zastanawiali się nad celowością życia ludzkiego; doprowadzali siebie do takiego stanu, że zatracali smak i chęć do życia. A potem odbierali sobie życie, pozostawiając kartki ze słowami: „nie warto żyć na świecie".

Można o tem przeczytać w przedrewolucyjnej literaturze: weźcie Czechowa „Nudna historja", L. Andrejewa „Życie człowieka", śmiać się będziecie dobrodusznie i zapytacie: czy rzeczywiście istniały takie typy i autorzy, którzy tak daleko stali od życia i tak mało je rozumieli? Tak, byli tacy ludzie, ale oni nie żyli, a rozmyślali, szukali życia w teorji, ale go nie znajdowali. I właśnie tacy ludzie potem ponieśli okrutną klęskę, oni właśnie należeli do naszej nieszczęsnej inteligencji, która zginęła...

Dlatego też, jeżeli to pytanie „dlaczego się żyje" ma charakter pesymistyczny, należy ono całkowicie do przeszłości i we współczesnem życiu, pełnem czynu, nie ma ono racji istnienia. Ale jeżeli to jest pytanie zdrowe i naturalne, to nie powinno być odrzucone. Jestem innego zdania niż Tołstoj, który twierdził, że nie trzeba się zastanawiać, czy życie ludzkie ma sens, dlatego, że człowiek jest podobny do konia, którym kieruje gospodarz, koń nigdy się nie dowie, dlaczego ten gospodarz go pogania. Przeciwnie, musimy wierzyć, że rozum ludzki nie ma granic. Znowu, jeżeli rozumować, że się tak wyrażę, teoretycznie, to dojdziemy do wniosku, że trzeba się zwrócić do życia realnego, aby zwiększyć dorobek umysłowy, trzeba popracować w różnych dziedzinach wiedzy, a co za tem idzie—wejść w życie.

Ten kto się z tem nie zgadza, kto życia szuka tylko w swojej duszy i wierzy w jej głębokość, gardząc życiem czynu, albo wprost męczy się w poczuciu własnej nicości, ten jest w życiu niepotrzebny. Dusza takiego człowieka staje się płytką, gdyż głęboką ona może pozostać tylko przy pewnej harmonji z życiem. Taki człowiek dla ulżenia sobie może, jak to powiada jeden z bohaterów Dostojewskiego: „pokornie zwrócić bogu bilet na prawo wstępu do życia".

(Mojem zdaniem, pisał to któryś ze szkrabów. W. Riabcew).

5 lutego.

Wczoraj był kapustnik. Pomimo wszystko niewesoło było. Wciąż myślałem o celu życia. Widziałem tam Linę, zapytałem ją, dlaczego nie bywa w szkole, odpowiedziała: — Nie twoja rzecz. — Nazwałem ją głuptasem.

6 lutego.

Dziś była próba „Hamleta". Było wspaniale. Dotychczas jeszcze serce moje radośnie bije. Sieriożka Blinow wrzeszczał, ryczał jak byk, miotał się po scenie jak opętany: prawdziwy warjat. Poza tem wymyślił jeszcze taką sztukę: podczas rozmowy z grabarzem nie rzuca czaszki do mogiły, a ciska ją w grabarza, żeby mu dowieść, że on, Hamlet, jest warjatem. Bardzo morowo to wychodzi. A kiedyśmy się fechtowali, to ja jemu wytrąciłem rapier, a nie on mnie. Trwało to tak długo, póki Nikpetoż nie zwrócił mi uwagi, że to przecież scena i trzeba tak grać, jak napisał Szekspir.

A dlaczego ten Sieriożka nie nauczył się fechtować tak, jak trzeba? Czarna Zoja, zupełnie niewiadomo w jaki sposób, dążyła przebierać się coraz to inaczej do każdego aktu. Ona powiada, że tak samo będzie robiła na przedstawieniu, a teraz przebiera się dla wprawy. W scenie, w której Ofelja już warjuje i zjawia się, śpiewając warjackie pieśni, Zoja przybrała się kwiatami z bi-

bułki, oplątała i rozpuściła włosy, zawróciła oczy i cichutko śpiewała. Na mnie zrobiło to ciężkie wrażenie. Wydała mi się o wiele ładniejszą, niż zwykle: ot, co znaczy zmienić ubranie. Królowa ma dziesięć służebnic, a scena nasza jest bardzo mała, i służebnice pchają się jedna przez drugą tak, że niema się gdzie obrócić. Cały czas biły się, klęły, i z tego powodu kilkakrotnie przerywano próbę.

8 lutego,

Jeszcze przed tygodniem wyprosiłem u Nikpetoża książkę „Gimnaziści", z której on nam czytał o Kartaszowie i Korniewej. Silne wrażenie zrobiło na mnie to miejsce, gdzie się mówi o tem, jak Tema Kartaszow, powróciwszy do domu, zobaczył białą nogę pokojówki Tani wyżej kolana... Teraz prawie nie sypiam, wciąż mam przed oczyma Tanię i oczywiście fim-fom, pik-pak. Męczy mnie to bardzo, głowę mam ciężką i trudno mi się uczyć.

10 lutego.

Wyszedł numer „IKS'a"; pisze o „Katuszce" i jej ankiecie o celu życia. Jest tam taki artykuł:

O celu życia w naszej szkole

Niedawno „Katuszka" zabrnęła w dziedzinę filozofji i postawiła pytanie, jaki jest cel życia.

A IKS stara się, jak to już niejednokrotnie pisano, spożytkować wszystko dla naszej szkoły i dlatego korzysta z okazji, aby pogadać o celu życia w naszej szkole. Dlatego użyjemy tutaj metody indukcyjnej, to jest od pojęć poszczególnych dojdziemy do ogólnych. Dla skrócenia weźmiemy kwintesencję wszystkich kierunków, jakie istnieją w szkole na ten temat, a mianowicie ich hasła:

1) Poznawaj to, czego dotychczas nie znałeś. Naprzykład: rób odkrycie perpetuum mobile.

2) Wiedza — to potęga.

3) Niech żyje taniec!

4) Witajmy spokojne życie z jego drobnemi wzruszeniami.

5) Zaspokajaj swoje potrzeby. Nie zapominaj wytrzyć nos i pójść do...

6) Nadmiar nauki w naszym młodzieńczym wieku może nam zaszkodzić...

Niech żyje wolność w naszych czasach!

A teraz nasz ogólny wniosek:

— Wal go, ja go znam, mieszka on na naszej ulicy!!!

Według mnie, głupie to i wcale niezabawne. Cel życia. Za bardzo poważna sprawa. Jeżeli się ma cel w życiu, to się wie, jak postępować. A kiedy się nie wie, jak postąpić, to położenie jest ciężkie.

11 lutego

Wczoraj widziałem się z moim drogim towarzyszem Wańką Pietuchowym. On teraz pracuje w fabryce, dobrze zarabia i utrzymuje całą swoją rodzinę. Namawiał i mnie do takiej pracy, ale mu powiedziałem, że najpierw trzeba skończyć szkołę. Rozmawiałem z nim o celu życia. Odpowiedział mi prosto i wyraźnie:

— Żyjemy poto, aby na miejscu starego, zgniłego systemu zbudować nowy, jasny i radosny: komunizm.

Ja sam dawniej też tak myślałem, ale ankieta „Katuszki" wszystko mi poplątała.

Potem rozmawialiśmy o kwestji płciowej.

On powiada:

— U nas w fabryce ta kwestja wcale nie istnieje. Jeżeli komuś spodoba się jakaś dziewczyna, to wprost podchodzi się do niej i mówi: „Podobasz mi się, Mańka albo Lenka. Chcesz ze mną spacerować?" Jeżeli nie chce, to odwróci się. A jeżeli zechce — idzie na spacer.

— Jakto, czy tak naprawdę? — zapytałem.

— Ależ tak, naprawdę. Jak mąż z żoną. Przecież to jest tak samo niezbędne, jak jedzenie. Bez jedzenia nie można żyć, a bez tego również trudno istnieć.

— A jeżeli będzie dziecko?

— Któż to o dziecku myśli wtedy, kiedy się spaceruje, dziwak jesteś!

— Czy i ty tak robisz?

— A jakże.

Zdaje mi się, że on blaguje, przynajmniej o sobie.

12 lutego.

Repetycje idą całą parą. Sieriożka Blinow nadwyrężył sobie głos, jest jeszcze bardziej straszny. Poza tem wciąż wymyśla nowe kawały. Naprzykład dzisiaj, kiedy król ma opuścić scenę, Hamlet woła:

„Jeleń strzałą raniony!!!“

Sieriożka w tem miejscu zawrzeszczał i rzucił się na króla, schwycił go za gardło i zaczął dusić. Myślałem, że on naprawdę zwarjował. A Nikpetoż skoczył na scenę, schwycił Sieriożkę za kark i zapytał:

— Co ci jest?

— Przecież muszę dowieść królowi, żem warjat!

— Ale wszak tego niema u Szekspira!

— To i cóż, że niema? To już pomysł reżysera.

— Przedewszystkiem ja jestem reżyserem, a nie ty — powiada Nikpetoż — i tylko jedna osoba może się rozporządzać. A poza tem jeżeli

grać tym sposobem, to Hamlet powinien po ścianach łazić i domy podpalać.

— Reżyser nie powinien krępować artystów— odpowiada Sieriożka — w przeciwnym razie nie będziemy artystami, a marjonetkami i martwemi manekinami.

— Dam wam swobodę ruchów, niech i tak będzie, ale prosiłbym nie dusić.

— Nawet tutaj gnębią nas szkraby — zamamrotał Sieriożka.

Według mnie, oczywiście, reżyser nie powinien krępować artystów. Naprzykład, gram Laertesa i Hamlet wytrąca mi mój rapier. A jabym tak zrobił: z początku jabym wytrącił rapier Hamletowi, wspaniałomyślnie pozwoliłbym mu go podnieść, a już potem niech on mój wyrywa.

Dziś, kiedy przyszedłem ze szkoły, tatko spotkał mnie, bardzo zdenerwowany. Pytam go, co się stało, a on zamiast odpowiedzi wtyka mi jakiś papier do rąk. A ręce jego drżą. Zacząłem czytać:

„Proszę zwrócić uwagę na zachowanie się syna Kostantego. W ostatnich czasach zmienił się bardzo na gorsze. Kostia bywa w towarzystwie, gdzie piją wódkę aż do utraty przytomności, oprócz tego nauczył się palić mocne papierosy. Ale o wszystkich swoich przygodach staranie przemilcza, Kostia wpłacił swoje dwa miljardy i wraz z kilkoma dziewczynkami i chłopcami bywa w rozpustnem towarzystwie. W sobotę wszyscy członkowie tej

kompanji mają zamiar zebrać się w parku Iwanowskim i spędzić noc na hulance i piciu wódki. Dlatego Kostia, prawdopodobnie pod jakimś przyzwoitym pretekstem, w sobotę noc spędzi poza domem. Cały ten list wyda się Panu głupim i nieprawdopodobnym wymysłem, ale Pan może znaleźć sposób dla wykrycia prawdy. Kostia oddawna już nauczył się zręcznie oszukiwać, a tylko Pan może mieć na niego dobry wpływ"...

Oniemiałem. Tatko pyta:

— Kostia... powiedz staremu... Czy to prawda?

— Nie, tatku, nieprawda — odpowiadam, a sam czuję jakieś zamroczenie. — A gdyby to była prawda, to przecież zauważyłbyś dawno. Czy jak wracałam kiedykolwiek do domu, czuć było ode mnie wódkę? Powiedz uczciwie? No?

— Nie, zdaje się, że tak nie było. Wreszcie przecież ja nie wąchałem.

— Tatku, ale wszak masz oczy? Czy nie mogłeś poznać z wyglądu? Toć ja codzień koło ciebie się kręcę.

— Tak, tak, a jednak...

Nie wierzy stary. Jak go przekonać?

— Gdzież ja mam czas na wódkę? Wiesz przecież dobrze, że prawie codzień mamy różne zebrania, do domu przychodzę, zmęczony jak pies, i natychmiast zabieram się do książki, chwilki wolnej nie mam... Że palę, to prawda, tylko kryłem się z tem, aby ciebie nie martwić. A o wódce to bzdury.

A w duszy myślę sobie: „Jakaż to paskuda pisała?

Bez podpisu, napisane drukowanemi literami, ażeby nie poznać charakteru pisma. Czyżby... Czyżby... Nie, nie mogę pojąć". A tatko chodzi po pokoju, ręce mu się trzęsą, i tak strasznie żal mi się jego zrobiło, że nawet nie potrafię tego wyrazić.

Podszedłem i objąłem go:

— Tatku — powiadam — wierz mojemu słowu, to wszystko kłamstwo. Wszak ja tobie nigdy nie kłamałem, dlaczego miałbym teraz skłamać? Uspokój się, pogwarz sobie i połóż się spać. A jutro, jeżeli zechcesz, to idź do szkoły i zapytaj naszej kierowniczki, czy to do mnie podobne. Zgoda?

Popatrzył mi w oczy i powiedział, że nigdzie nie pójdzie, bo i tak już uwierzył. Co do mnie, to nie uspokoiłem się, za wszelką cenę muszę zbadać tę sprawę. Kto to pisał? Dotychczas nie mogę zasnąć. Po raz pierwszy w życiu przekonałem się, jak ciężko kłamać takiemu staruszkowi, jak mój.

13 lutego.

To dopiero! Okazało się, że taki list przysłali nietylko mojemu tatce, ale i innym ojcom i matkom. Dziś do szkoły przyszło aż sześć osób i wszyscy do Zin-Pałny. Zin-Pałna zaraz zabrała ich dzieci i długo im coś tłumaczyła. Wszystkie dzieci wyszły od niej czerwone jak z łaźni. Natychmiast zacząłem je wypytywać — żadne mi nie chciało odpowiedzieć. Wieńka Pałkin chodzi blady

i z nikim nie rozmawia: on myśli, że ktoś dowiedział się o tych kapustnikach, i obawia się, żeby go nie wyrzucili ze szkoły. Zdaje mi się, że niema teraz czego się obawiać. Jeżeli dowiedzą się, to trzeba wprost powiedzieć: tak, właśnie tak, tak. A jednak trzeba się starać, żeby się nie dowiedzieli.

16 lutego.

W szkole zjawiła się Lina. Nie przychodziła jakoby z powodu choroby. Przyszła z zapłakanemi oczyma: ojciec jej taki sam list otrzymał. Cały dzień chodziła zapłakana. Nareszcie nie wytrzymałem i podszedłem do niej: — Jak będziesz ryczeć, to nas wszystkich wsypiesz. Przecież nikt nie dowiedział się, jak się należy, i wsz 'stko będzie zatuszowane.

A ona rozbeczała się na dobre i przez łzy:

— Wszystko przez ciebie! Ty, ty, ty jeden wszystkiemu jesteś winien. Tylko ty. Gdyby nie ty, to ja...

I znowu w bek. Dlaczego przeze mnie? — nie rozumiem. Jaka tu moja wina? Mówili, że ona życie sobie odbierała też przeze mnie, ale to bujdy. A nawet, jeżeli to prawda to co ja jestem winien, że ona we mnie zadurzyła się? Co się tyczy kapustników, tyleż jestem winien, co i ona: bywałem i nic więcej.

17 lutego.

Dziś Zinaida Pawłowna prosiła uczkom, żeby zwołał ogólne zebranie. Chodziło jej o listy anonimowe.

— Proszę — powiada — żeby ci, którzy choć cokolwiek wiedzą o pochodzeniu tych listów, przyznali się do tego na ogólnem zebraniu. Chciałabym wiedzieć, czy jest w nich choć odrobina prawdy. Wszyscy widzą, jak przygnębieni są niektórzy uczniowie i jak na tem cierpi ich nauka.

W odpowiedzi — ogólne milczenie. Ogarnęło mnie ciężkie uczucie. Z jednej strony tak samo, jak inni, związany byłem straszną przysięgą; a z drugiej — jasne było dla mnie, że trzebą coś w tej kwestji zdecydować.

— No, dobrze — powiada Zin-Pałna — widzę, że nikt nic nie wie. W takim razie zapomnijmy o tej sprawie. Mam głębokie przeświadczenie, że to tylko bogata fantazja autora listów anonimowych. Co do mnie, byłabym nieskończenie wdzięczna temu autorowi, gdyby on swoją fantazję skierował na inne tory i nie przeszkadzał nam w naszej pracy szkolnej. Prócz tego sądzę, że trzeba przyśpieszyć wystawienie „Hamleta". Trżeba urządzać próby codzień. Przedstawienie w znacznej mierze przewietrzy głowy i oczyści atmosferę, która stała się już zbyt ciężka.

Większość zaśmiała się, a mnie jeszcze smut-

niej się zrobiło. Wstyd mi było tak samo, jak wtedy, kiedy skłamałem ojcu. W samej rzeczy Zin-Pałna wszystkim nam wierzy i gotowa zawsze ratować nas, a my jej kłamiemy.

Zdecydowaliśmy: przedstawienie odbędzie się 20 lutego (za zgodą Nikpetoża) — zapraszamy na nie jaczejkę tej fabryki, do której jesteśmy przypisani.

18 lutego.

Jednak muszę coś ostatecznie zdecydować w kwestji płciowej, gdyż zamęczyła mnie ona i wyczerpała. Do tego doszło, że dziś podczas próby, kiedy dziewczęta były poprzebierane, uczesane jakoś inaczej i było strasznie ciasno na scenie, naumyślnie zapychałem je do kąta; czyniłem to nie przez figle, a zupełnie z innych powodów. Dziewczęta cały czas wymyślały mi, a Nikpetoż zagroził, że mnie wyrzuci i zastąpi kim innym, chociaby to miało być ze szkodą dla przedstawienia. Dobrze, że ani Nikpetoż, ani nikt inny nie zauważył, że to nie były zwyczajne figle. Przeciwnie, wszyscy krzyczeli, że w ostatnich czasach uspokoiłem się trochę, a teraz znowu rozpuściłem się.

Gdyby oni wiedzieli?

19 lutego.

Tak się zdarzyło, że teraz pewnie nie będę mógł rozmawiać z Sylwą. Nawet nie wiem, jak o tem napisać. Zawsze byliśmy z Sylwą dobrymi kolegami i teraz, szczerze mówiąc, te same kole-

żeńskie dla niej mam uczucia, ale wygadałem się przed nią, jakgdyby ktoś ciągnął mnie za język. Źle nie panować tak nad sobą.

Sylwa jest głównym członkiem komisji kostjumowej dlatego, że inni członkowie nic nie robią, a ona prawie wszystkie kostjumy uszyła sama. Dlatego Sylwa bywa na wszystkich próbach i dziś była na generalnej. I otóż w przyrodniczem laboratorjum, gdzie urządzono szatnię dla artystów, Sylwa zaszywała na mnie strój Laertesa.

— Sylwo, czy mogłabyś ze mną spacerować?— Pytam cię tylko tak teoretycznie.

— Jak spacerować? — pyta Sylwa. — Przecież oboje dużo razem spacerujemy.

— Nie, nie tak, a inaczej. Tak naprawdę.

Przerwała nawet szycie. — A czyż my nie naprawdę spacerujemy?

— Ty nie rozumiesz mnie—powiedziałem i jakoś zmięszałem się. — Ot naprzykład jak...mąż z żoną.

Myślałem, że się rozgniewa, a ona nic na to. Opuściła oczy i zapytała:

— Czy chcesz się ożenić ze mną? Za wcześnie dla ciebie, a dla mnie tem bardziej.

— Nie rozumiesz, Sylwo — odrzekłem, a sam myślę, czy nie lepiej czmychnąć z szatni. — To nie tak, ja nie o żeniaczce myślałem, chciałem powiedzieć... czybyś ty nie mogła spacerować ze mną... już teraz jeszcze w szkole.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

— A jak ty będziesz to robił?

— Ot... naprzykład pocałuję ciebie.

Zamyśliła się i rzekła: — Na to może i nie zgodzę się. Ale przypuśćmy, że się zgodzę, to co ty potem będziesz robił?

— Idź do djabła! — krzyknąłem, szarpnąłem z całej siły nitkę, którą ona szyła, i uciekłem. Podczas całej próby nie mogłem patrzeć jej w oczy.

22 lutego.

Dotychczas nie zdążyłem napisać o przedstawieniu, cały czas byłem zajęty badaniem listów. A przedstawienie znakomicie się udało. Sierożka Blinow ryczał jak grzmot, tłukł się po scenie, wszystkich wywracał, nawet król dość głośno mu powiedział: „ostrożnie ty, czorcie". A duch-Wieńka Pałkin bardzo się udał. Cały był zawinięty w prześcieradło, twarz wysmarował kredą, a głos miał jak z tamtego świata, szczególniej kiedy z pod podłogi gadał przez tubę. On powinien wyłazić z dziury w podłodze, ale tam się coś zepsuło i dlatego musiał wychodzić wprost z za kulis. Najwięcej denerwował się Nikpetoż. Usiadł sobie na uboczu z książką i podpowiadał jak sufler, przecież budki nie mamy. Potem myśmy mówili, i kto bliżej siedział, ten odrazu dwa teksty słyszał: jeden z poza kulis, a drugi ze sceny.

Jednak wytrąciłem Sierożce rapier, bo on nie umie fechtować się, i nikt nie zauważył, że to inaczej niż u Szekspira.

Czarna Zoja grała świetnie, lepiej od wszystkich.

Powiadają, że wiele dziewcząt płakało, patrząc na nią.

25 lutego.

Zadziwiła mnie dzisiaj Czarna Zoja. Po przedstawieniu chodzi i nosa zadziera; bo ją dużo razy wywoływali.

Wogóle jakoś zmienił się jej wygląd. Przestała nosić swoją czarną suknię, poweselała, inna niż dawniej. I o nieboszczykach nie chce więcej rozmawiać, choć ją niektórzy po dawnemu straszą truposzami. Otóż wyprowadziła mnie ona na korytarz i powiada:

— Wiesz, chcę ci powiedzieć jeden sekret.

— Jaki sekret? Tylko proszę bez sekretów!

— Ależ nie, to bardzo ważne. Wiesz, zakochałam się w tobie.

— Co-o-o-o?

— A ty nie cokaj. Tylko sobie nie wmawiaj, że tak dużo wart jesteś, zakochanie nie od nas zależy, a od natury. I nie wyobrażaj sobie, że przez ciebie coś takiego zrobię. Myślałam, myślałam dużo o tem i zdecydowałam się powiedzieć ci, tak zwyczajnie, dlatego, że wtedy lżej na duszy będzie. A ty, wszystko jedno, żadnych praw do mnie nie będziesz miał.

— Idź, napij się wody — powiedziałem jej i poszedłem sobie.

26 lutego.

Dziwna historja! Dziewczęta znowu zaczęły coś szeptać między sobą, a ja od kogoś słyszałem, że znowu chcą narobić hałasu z powodu tych kapustników. A co najważniejsze, dowiedziałem się, że Sylwa jest po ich stronie. Z Sylwą nie rozmawiałem ani razu od czasu naszej rozmowy (wszak ja tylko zasadniczo chciałem o tem pomówić). Najwidoczniej ona mnie unika.

Dowiedziawszy się o tych szeptach, naradziłem się z Wieńką Pietuchowym, i zdecydowaliśmy urządzić kontratak.

27 lutego.

Bardzo się cieszę i zadowolony jestem ze siebie. Prawie cały luty przesiedziałem nad referatem o wypadkach chińskich, i Nikpetoż bardzo chwalił mój referat. Poza tem, zdaje się, że wyśledziłem tego, kto pisał listy anonimowe. To — Gorochow Kieszka, długonogi, milczący chłopak z drugiej grupy. Otóż, dlaczego ja myślę, że to on. Jedyną poszlaką był list, który otrzymał tatko. W naszej szkole każdy przynosi z sobą atrament. To też zacząłem oglądać atrament każdego ucznia. Była to trudna robota dlatego, że wszyscy chowają kałamarze, jak tylko kończą pisać. Co tu

robić? Ale dziś taką hecę urządziłem. Wpadłem niespodzianie do matematycznego laboratorjum, kiedy się tam uczyli chłopcy z drugiej grupy bez Almakfisza, i zawrzeszczałem: — Prędzej dajcie atrament, Almakfisz kazał! I sam chwytam z brzega (oczywiście Kieszki kałamarz; jeszcze przedtem zauważyłem, że on bliżej drzwi siedział). Rozpoczęła się bójka. Kieszka krzyczy za mną: „Poczekaj, ja muszę pisać" — ale ja nie głupi, co prędzej do klasy, tam miałem przygotowaną pustą flaszeczkę, nalałem do niej atramentu Kieszki, wracam spokojnie i oddaję Kieszce kałamarz. Popatrzał na mnie podejrzliwie, ale nic nie powiedział. Dawno już go śledzę i zauważyłem, że jak tylko spojrzę na niego, on jakoś blednie. Poza tem on jedyny z drugiej grupy bywał na kapustnikach. Porównałem atrament, bardzo podobny: jeden i drugi koloru lila.

Teraz dobrze byłoby sprawdzić charakter pisma, i będę miał go w garści. Tylko to znacznie trudniej dlatego, że listy są pisane drukowanemi literami.

3 marca.

Użyłem rozmaitych sposobów, nawet nieuczciwych, aby wydostać kajet Kieszki Gorochowa, i zdobyłem go. Zająłem się porównywaniem pisma. Wydało mi się, że charakter pisma listu i kajetu jest ten sam, i poszedłem rozmawiać z Kieszką.

Zacząłem prosto z mostu:—Kieszka, to ty pisałeś listy do rodziców?—Nawet zmieszał się i odpowiedział:

— Ty co sobie myślisz, draniu, czyś zwarjował?!

A ja dalej:

— Nie bój się, wszystko o tobie wiem.

— Co ty wiesz? Co ty wiesz? — I wygrażał pięściami.

Zrobiłem tajemniczą minę i odszedłem.

Teraz, według psychologji, powinien wrócić do mnie i przyznać się do wszystkiego.

4 marca.

Dobrze wystrychnąłem siebie na dudka. Tak to się stało. Poszedłem zdawać do Nikpetoża za styczeń, rozłożyłem książkę z historji i nagle widzę — leży karteczka. Czytam i aż jęknąłem:

„Kostia, żywiąc dla Ciebie dawne uczucia, uprzedzamy Cię, że przeciwko Tobie i Wieńce Pałkinowi szykuje się walka za kapustniki. Miej się na ostrożności!"

Jęknąłem nie dlatego, że się przestraszyłem, a dlatego, że pismo, litery drukowane i atrament, wszystko było takie samo. Widać, że nie Kieszka to pisał. Po naszej bójce chciałoby się też Kieszce uprzedzać mnie, a ponadto jeszcze w imię „dawnych uczuć!" Wobec tego poszedłem do Nikpetoża, i zamiast zdawać z historji zapytałem go:

— Nikołaju Piotrowiczu, czy ja dobrze czynię, starając się odszukać tego, kto pisał listy anonimowe?

— A jak ty to robisz?

— Śledzę go, a potem wyprowadzam wnioski.

— A poco ci to?

— Muszę odnaleźć tego, kto chciał tak haniebnie wsypać kolegów.

— Wiesz co, Riabcew, dobrowolne szpiegowanie kolegów — to zajęcie niezbyt przyzwoite. Wogóle, przecież to już sprawa zapomniana, poco ją znowu do życia powoływać?

O mało co nie wypaplałem, że sprawa na nowo wypływa, ale wporę ugryzłem się w język. Zaprzestanę jednak tych poszukiwań, o mało co nie zbłaźniłem się z tą idjotyczną historją z Kieszką Gorochowym.

Któż jednak pisał listy, a potem jeszcze tę kartkę do mnie?

7 marca.

Przeczytałem Arcybaszewa „Sanin", a potem całą noc znowu nie spałem i znowu było fim-fom i pik-pak. Teraz strasznie głowa mnie boli, i ja poprostu nie wiem, co robić. Czy zwrócić się do Nikpetoża? Jakoś wstydzę się. Powie: — Mówiono wam o tem na lekcjach przyrody, powinniście już wiedzieć.

Czyż mogę się jemu zwierzyć ze wszystkiego?

Źle, że to tak fatalnie odbija się na umysłowości. Teraz ot, do czego doszedłem. Wziąłem zeszyt mego pamiętnika, ten, do którego spisałem ze ściany o celu życia. Słowo „Bzdury", które napisałem w miejscu, gdzie było powiedziane o zaspokajaniu potrzeb, przekreśliłem. Wszak człowiek, który musi zaspokajać swoje potrzeby nie tak, jak wszyscy, bardzo cierpi; cierpi również, jeżeli nigdy nie może ich zaspokoić. A czy warto żyć i cierpieć?

Ale kiedy ogarnęły mnie podobne myśli, zaraz zapytałem siebie: Czy to jest godne komsomolca — człowieka, który jest awangardą młodzieży? Bo choć ja jeszcze nie jestem komsomolcem, a tylko kandydatem, to jednak uważam siebie za komunistę z przekonania. Wogóle zdaje mi się, że ja dużo złego zrobiłem. Mam na myśli uczęszczanie na te kapustniki, kłamstwa, które wynikły z chodzenia na nie, a co najważniejsze, to, oczywiście, ta nieznośna kwestja płciowa. Burżuazja i inteligencja rozstrzyga zagadnienia płciowe tak samo, jak ja. Cóż u licha, czyż jestem burżujem? A może inteligentem? Nie jestem ani jednym, ani drugim, dlatego też muszę tę kwestję rozstrzygnąć inaczej.

12 marca.

Przed chwilą wróciłem z posiedzenia jaczejki, które odbyło się w klubie fabrycznym. Chociaż już bardzo późno, ale chcę wszystko zapisać,

bo inaczej zapomnę. Na zebraniu było półtorasta osób, z naszej szkoły tylko dwudziestu, reszta fabryczni. Z początku wszystko odbywało się tak, jak u nas, a może jeszcze nudniej. Informował Rajkom*), potem — sprawozdanie zarządu... Chłopcy (fabryczni) zaczęli dokazywać z nudów, i przewodniczący co chwila robił im uwagi. Potem były sprawy bieżące, i wszyscy nastawili uszu.

Tam znajduje się pewna dziewczyna, nazwiskiem Gulkina. Złożyła ona podanie do jaczejki, aby jej wydano pieniądze na poronienie. Trzeba będzie spytać Sieriożkę Blinowa, co to jest: zdaje się, że to jakoś tak robią, że mężczyzna staje się kobietą i odwrotnie; nowy wynalazek w medycynie; wogóle podobno tak się urządzają, że kobieta nie rodzi dzieci.

Kiedy odczytano to podanie, wszczął się na sali straszny hałas: jedni wołali dać, a inni — nie dawać. Wystąpił sekretarz jaczejki Iwanow, taki solidny chłop, i tak powiada: — Jakie tam, u licha ciężkiego, pieniądze, kiedy członkowskie opłaty wpływają z trzymiesięcznem opóźnieniem, chyba gwałtem zabierać!... Skąd my dla niej pieniądze weźmiemy? Bank mamy, czy co, do djabła?

Tu się wyrwała jedna dziewczyna, bardzo

---

*) Komitet dzielnicowy.

zawsze zła. Ona we wszystkich sprawach zabiera głos i za każdym razem złości się.

— Jak będziemy każdej dawali, to co u nas za porządek będzie. Jedna po drugiej zaczną poronienia robić. A kto będzie rodził dzieci? Puszkin czy co? Proponuję coś konkretnego: wy dajcie jej książkę o poronieniach, niech poczyta.

A inni zaczęli wołać: Dać! dać!

Miałem wrażenie, że oni tak dla figlów wołali, bo przecież sekretarz im powiedział zrozumiałym językiem, że pieniędzy w kasie niema. Jeszcze jedna dziewczyna się odezwała: — Nie dawać w żaden sposób: po pierwsze dlatego, że nie mamy środków, po drugie musi przecież ktoś rodzić, jak to już tu powiedziano, a po trzecie i to najważniejsze, ona może umrzeć. Może jej się również straszna krzywda wydarzyć. Może zostać kaleką na całe życie, gdyż niewszystkie poronienia dobrze się kończą!

Znowu były głosy, żeby nie dawać. Ale tu znowu wystąpił Iwanow i powiada: — Już oświadczyłem wam, że ze środków jaczejki my nie możemy dać żadnych pieniędzy. Ale chłopcy, takiej decyzji „nie dawać“ i na tem koniec, powziąć nie możemy. Czyż nie pamiętacie, że Gulkina złożyła jeszcze jedno podanie — ona nie ma mieszkania. Może jej trzeba pokój dać, albo przynajmniej jakiś kąt? Trzebaby zbadać stan materjalny Gulkinej, tem bardziej, że ona znalazła przytułek gdzieś

na końcu miasta. Oczywiście, poronienie jest niepotrzebne, niech rodzi, ale odżegnywać się od niej jednak nie wolno. Trzeba pomóc. Pokój dla niej wyszukać, albo jeszcze coś zrobić.

Przegłosowali, wybrali komisję dla zbadania warunków materjalnych tej dziewczyny Gulkinej i zaśpiewali „Młodą Gwardję"... Był to już koniec zebrania. Sam szedłem do domu i wciąż myślałem. Życie fabryczne i praca ich jaczejki wydawały mi się dawniej czemś niezwykłem, tak samo, jak fabryka, kiedy w nocy palą się wszystkie światła i ona cała aż mieni się. A okazało się, że chłopcy tak samo łobuzują, jak nasi, i że nie tak trudno zrozumieć sprawy, omawiane w jaczejce. A ja myślałem, że długo trzeba będzie przyzwyczajać się i przyglądać, zanim się cokolwiek zrozumie.

Zrobiło mi się weselej i jakoś lżej na duszy. Po pierwsze nie jestem samotny, a po drugie, jak widzę, i ja mogę być pożyteczny dla swojej klasy. Myślałem także i o kwestji płciowej, ale już w innem świetle widziałem tę sprawę: wypadek z tą dziewczyną Gulkiną silne wywarł na mnie wrażenie. Wańka Pietuchow mówił, że to wszystko jest takie proste, a okazało się, że nawet niebardzo proste. Przecież cała jaczejka, składająca się z półtorasta osób, nie wiedziała, jak sobie z tą sprawą poradzić. Wydaje mi się teraz, że kwestja płciowa jest przyczyną bardzo wielu cierpień. Naprzykład to

poronienie. Z jakiej racji dziewczyna ma zostać kaleką na całe życie? Szkoda, że dawniej tak mało myślałem o łączności z jaczejką fabryczną: można tam wielu rzeczy się nauczyć. Muszę koniecznie pójść do Iwanowa poradzić się go w pewnej sprawie.

14 marca.

Rozmawiałem z Sieriożką Blinowym o poronieniu, i on mi dokładnie powiedział, co to jest. Dał mi również gazetkę z opowiadaniem, które zdecydowałem całkowicie wpisać do mego pamiętnika.

TORTUROWANIE ŻELAZEM

Epizod z życia Mańki Guzikowej

1

Jak zwykle nad drzwiami klubu paliła się czerwona gwiazda, jakaś taka przychylna na tle cichego, letniego wieczoru; drzwi zawsze były osaczone przez robociarzy, chcących dostać się do klubu. Dyżurni starali się odeprzeć nacisk, drzwi odskakiwały, zamykały się, znowu szeroko rozwierały się, i w błękitnej dali zaułka ginęły urywane okrzyki.

Mańka Guzikowa uderzyła kogoś łokciem, potem pięścią, wysunęła naprzód głowę, a tymcza-

sem ktoś znienacka chwycił ją za pierś. Mańka nagle stanęła przed Waśką, który szarpnął drzwiami i krzyknął: „Idziesz ty czy nie, Guzikowa?“ Mańka przeszła, wymijając go, i odrazu wionęło na nią dymem palonej machorki, jaskrawo żarzyły się lampy, pełno harmideru i wymyślań. W klubie wszystko działo się tak, jak dawniej, tylko Mańka teraz jest inna: wstrętna, brudna, zhańbiła siebie i klub.

Już drugi dzień Mańka miała mdłości, brała ją ogromna chęć zjeść śledzia i ogórek kwaszony. Swoją niewielką pensję młodocianej pracowniczki oddawała matce, która nie uznawała żadnych wybryków w jedzeniu: wsuwaj sobie kapuśniak z kartoflami, a więcej nic dobrego nie dostaniesz.

Do Mańki wybiegły dziewczęta, wszystkie naraz w czerwonych chusteczkach, schwyciły ją i zaczęły z nią pląsać. Mańka z trudem wyrwała się z ich objęć i poszła do ogólnego pokoju. Nagle dostała silnego zawrotu głowy, pociemniało jej w oczach, i wszystko popłynęło. Dostała niebywałych mdłości, przykucnęła na podłodze, podwinąwszy zlodowaciałe nogi.—W tym pokoju stał Wołodia—aresztant, zaśmiewał się, dokazywał z towarzyszami jak mały chłopak.

Mańkę podnieśli natychmiast, posadzili na ławce i dali kwartę zimnej wody. Mańka drgnęła cała, otworzyła oczy, a potem znów opuściła powieki. Ciasnem kołem otoczyła ją młodzież, dziew-

częta coś między sobą szeptały i wszyscy uporczywie przyglądali się Mańce.

„Wszyscy wiedzą, wiedzą" — mówiła sobie Mańka w duszy. —„A ja, ja—zhańbiona, wyklęta, a Wołodźka, podlec, śmieje się..."

Jakieś dziwne słowa obijały się o jej uszy:

— Trzeba felczera wywołać...

— Sama się ocknie...

— Też nerwowa...

— Przestań, durniu, czy nie widzisz, że ona chora.

— A co jej jest?

— Objadła się podczas świąt...

I wreszcie najstraszniejsze, co mogła usłyszeć

— Powiedzcie Chajle.

Mańka skoczyła na równe nogi i chciała powiedzieć:

„Nie, nie trzeba, jestem zdrowa" — ale podłoga rozstąpiła się pod nią, znalazła się znowu na ławce, a po chwili rozległ się tuż obok niej cienki stalowy głos groźnego Chajły.

— Rozstąpcie się chłopcy! Toć ona chora, a wy jej odetchnąć nie dajecie.

Mańka czego innego się spodziewała; zdawało się jej, że wszyscy ją porzucili, że znikąd nie będzie miała pomocy, że Chajło zwymyśla ją, a co gorsza — wyrzuci ją z klubu, bo już wszyscy wiedzą, co się z nią stało. A tu nagle: „ona chora", to było jeszcze straszniejsze, i Mańka zdrętwiała.—

Tymczasem niemoc ustąpiła, nie było już zawrotu głowy, tylko pozostało pewne osłabienie. Mańka podstępnie nawpół rozwarła powieki, jakgdyby jeszcze była chorą, aby tylko nie odrazu wykluczyli ją z klubu: może on nad nią zlituje się, da jej posiedzieć troszkę.

A Chajło spytał: — Czy możesz wstać?

Mańka skoczyła, tak, jak to dawniej czyniła w szkole u surowej nauczycielki, i rzuciła się do odejścia.

— Pójdę, pójdę, sama polecę!...

Chajło żelazną dłonią chwycił ją za rękę.

— Chodź, ze mną. Do czytelni.

Chajło mówił prędko, despotycznie; spojrzenie miał zimne jak stal, proste; i może dlatego chłopcy bali się jego, a dziewczęta, jak tylko go dostrzegały wpobliżu, natychmiast przerywały wesołe trajkotanie. A przecież Chajło był takim samym robociarzem fabrycznym, jak i wszyscy: tylko, że za dawnych czasów był największym łobuzem w całej osadzie; z tamtego okresu przylgnęło do niego to przezwisko.

2

W czytelni Chajło groźnie spojrzał dokoła i rzekł:

— Chłopcy, wyjdźcie na pięć minut.

Czytelnicy odłożyli gazety, zamknęli książki i wyszli.

Wtedy Chajło usiadł na ławce i wlepił oczy

w Mańkę. Czuła to dobrze, choć na niego nie patrzyła. Zapytał ją:

— Co się stało?

Mańka nieco ożywiła się. Widać Chajło o niczem jeszcze nie wiedział; można będzie skłamać i... nie być wyrzuconą z klubu. Szybko palnęła:

— Pokłóciłam się z matką. Matka z domu mnie wypędziła.

Śmiało spojrzała na Chajłę. Patrzyły na nią otwarcie dobre, szare, zmęczone oczy. Takich oczu Mańka nigdy dawniej u Chajły nie widziała. Patrzała, patrzała i zrozumiała: znikła bez śladu prosta, ale groźna zwykle zmarszczka nad oczyma Chajły.

— Za co cię wypędziła?

Mańka nie zdążyła wymyśleć, za co; strzeliła oczyma na portret brodatego Karola Marksa; mrugnęła powiekami i w tej samej chwili dostrzegła spojrzenie jego dobrych, szarych oczu. Chajło jakgdyby przypadkowo poruszył ręką i...

— Co? Maniu? Za co cię wypędziła?—a oczy wpiły się w nią — trudno się wykręcić.

Oczy Mańki same się zamknęły, zbyt ciężko było się oprzeć, potem głowa opadła jak u ptaka. i Mańka badawczo zaczęła się przyglądać dywanowi na podłodze. Czyjaś gorąca dłoń opadła na jej ramię; czyjś obcy i nawet niedobry głos brzęknął:

— Co?

— Ot, co, Chajło, tylko nie gniewaj się, że ci nie odpowiadałam, mnie wciąż mdli, a ty jesteś taki, że ja tobie więcej niż matce rodzonej ufam, ja ci zaraz wszystko opowiem, poczekaj tylko... Poczekaj i nie gniewaj się, wszystko jedno, ja opuszczę klub, sama wyjdę, tylko nic nikomu nie opowiadaj. Ja sama wiem, że ty nie opowiesz, dlatego, że ty jesteś taki...

Mańka skoczyła i prędko zaczęła mówić:

— Nigdy tyle naraz nie opowiadałam, nie zdarzało mi się. Wciąż mam mdłości i mdłości i nic mi się nie chce jeść, jadłabym tylko śledzia, a potem... wiesz... jak to u dziewcząt bywa... ja... spacerowałam z jednym... no... no... to wszystko...

Padła na ławkę, głowę i ręce oparła o Chajłę: ot, teraz on o wszystkiem wie, nawet zaraz może ją z klubu wydalić. Mańce teraz wszystko jedno.

— Czy matka wie?

— Nie, matka o niczem nie wie. — Zdziwiło ją to pytanie. — Ona wciąż wpatruje się we mnie, ale nie wie, bo ja ci skłamałam, że ona mnie wypędziła. A jeżeli się dowie, na pewno wyrzuci.

Głos Mańki drżał, łzy ją dławiły; w sercu zrodziła się złość: czegóż wypytuje mnie, nie wypędza, prędzejby już ten koniec nastąpił...

— Pocóż ty masz klub opuszczać? — zapytał Chajło cicho, ale dobitnie.

— A dziewczyny przecież wyśmieją mnie —

ze złością odrzekła Mańka. — A chłopcy co powiedzą? A ty sam... Ach, czy ja nie wiem? Ucieknę, ucieknę!! — zakrzyczała nieprzytomnie.—I z domu też ucieknę, na bulwarach będę, wyklęta jestem, zhańbiona, niema dla mnie miejsca w klubie... Niechaj was wszystkich!...

Mańka szarpnęła się do drzwi, ale twarda dłoń Chajły chwyciła ją powyżej ramienia.

— Stój, Guzikowa!

Bardzo możliwe, że tego właśnie trzeba było, aby ktoś stanowczo i mocno powiedział: „Stój"! Może jeszcze nie wszystko przepadło; te portrety, plakaty na ścianach i ta przytulna, ciepła, usłana dywanami czytelnia pozostanie nadal dostępną, bliską, taką swoją rodzoną...

— Stój, Guzikowa! — powtórzył Chajło, i Mańka jakgdyby wrosła w podłogę, zupełnie tak, jak gwóźdź w ścianę.

— Widzisz, jaka sprawa, widzisz... krótko mówiąc: wszystko można naprawić. Zrozumiałaś? można naprawić. Nie będę ci objaśniał, co i jak się to robi, nie mamy czasu do stracenia. Tylko najpierw odpowiedz mi na jedno pytanie. Ale tu kłamać nie wolno. Odpowiadaj: kto? Tylko prawdę: z klubu, czy kto inny?

Gdyby ją spytał przed godziną, Mańka z pewnością nie odpowiedziałaby. Ale teraz, teraz, po tem, jak on dokazywał przy wszystkich, jakgdyby go to nic nie obchodziło, rzekła obojętnie:

— Wołodźka — aresztant.

— Co! Wołodźka! — rzekł Chajło, i prosta surowa zmarszczka wystąpiła na czole. — Tak to się robi? Wpuściliśmy djabła do klubu, a on — paskudzi! I cóż: nie chce się żenić?

— A ja go nie pytałam o to. On już całe dwa tygodnie omija mnie, nawet więcej, a wczoraj powiedziałam mu... o tem... On jakgdyby zamyślił się, potem zaczął kląć... a potem... potem...

— No, co potem?

— Uciekł. Tak całym pędem biegł. Chciałam... znowu dziś chciałam... powiedzieć, a on zaśmiał się... śmiał się z chłopakami...

— Dobrze — zawołał Chajło cienkim, złowieszczym głosem. — Zapamiętaj sobie: wszystko się naprawi! Nie martw się. Możesz się spuścić na mnie! No co, możesz?

— Oczywiście, mogę. — Skurcz w gardle przeszedł, Mańka spojrzała na prostą zmarszczkę. Komu zaufać, jak nie Chajle?

— Ot co, wracaj do klubu i zostań tam, póki cię nie zawołam.

— Jakże ja tam będę z dziewczętami? Przecież wszystkie już wiedzą?

— Czyś ty im powiedziała?

— Nie, nic im nie mówiłam... tylko one z pewnością się już domyśliły...

— Pleciesz! Nikt się nie domyślił! Powiedz im, żeś pracowała w zaduchu, nic nie jadłaś i dla-

tego tak się stało. Pożartują i na tem się skończy! Acha, jeszcze, ile ty masz lat?

— Urodziłam się w dziewięćset siódmym... Siedemnasty rok.

— Podlec! Nie o tobie, o Wołodźce to mówię. No idź już!

3

Chajło stanął w drzwiach pokoju, przeznaczonego dla sportu; goli chłopcy gimnastykowali się z hantlami w ręku, wszyscy ubrani byli w czerwone majteczki.

Rzekł do nich głośno: — Dyżurni do kotłowni!

Natychmiast dwaj chłopcy położyli hantle, naciągnęli spodnie i koszule; w kółku dramatycznem urwały się śmiechy i śpiew, i do Chajły zbliżył się wysoki dyżurny w barankowej czapce, choć to było lato, i zapytał: — Dokąd? „Do kotłowni"? — i poszedł za Chajłą. Waśkę Sapacza zabrał od drzwi, i poszli razem. Kotłownią chłopcy nazywali pokój, w którym stał nieczynny obecnie kocioł. Dawniej w lokalu klubu był szynk; teraz stale brakło drzewa, i w kotle czasami nocowali członkowie klubu, którzy pozostali przy pracy do późnej nocy.

— Czterech chłopców brak. No, ale to nie szkodzi — powiedział Chajło, włażąc do kotła. — Ot co, chłopcy, taki się zdarzył wypadek: zdaje się, że Mańka Guzikowa zaszła w ciążę. Wołodź-

ka — aresztant tak ją urządził. A teraz nie chce się żenić, nawet ucieka od niej.

Potem słowa Chajły padały jak uderzenia młotem, a pięść jego raz po razie spoczywała na miedzianej pokrywie kotła.

— Mówiłem wam, djabli, że nie wolno przyjąć do klubu takiego drania, jak Wołodźka. Nic ważnego, że ja sam byłem chuliganem! Niektórych łatwo można poprawić, a z innymi to się nie udaje. To się zaraz poznaje. Ale nie o to chodzi. Widzisz, tu trzeba głębiej się nad tą sprawą zastanowić. Co teraz począć? Według mnie trzeba tego drania zmusić do żeniaczki. Co powiesz?

— Oho, zmusisz go, posłucha on ciebie! — wtrącił wysoki wyrostek w barankowej czapce.— Powie: nie moja sprawa i już.

— I co to będzie miało za sens? — zapytał jeden z chłopców, wziętych z gimnastyki, kędzierzawy i wesoły. — Pożenimy ich, a co potem będzie? Dziwak jesteś! Przecież on nazajutrz pójdzie i rozwiedzie się.

— To już ty tak sobie ględzisz, Achtyrkin — powiedział Chajło. — Można go upilnować i zmusić do płacenia alimentów.

— Nie dopilnujesz takiej ważnej sztuczki! — znowu wtrącił się wysoki. — A jak się z nią ożeni, to myślisz, że jej słodko będzie? Zatłucze ją na śmierć, a alimentów od takiego chuligana nie wydostaniesz.

Wysoki mówił ponuro i przewlekle; słowa „ważna sztuczka" wstawiał tylko poto, aby przedłużyć zdanie.

— Dziwak — powtórzył kędzierzawy Achtyrkin. — Ona sama od niego ucieknie zaraz na drugi dzień!

— No, a ty Waśka? — zwrócił się Chajło do sąsiada.

— Ech tam — zasapał Waśka. — Tak, tak, bywa tak i inaczej! Właściwie to ja jeszcze niebardzo rozumiem, o co chodzi.

— I długo ty, djable sapiący, będziesz się namyślał? Wszak widzisz, trzeba zaraz odpowiedzieć, a nie...

Zmarszczka na czole Chajły wygięła się, jakgdyby celowała w Waśkę.

— To jest, rzeczywiście, hma, hma — wyjąkał Waśka i zmieszał się. — Jakaż tu może być inna odpowiedź i... i nie może być, hma, hma, hma! Ale co powiedzieć naprawdę, jaka tu ma być pomoc?

— Pomóc trzeba — rzekł wysoki. — To pierwsza sprawa, „ważna sztuczka" pomoc.

— No, ja widzę, że wogóle zgadzacie się — zakończył Chajło. — Ja was tak zrozumiałem: pomóc chcecie, tylko istnieje pytanie, jak to zrobić. No, co wy na to powiecie? Aha, zapomniałem powiedzieć. Sytuacja rodzinna okropna. Matka wypędzi ją z domu, jeżeli się dowie. No?

Achtyrkin nawinął loki na palec i szarpnął je z całej siły.

— Jest propozycja. Niech cały klub... weźmie ją całkowicie na utrzymanie, póki nie urodzi... Niechaj zamieszka tutaj w klubie. No! — Powiedziawszy to, szarpnął jeszcze silniej swoje loki.

— To też, hma, hma, hma — zamamrotał Waśka. — Nie, taka sprawa nie pasuje. Do takiej okoliczności trzeba inaczej się zabrać. Hma, hma, pieniędzy jej dać... na mieszkanie. Niech sobie, hma, hma, żyje, jak chce, może nawet oddzielnie od matki.

— Zawracanie głowy — odezwał się wysoki. — A gdzie się ona potem z dzieckiem podzieje? Co?! O tem nie pomyślałeś? Pieniądze! Ważna sztuczka! A potem dokąd i jak?

— I pieniędzy niema — przerwał mu Chajło głosem zdecydowanym. — Skąd weźmiesz pieniądze? Sam wciąż płaczesz, że nie masz na książki ani na drwa! A tu sporo trzeba: wykładaj przynajmniej ze trzy czerwońce na miesiąc! A kto jeszcze co poradzi?

— Poronienie! — palnął milczący dyżurny.

W pokoiku słychać było poprzez korytarz, jak śpiewają i bawią się w kółku dramatycznem. Potem ktoś wrzasnął: „Fedźka!" Ktoś pobiegł w ciężkich butach.

Chajło spytał:

— A czy... to niebezpieczne?

— Ależ tak!... Całkowite niebezpieczeństwo, ważna sztuczka — westchnął wysoki. — Moja matka od porodu umarła.

— To od porodu, a poronienie to co innego. Zupełne głupstwo! Jedna chwilka...

— To kłamstwo!—krzyknął Chajło i zmarszczka jakgdyby przygotowała się do walki. — Jest niebezpieczeństwo! Czytałem o tem. Bywa to niebezpieczne, jeżeli nieczysto zrobią... jakieś tam mogą być niedokładności... Trzeba z tem ostrożnie... Jakie tam, u licha, głupstwo! Dla ciebie głupstwo, a dziewczyna zamrze pod nożem, dla niej to nie głupstwo! No, wreszcie, dobrze, widzę, że to jest jedyne wyjście, jeżeli ona sama się zgodzi. Widzisz, na nas spada wielka odpowiedzialność. Czy my ją na siebie bierzemy, czy nie? Co wy na to?

Znowu ktoś biegł przez korytarz cicho i miękko w wojłokowych butach. Z kółka dramatycznego dolatywały słowa: „Dlatego, Galileuszu, my od ciebie żądamy... Dlatego, Galileuszu, my od ciebie żądamy"... W korytarzu rozległy się głosy: „Chłopcy, dziewczęta, na marksowski! na marksowski! Biegunow, idź na marksowski!"

— Tutaj chodzi o to — zaczął zmieszany Achtyrkin. — I tak powiadają... że klub młodzieży robotniczej... że my tu rozpustą się zajmujemy... A jeżeli o tem jeszcze się dowiedzą...

— Do licha! — krzyknął ze złością Chajło.—

Kto to mówi? No? Kto mówi? Jakie drań每stwo to powiedziało?

— Stare babsztyle trajkoczą o tem najwięcej, też ważna sztuczka — machnął wysoki. — Nie warto gadać... Niech tam... Nie mają co robić...

— Bardzo proszę, Achtyrkin, powiedz, kto tak gada — przyczepił się Chajło. — Nie możesz powiedzieć, to ja ci powiem: — filistry gadają, ot, kto gada!! Według ciebie mamy się z nimi równać? Co? Powiedz nareszcie, jeżeli masz trochę oleju w głowie. A może powtórzysz, co gadają białogwardziści? Oczywiście... samo się przez się rozumie, że o tej sprawie nie trzeba klepać na prawo i na lewo.

— Kto o tem naklepie, ten ze mną będzie miał do czynienia! — zerwał się Waśka z ławki i podniósł ogromną pięść do góry. Gdzie się podziały sapanie i ospałość? Tylko jedyny Waśka w całym klubie umiał się tak nagle zmienić. — Ja ci poklepię. Ozór wyrwę... z korzeniem!

— A więc zrobione — odezwał się Chajło, waląc ręką w kocioł. — Zaraz do niej pójdę, wyjaśnię wszystko i wtedy... jutro poprawimy.

— Waśka, syp do szpitala, dowiedz się, jak to tam urządzić. Jeżeli nie można w państwowym — to leć do prywatnego. Zapytasz, ile trzeba pieniędzy. Achtyrkin, ile my mamy w kasie?

— Trzy ruble i siedemdziesiąt sześć kopiejek — nie zająkując się, odpowiedział Achtyrkin.

— No... w razie czego... dostanę jeszcze — rzekł Chajło, wychodząc. — Jak trzeba, to trzeba!

Za nim wyślizgnął się Waśka.

4

Z chwilą, kiedy Mańka Guzikowa przestąpiła próg poczekalni w szpitalu razem z Waśką Sapaczem i zapisała się, zamieniła się ona w Guzikową Marję, młodocianą robotnicę lat 16, Nr. 102.

Kiedy włożyła czystą, zimną, jakgdyby cudzą bieliznę, naciągnęła również czysty, ale taki obcy szlafrok, przestała uważać siebie za prostą, zwykłą dziewczynę, robotnicę z przędzalni. Mańka Guzikowa pozostała gdzieś tam, za progiem szpitala, gdzieś w robotniczej wiosce, skromna, niepostrzeżona. I otóż tutaj, na łóżku, siedzi już Marja Guzikowa, a na nią zwracają uwagę dorośli i poważni ludzie, i niedługo stanie się coś strasznego i hańbiącego. Coś takiego, od czego bielizna nie staje się cieplejszą jak zwykle dzięki zetknięciu z ciałem, a mrozi plecy i wywołuje drżenie nóg.

— Guzikowa! Do sali operacyjnej! — zawołała pielęgniarka obojętnym głosem.

Mańka z trudem, jak ciężko chora, wstała z łóżka i poszła. Dopiero teraz zauważyła jakieś blade twarze, wychylające się ku niej z poduszek;

widziała przed sobą plecy pielęgniarki, poruszające się poważnie i spokojnie. Serce Mańki przestało bić, o mały włos nie upadła, ale zapanowała nad sobą: „Masz za swoje, teraz nie masz co głupią udawać...“ Na salę operacyjną weszła prawie spokojna.

Ociężały siwy doktór o rumianych policzkach kończył mycie rąk, odwrócił się, postąpił ku Mańce, wziął ją za podbródek i rzekł:

— Więc nie chcesz mieć dzieciuszka?... Szkoda, szkoda. No, zrzuć szlafrok.

Mańka zrzuciła, położyła się, gdzie jej wskazano, i zaraz obok siebie ujrzała znajomą doktorkę, która ujęła obiedwie ręce Mańki i szeroko je rozłożyła. Jeszcze ktoś wyciągnął jej nogi.

Ileż to tych strasznych chwil minęło, a w ciało, wprost w samo serce, otwierając je i mrożąc, zakradł się niebywały ból, nie do zniesienia. Ból piekący i palący przenikał dalej i głębiej, a ostrze jego jakgdyby nagrzane było do czerwoności.

— Ojej, jej, ojej! — chciała krzyczeć, wyć, wrzeszczeć, ale tylko zagryzła wargę, odrzuciła wtył głowę, a nad nią wgórze był jasny wysoki sufit, biały i nieubłagany, jakgdyby przemawiał do niej: — „Nie waż się krzyczeć, leż cicho, sama, parszywy djable, jesteś winna!“ Ale ból nie ustawał. Coraz trudniej było go znieść, zawładnął już całem ciałem. Odnowił się, odżył i wpił swe ostre pazury w ciało Mańki, świdrował, świdro-

wał, świdrował bez końca, bez litości, bez nadziei...

Sufit ginął gdzieś we mgle, coraz to wyżej i wyżej, już go nawet nie widać, a na oczy spadła mętna, odurzająca zasłona, zlała się z bólem, wypełniła całe ciało Mańki, oderwała ją od ziemi i ludzi, wyniosła ze szpitalnego pokoju, i Mańka pozostała sama jedna na świecie.

Nie opuścił jej tylko ból — wściekły, wżerający się i rozdzierający ją na kawałki i drobne cząsteczki, z których każda, najmniejsza nawet, zawierała w sobie ten nieznośny ból. Potem do świadomości zawitała myśl: Kiedyż to się skończy? Kiedyż nareszcie? Ból ustępował, zamierał, wynosił się gdzieś, hen daleko... Ręce zwolniono, nie trzymano ich więcej, widać doktorzyca już ich nie więzi, wszystko się skończyło i można sobie pójść. Ale ból, z wewnątrz płynący, trzymał ją jeszcze. Mańka uniosła się, znowu opadła, ujrzała sufit i czarne oczy doktorki.

— Zuch, moja mała, zuch! — odezwał się uprzejmy doktór. — Naprawdę zuch, taka mała, a nie krzyczała. Mocna!

Duma opanowała Mańkę. Chciało się jej co prędzej wyskoczyć i pobiec do klubu, wprost do Chajły i powiedzieć mu: „Ot, największy doktór powiedział, że jestem silna! Możesz być pewny, że nie zmienię się i nie zepsuję!"

Ale Mańkę zabrali i odnieśli do pokoju do

łóżka. Wewnątrz czuła jeszcze ból, ale znacznie mniejszy, łatwo było go znieść. Mańka leżała przez pewien czas z zamkniętemi oczyma, a kiedy je otworzyła, ujrzała przy łóżku Waśkę Sapacza.

— No, co ci jest, hma, hma... jak się czujesz? Maruśka? — zapytał Waśka.

— Odejdź, odejdź — szeptała Mańka, przerażona.—Wyjdź prędzej, bo jeszcze pomyślą, że to ty jesteś tym łajdakiem!

— Ależ nie, hma, hma — zawstydził się Waśka. — Patrz, chleb ci przyniosłem, może głodna jesteś, to sobie — tego!... podjedz — i wetknął jej wprost do ust dużą białą bułkę.

5

Minęły tylko dwa dni i dwie noce od chwili, kiedy Mańka widziała w klubie Wołodźkę - aresztanta, a Mańce wydało się, że przeżyła wiek cały, ciężki i bolesny. Jakgdyby chwyciła ją olbrzymia łapa, która ją pogrążyła w odmęcie wodnym, przekręciła jej głowę, powykręcała na wszystkie strony świata i wyrzuciła wprost na ganeczek zgarbionej chatki robotniczej osady.

Trzeba coś matce powiedzieć. Wszak po raz pierwszy w życiu nie nocowała w domu. Choć Mańka czuła się zupełnie dobrze i zaraz po operacji chciała iść do domu, to jednak zmusili ją do zostania w szpitalu. A co powiedzieć matce, dziewczyna nie wiedziała. Jeżeli powie, że nocowała

u koleżanki, to matka ją obije: dlaczego nie uprzedziła?

Letni wieczór był cichy i łagodny. Mańka dreptała na ganeczku, aż tu nagle drzwi się rozwarły, i na progu ukazała się matka z wiadrem.

— Przyszłaś? — zapytała, postawiła wiadro i skrzyżowała ręce na piersiach.—Przyszłaś, ścierwo? — zaszeptała, żeby sąsiedzi nie słyszeli. — Przyszłaś, niedowiarku? przyszłaś, wywłoko?! Gdzieżeś się włóczyła? Co? No, idź już, idź do izby!

Mańka wlot zrozumiała, że matka wie albo podejrzewa ją o coś. Ale dziwnie jakoś: zwykle, kiedy matka klęła i biła, Mańka doznawała jakichś nudności, ogarniał ją lęk i niepokój. A dzisiaj — nic podobnego. Mańka weszła do izby, a matka, odstawiwszy wiadro, tuż za nią zjawiła się z przeraźliwym krzykiem.

— No, paskudo! Wywłoko! Nie rozwieraj nawet gęby, lepiej nie gadaj, nie rozdrażniaj, wszystko jedno, nie uwierzę! Czego ty swoją matkę hańbisz?! Myślisz, że nie wiedzą?! Myślisz, że to się tak skończy?! Ach ty, paskudo, wywłoko!

Matka postąpiła naprzód, wyciągnęła rękę i szybkim ruchem zerwała Mańce czerwoną chusteczkę.

— Ach, ty ścierwo!..

...Nie będziesz mnie biła, nie dam się—z uporem powtarzała sobie Mańka. — Nie dam się, nie

dam się. — Oddaj chusteczkę! — Mańka wyciągnęła rękę. — Oddaj, matko, chustkę, tak ci powiadam!

— A ja słuchać ciebie nie chcę — zasyczała matka i haczykowatemi palcami wpiła się Mańce we włosy, jakgdyby nie była matką rodzoną, a wiedźmą; siwa, straszna i taka obca.

Mańka wyrwała się i skoczyła w kąt. — Oddaj chustkę, powiadam! Oj, bo źle będzie!

— Co, nie dajesz się, nie dajesz się! — dziko zakrzyczała matka. — Moiściewy, dobrzy ludziska, rodzonej matce nie poddaje się?! Czegóż ciebie nauczyli tam w tym sukomole?!*) — Siadła matka na stołku i uderzyła dłońmi w kolana. — Nie poddajesz się matce? Ach, ty wywłoko nieszczęsna!

Matka skoczyła ku Mańce, ale Mańka nadstawiła obiedwie ręce, i matka potknęła się.

— Oddaj mi chustkę, bo do sądu podam — spokojnie wyrzekła Mańka. — Poważnie ci mówię, że do sądu podam.

— Co? na matkę rodzoną do sądu?! Ludziska dobrzy, czy to słyszane rzeczy? Wałęsa się, niewiadomo gdzie, niewiadomo z kim, a potem — do sądu?! Pocoś ty, ścierwo, w szpitalu leżała? — znowu zasyczała matka. — Odpowiadaj, paskudnico! Całą mordę ci pokrwawię, odpowiadaj!... odpowiadaj, a zobaczysz swój sąd, gadzino!... Widzieliśmy, z jakim draniem poszłaś do szpitala!...

---

*) Sukomoł — przekręcone komsomoł.

— Oddawaj chustkę! — I Mańka wpiła się w rękę matczyną.

Matka wyrwała się, zaczepiła się o stół, potoczyła się na podłogę i zawyła:

— Ratujcie, ludzie dobrzy! Mordują! Mordują!!!

Mańka poczuła obrzydzenie, szarpnęła drzwi i tak, jak stała, rozczochrana, bez chustki, wyszła na dwór. Błękitne powietrze tchnęło świeżością.

Daleko gdzieś słychać było szczekanie psa, gwałtowne, urywane. Mańka postała na ganeczku, a potem zdecydowanym krokiem poszła do klubu.

— Niech licho porwie tę chustkę — wirowały myśli w głowie. — Wezmę tam od dziewcząt! Tylko, jak ja się w klubie pokażę? Pewnie dziewczyny już wiedzą... Choć z dziewczętami jeszcze jako tako... Pożartują i na tem koniec. A ot jak z Chajłą się spotkać, wstyd jakoś. Pewnie znowu jest zły. Popatrzy na mnie jak... na taką... Ot, wstyd, wstyd, lepiej zupełnie tam nie chodzić...

Mańka przystanęła. Zaułek był cichy, szary, prosty — taki sam, jak zawsze. Gdzie niegdzie zabłysły w oknach żółte światła, pewnie już było koło dziesiątej. O tej porze w klubie bywała przerwa w nauce, pewnie wszyscy są na korytarzu; teraz właśnie najłatwiej spotkać się z Chajłą. A wtedy dokąd? do domu?

— Aha, mam cię! — dziwnie miły i znajomy

głos zadźwięczał tuż obok niej, a ztyłu dwie ręce objęły ją i nie puszczają.

— Wołodźka!

A on podśpiewuje sobie:

— Marusieńko, tak czekałem na ciebie! W klubie — wiesz przecież, krępuję się do ciebie zbliżyć! No cóż, pójdziemy sobie na spacer? Nocka taka ciemna, a ja się czegoś lękam, odprowadź mnie, Marusiu!!! — namiętnie szeptał jej do ucha.

Mańka wyswobodziła się z objęć Wołodźki, odwróciła się do niego, i jakoś bez jej woli uniosła się do góry pięść Mańki i z całej mocy uderzyła wstrętną, bezczelną twarz. I natychmiast z bijącem sercem zaczęła uciekać... tylko prędzej, prędzej, żeby tylko nie dopędził!... A za nią wyzwiska na cały zaułek:

— Poczekaj, dostaniesz ode mnie! — słychać stąpanie ciężkich butów.

...Dopędzi, dopędzi, jeszcze tylko jeden zaułeczek, jeszcze!... Ach, nie, już dopędza. Krzyknęła mimowoli:

— Ojej-jej!

Mańka biegła coraz szybciej, wytężając ostatnie swoje siły. Jeszcze jeden dom, jeszcze... I przed Mańką na zakręcie zabłysła miła czerwona gwiazda. Nogi zdrętwiały, ale biegły i biegły same przez się... Ciężki oddech Wołodźki już jest prawie nad Mańki głową...

Drzwi się rozwarły — jakgdyby tam na nią

czekano, i Mańka wpadła do klubu, mało że nie w objęcia Waśki Sapacza.

— O-o-o-o-o! — zawołała Mańka, przytuliwszy się do ściany,

A Sapacz na to:

— Co tobie, hma, hma, hma, jak z łańcucha? — Ale nie dokończył.

W drzwiach ukazał się Wołodźka—aresztant. Waśka wysunął się naprzód i schwycił Wołodźkę.

— Co-o-o-o, zwarjowałeś, czy co, czorcie?— ryknął Wołodźka. — Swoich nie puszczasz?

— Tak, swoich nie wpuszczam — odrzekł Waśka, zasłoniwszy sobą drzwi. — Będziesz musiał zaczekać!

— Dlaczego?

W drzwiach stanęło kilku chłopców, postawę mieli spokojną, zdecydowaną, jakgdyby z pod ziemi wyrośli, widać, tylko czekali na Wołodźkę.

— Chodź do sądu — odpowiedział Waśka. — Sądzić ciebie będziemy.

— Idź do djabła, jaki tam sąd! — Wołodźka wysunął się naprzód,

Ale chłopcy stali jak mur, Waśka tylko ręką machnął, i Wołodźka potoczył się na bruk, miotając wyzwiska i przekleństwa.

Mańkę obskoczyły dziewczęta, zakręciły ją i pociągnęły za sobą do korytarza. Właśnie przechodził groźny Chajło, a zmarszczka na czole sterczała jak dzida. Rzucił na Mańkę surowe, lecz

dobre spojrzenie, już chciał ją wyminąć, ale dostrzegł w jej małych oczkach coś dziwnego, gdyż zatrzymał się i powiedział:

— Czegoś taka kwaśna?

Mańka chciała odpowiedzieć, że wcale nie jest kwaśna, że przeciwnie — mocna jest i mężna, ale język zdrętwiał, i nagle Mańka uprzytomniła sobie, że ona naprawdę jest jakaś kwaśna. W oczach zakręciły się łzy. Chajło zapewne zauważył to, bo poklepał ją po ramieniu i powiedział:

— Czegóż ty? Co ci jest, moja mała proletarjuszko? Idź sobie, głuptasku, możesz się teraz wziąć do nauki.

I poszedł sobie. A Mańka, podskakując, pobiegła przez korytarz, i gorąca fala rozczulenia wypełniła ją całą, zalała serce.

Pewnie dlatego tak się czuła, że w oczach Chajły ujrzała Mańka wielką, promienną miłość całej klasy robotniczej dla tej maleńkiej zbłąkanej córki.

Pokazałem Wańce Pietuchowowi, i on powiedział, że to dobre opowiadanie.

A według mnie, to tylko szczęśliwy wypadek. Jestem zupełnie przekonany, że te „poronienia" jednak kończą się tem, że dziewczyny są okaleczone. Lepiejby było, żeby one rodziły dobre i zdrowe dzieciaki.

Musi się to zmienić.

15 marca.

Dawno już zauważyłem, że Wieńka Pałkin nie przychodzi do szkoły. Myślałem, że to z powodu tych kapustników. A teraz wydaje mi się, że jest jakaś inna przyczyna. Ale nie będę się wtrącał do jego spraw. Nikpetoż ma rację, że szpiegowanie kolegów nie jest sympatycznem zajęciem.

Teraz, kiedy zerwałem z Sylwą, nie mam się z kim przyjaźnić i najczęściej przebywam z Czarną Zoją. Przyznała mi się, że dawniej nienawidziła mnie za moje rozmaite docinki. A od czasu, kiedy ja podczas przedstawienia wytrąciłem Sieriożce jego rapier, zmieniła o mnie zdanie.

Pracuję normalnie. Bóle głowy przeszły i f-t-p-p również. Co rano nacieram się śniegiem.

21 marca.

Dziś podchodzi do mnie Sylwa i powiada:

— Kostia Riabcew, muszę ci powiedzieć, że ostatecznie zmieniłam o tobie zdanie. Dawniej myślałam, że jesteś prawdziwym komsomolcem, wiernym ideologji. A teraz widzę, że cały czas udawałeś i że twoja ideologja jest daleka od komsomolskiej.

— Nigdy nie udawałem — odpowiadam jej.— I skąd ty znasz moją ideologję?

— Doskonale wiesz skąd, i ja wiem też, coście wyrabiali z Wienią Pałkinem.

— Nic takiego nie robiłem, tylko bywałem na tych kapustnikach. Teraz widzę, że to ty pisałaś listy anonimowe.

— Ach, ty obrzydliwcze wstrętny — odpowiada Sylwa i patrzy mi prosto w oczy. — I ty śmiesz coś podobnego powiedzieć? Dobryś!

Odwróciła się i poszła.

— Sylwo! — zawołałem — czy rzeczywiście myślisz, że ja nie mam komsomolskiej ideologji?

— Nie chcę wcale z tobą rozmawiać.

I odeszła.

Strasznie mi było przykro, tem bardziej, że ona ma trochę racji. Chociaż, doprawdy, ja nigdy nie udawałem. Przekonam ją jednak.

23 marca.

Mieliśmy wielką awanturę, nawet niebardzo zrozumiałem, o co chodzi. Do szkoły przyszedł służebnik kultu (pop), ojciec Liny. Wywołał Zin-Pałnę i długo o czemś mówił z nią. Ojciec Liny, cały czerwony, tłumaczył coś Zin-Pałnie, a ona tylko słuchała i załamywała ręce. Oboje byli w pokoju szkrabów, i dlatego nikt nic nie słyszał.

Potem Zin-Pałna, strasznię zdenerwowana, wyszła razem z ojcem Liny i wróciła dopiero pod koniec lekcyj.

Natychmiast zostało zwołane ogólne zebranie szkrabów, a nas zwolniono od lekcyj.

25 marca.

Bardzo mi ciężko będzie napisać o tem, ale jednak napiszę.

Dziś, jak tylko przyszedłem do szkoły, Zin-Pałna zawołała mnie do siebie.

— Riabcew, proszę pomówić ze mną, jak się należy, zupełnie szczerze. Dobrze?

— Dobrze — odpowiedziałem, patrząc jej prosto w oczy. (Zbrzydło mi już kłamać ciągle).

— Powiedz mi, czy bywałeś na tych zebraniach, które urządzał Wienia Pałkin?

— Bywałem.

— Czy nie przychodziło ci na myśl, że w ten sposób nietylko podrywasz naszą pracę, ale narażasz nawet całą szkołę?

— Daję słowo honoru komsomolca, że o tem nie myślałem.

— A czy myślałeś o tem, co szkoła powiedziałaby o tych... sprawach?

— Myślałem, że jeżeli te sprawy odbywają się poza szkołą, to... one z nią nie mają nic wspólnego.

— No, przypuśćmy, że masz rację, a czy wiesz, co się stało z Liną?

— Zauważyłem, że ona nie przychodzi do szkoły i że to musi mieć coś wspólnego z... ka-

pustnikami, ale daję słowo honoru, że nic określonego nie wiem.

— Lina musi porzucić szkołę, wyjeżdża na Ukrainę. Sądzę, że nikomu nie powtórzysz naszej rozmowy, wszak nikomu nie mówiłeś o kapustnikach?

— Oczywiście, Zinaida Pawłowna, będę milczał — powiedziałem, i coś mnie w gardle ścisnęło. — Tylko... sądzę, że dziewczęta o tem wszystkiem o wiele lepiej ode mnie wiedzą.

— Rozmawiałam już z niemi. A teraz dowidzenia.

— Zinaida Pawłowna!... jeszcze tyl ko jedno pytanie. Czy... to, co się stało z Liną... ma coś wspólnego ze... stosunkami płciowemi?

— Tak — surowo powiedziała Zin-Pałna. — A teraz możesz odejść.

Poszedłem, ale nie do szkoły, a do domu.

(Po notatkach 25-go marca następuje szereg stronic zakreślonych).

5 kwietnia.

Wczoraj otrzymałem list od Liny:

„Kostia Riabcew! Nie oskarżam Ciebie teraz o nic i rozumiem, że sama bardzo zawiniłam. Kostia Riabcew, wtedy, kiedy otrzymasz ten list, będę tak daleko od ciebie, że mi już nie będzie wstyd. Rozpoczynam teraz nowe życie, a to dawne, stare, ponure pozostawiłam daleko i na zawsze

wykreśliłam z mojego życia. Wiedz, że tylko przez Ciebie zbliżyłam się z W. P. Złość i rozpacz mnie ogarnęły dlatego, że Ty byłeś taki grubjański i także dlatego, że to nasze samobójstwo było takie głupie. Wszystko to już minęło, minęło, minęło, a teraz tak mi lekko na duszy... Radzę i tobie porzucić to wszystko dlatego, że czeka Cię tylko beznadziejna rozpacz. Prawdziwe piękno jeszcze będziemy mieli w przyszłości. Wiedz, że to ja pisałam listy do wszystkich rodziców. Męczyłam się, cierpiałam, chciałam już raz z tem wszystkiem skończyć, tylko nie wiedziałam jak. I dlatego tak brzydko postąpiłam. Zrobiło mi się jeszcze ciężej na duszy. I dopiero teraz, kiedy wyrwałam się z mroku na wolność i światło, zrozumiałam, jak byłam głupia. Niepotrzebnie mówiłeś o tych sprawach z Sylwą, pamiętasz, tam w ubieralni... Sylwa jest inna. W najcięższych chwilach mego życia ona mnie pielęgnowała jak siostra rodzona, chociaż dawniej po grubjańsku zachowywałam się wobec niej. Żegnaj, Kostia Riabcew! Bądź szczęśliwy i pogódź się z Sylwą. O mnie zapomnij! na zawsze, na zawsze...

Lina".

Jak to źle, kiedy się nie umie żyć!

10 kwietnia.

Dziś na ulicy spotkałem Wieńkę Pałkina w modnem palcie, z papierosem w zębach i laseczką.

— To ty, Kostia — powiada — wciąż się jeszcze wędzisz w piecu?

— Tak, jeszcze się uczę w szkole.

— Też chętka... Wiesz co? Przyjdź do mnie jutro do mieszkania. Mieszkam tam, gdzie dawniej. Będą dziewczęta, nie takie kwaśne, jak w waszej szkole, a takie prawdziwe dziewczynki, dobre. Nową wódkę mamy. Przyjdź.

— A no dobrze — powiedziałem. — Przyjdę Czy będzie ktokolwiek z naszych?

— A jakże, będą! Wszyscy dobrzy koledzy. Więc przyjdziesz?

— Przyjdę. Dowidzenia.

12 kwietnia.

Otóż było tak:

Jak zwykle, przyszedłem do Wieńki do parku Iwanowskiego koło 9-ej. Zebrało się u niego dwanaście osób. Wszyscy siedzieli przy stole, a rodziców nie było — wychodzą zwykle, kiedy Wieńka urządza kapustnik. Teraz już mogę wszystko opisać. Kapustniki — to pijatyka i zabawa z dziewczętami, tylko nie taka, kiedy się z niemi spaceruje na ulicy, a takie tam obejmowanie i całowanie. Do stołu podają kapustę kwaszoną z olejem, wszyscy bardzo ją lubią. Potem wszyscy piją wódkę, dopóki się nie upiją. Widziałem tylko, jak się obejmowali i ściskali, ale teraz domyślam się, że bywało i coś więcej. Więc tak było: przy-

szedłem, widzę—siedzą, a wśród nich trzy osoby z naszej szkoły. Nawet nie powiem kto. Sami chłopcy, dziewcząt nie było. Były dziewczyny, ale obce i namalowane. Wszyscy już byli nawpół pijani, i jak zobaczyli mnie, zaczęli wrzeszczeć:

— Aha, Kostia przyszedł! Trzeba mu nalać na przywitanie! To będzie dopiero zabawa!

— Tak, będzie zabawa — powiedziałem i roztrzaskałem o podłogę szklankę, którą mi podali.— Będzie dobrze dlatego, że nareszcie zrozumiałem, jakie postępki bywają dobre, a jakie złe. A wy drodzy moi koledzy szkolni, zaraz pójdziecie stąd razem ze mną i nigdy więcej noga wasza tutaj nie postanie. Tylko świństwa tutaj robicie, a dawniej i ja z wami to samo robiłem. Tylko najpierw powiem parę słów obecnym tu obywatelom.

— Czyś ty zwarjował?! — krzyknął Wieńka Pałkin.

— Nie, ja nie zwarjowałem, wprost przeciwnie, odzyskałem rozum — odpowiedziałem mu.— Czy rozumiesz, Wieńka, ile świństwa narobiłeś temi swojemi kapustnikami? Czy wiesz, że jednej dziewczynie, domyślasz się na pewno, o kim mówię, zmarnowałeś życie? Czy myślałeś, na co naraziłeś naszą szkołę? Wiesz co, pij sobie lepiej i hulaj, rozpustniku, sam ze swymi przyjaciółmi, a naszą szkołę zostaw w spokoju!...

— Draniu ty nieszczęsny! — krzyknął Wieńka i skoczył z pięściami.

Cisnąłem w niego butelką i wybiegłem razem z chłopcami.

15 kwietnia.

Nawet ręce drżą ze zmęczenia, tak się trzeba śpieszyć z nauką. Zaniedbałem wszystkie przedmioty z powodu tych zajęć przeróżnych, jakie miałem tej zimy, a wakacje nie za górami. Jeżeli teraz nie zdam, to latem nie uda się wypocząć, jak należy. Powiadają, że będzie letnia szkoła. Myślałem dawniej, że ta letnia szkoła będzie tylko dla uczniów pierwszego stopnia, a nie dla drugiego, a teraz okazało się, że i nas tak samo obciążyli. Znowu rozpoczną się wycieczki. Sieriożka Blinow powiada, że dopiero latem w szkole okaże się, jak nasze szkraby są do niczego. Jeszcze w zimie szkraby jako tako dawały sobie radę, a latem na pewno się wsypią.

Mam nowego kolegę, Jaszkę Gromowa. On i dawniej był w naszej szkole, nawet w mojej grupie, ale ja niebardzo się z nim zadawałem. Jest to bardzo wesoły chłopak, nie lubi zastanawiać się nad różnemi kwestjami. Przyznałem mu się do pewnych rzeczy, naprzykład opowiedziałem o kapustnikach, ale powiedział mi, że to wszystko psa warte i że trzeba o tem jak najprędzej zapomnieć.

17 kwietnia.

W szkole coś dziwnego zaczęło się dziać. Wczoraj przechodziłem obok matematycznej pra-

cowni i nagle usłyszałem straszny śmiech... Natychmiast pobiegłem tam i widzę: siedzą naprzeciwko siebie Ninka Fradkina i Staśka Wielopolska, obiedwie z czwartej grupy, i zaśmiewają się. Mnie samemu śmiać się zachciało i zapytałem je:

— Co się stało?

A sam śmieję się. One jeszcze więcej chichoczą, ale zauważyłem, że Staśce w gardle coś bulgocze. Potem zaczęła rzęzić, i strach mnie ogarnął. Co prędżej pobiegłem po dyżurnego szkraba, tego dnia akurat dyżurował Almakfisz, przybiegliśmy, a dziewczęta zanoszą się od spazmów. Almakfisz powiedział, że to histerja. Pobiegłem po wodę i ręcznik, i obiedwie dziewczyny przyszły do siebie. Chłopcy zapytywali mnie, czy nie zajmę się uzdrowieniem ich w taki sam sposób, jak zimą z Zoją Trawnikową. Odpowiedziałem im, że teraz to nie moja sprawa, niech już to uczynią teraźniejsze uczkomy. Ja i tak mam dużo pracy. Jeszcze przed miesiącem gubernjalne ONO*) zwróciło się do naszej szkoły, żeby wzięła udział w zwalczaniu włóczęgostwa i opiece społecznej nad nieletnimi. Ponieważ już miałem do czynienia z Aloszką Czykinem, kiedy on ukradł pieniądze, a potem ukrywał się w rozwalonej piwnicy, szkoła wybrała mnie dla nawiązania stosunków z tem ONO. Otóż teraz bywam tam. Dużo mam do czynienia z dzieć-

---

*) Dział oświaty ludowej.

mi bezdomnemi, i prawie zawsze nic się nie udaje zrobić. Powiadają, że dorośli po trzech miesiącach pracy wśród nich muszą iść do sanatorjum dla nerwowo chorych. A według mnie, trzeba to tak urządzić: organizować lotne oddziały z takich chłopców, jak ja. Te oddziały będą wszczynały bijatykę z bezdomnymi, potem się pogodzą, razem papierosy będą ćmili, pili wódkę. W ten sposob chętniej będą się z nami znajomili, łatwiej będzie zapędzić ich do nauki. Albo też opowiadać im bajki, jak to robił Wańka Pietuchow. Wtedy żadne sanatorja dla nerwowych nie będą potrzebne. Przeciwko temu sposobowi można tylko jedno powiedzieć: zbyt dużo czasu na to potrzeba, i nasi chłopcy nie będą mieli kiedy się uczyć. Opowiedziałem o tym projekcie sekretarce ONO, ale ją to tylko rozśmieszyło. Mogłaby się nie śmiać, a porozmawiać. Nie znoszę, kiedy się kto ze mnie śmieje.

W każdym razie do niczego są te ich sposoby zwalczania bezdomnych, i przestanę u nich pracować.

Ojca Aloszki Czykina przejechał na śmierć samochód ciężarowy, i Zin-Pałna wzięła do siebie Aloszkę na wychowanie. Cała szkoła utrzymuje, że ona dobrze postąpiła, tylko Sieriożka Blinow twierdzi, że zrobiła to przez próżność.

20 kwietnia.

Z powodu histerji dziewcząt odbyło się zebranie uczkomu, i mnie powołano na świadka.

Przyszli również „milicjanci". Już miesiąc minął, jak w naszej szkole wprowadzono milicję, żeby zwolnić uczkom od kłopotów administracyjnych. Wyznacza się dwóch milicjantów, łażą oni po całej szkole akurat tak samo, jak w kinie francuscy policjanci, przynajmniej mają takie same głupie miny. Opowiedziałem na zebraniu, jak to wszystko się stało, i poszedłem sobie. Zdaje się, że tam nic nie postanowili. Byliśmy już kilka razy z wycieczką w fabryce włókienniczej. Należymy do jaczejki tej fabryki. Jaczejka i nasi komsomolcy nie mają żadnego wpływu na życie szkolne, mojem zdaniem, to niedobrze.

22 kwietnia.

Mieliśmy w audytorjum okropną bójkę, i Wołodźce Szmercowi rozbito do krwi całą fizjonomję. Jego tak często tłuką, żeśmy go przezwali „ofiarą". Oczywiście, milicjanci nie mogli sobie poradzić z chłopcami, i trzeba było wezwać dyżurnego szkraba.

Na ogólnem zebraniu omawiano nowy projekt samorządu. Według tego projektu uczkomy mają być wybierani na trzy miesiące, a nie na miesiąc jak dawniej, a to dlatego, żeby uczkomy mogły lepiej poznać sprawy szkolne. Dotychczas, nie zdążyli się obejrzeć, jak już inni na ich miejsce byli obierani.

Sieriożka Blinow powiedział, że im dłużej istnieje uczkom, tem większej nabiera pychy. Poza tem — wszystko jedno, na jaki czas go obierać, chociażby na rok — nic z tego nie będzie, gdyż dopóki jest zależny od szkrabów, nie będzie miał żadnego autorytetu. Na to Zin-Pałna powiedziała:

— Widzę, że Blinow bróździ po dawnemu. Czy rzeczywiście pragnie on, żeby szkoła znowu rozpadła się na dwa obozy i w dodatku przed samym końcem roku szkolnego, w najbardziej odpowiedzialnym okresie zdawania z przedmiotów? Myślę, że to wiosna tak na niego działa.

Sieriożka na to odpowiedział, że to wszystko nie ma nic wspólnego z wiosną, że tylko wypowiedział swoje zdanie. Ponieważ wszyscy się denerwowali, Sieriożka rozzłościł się i nagada podniesionym głosem. Na to Almakfisz najniespodziewaniej zaczął krzyczeć, że Blinow powinien siedzieć w uniwersytecie, a nie w szkole. Wynikła cała awantura. Zin-Pałna zamknęła zebranie.

Sieriożka wygrażał się w korytarzu, że pokaże tym wszystkim szkrabom, pokaże z zasady, gdyż przedewszystkiem jest rewolucjonistą, a już potem uczniem, i jeszcze dużo gadał.

23 kwietnia.

Ukazał się „IKS" z takim artykulikiem:

Rzepka.

Zasadziła Zawa*) Rzepkę z gatunku „Samorząd". Wyrosła wielka, ogromna rzepka. Chwyciła Zawa rzepkę, ciągnie z całej siły, ale wyciągnąć jej nie może. Zawezwała Zawa do pomocy

---

*) Skróc. zawiedujuszczaja — kierowniczka szkoły.

Uczkoma. Uczkom ciągnie Zawę, Zawa — rzepkę, ciągną z całej siły, ale wyciągnąć jej nie mogą. Zamyślił się Uczkom i zawezwał Chozkoma*). Chozkom ciągnie Uczkoma, Uczkom Zawę, Zawa rzepkę, ale wyciągnąć jej nie mogą. Wezwano Sankoma**). Sankom ciągnie Chozkoma, Chozkom Uczkoma, Uczkom Zawę, Zawa rzepkę, ciągną z całej siły, nie mogą jej wyciągnąć. Zawezwał Sankom Szkrabówkę. Szkrabówka ciągnie Sankoma, Sankom Chozkoma, Chozkom Uczkoma, Uczkom Zawę, Zawa rzepkę, ciągną z całej siły, ale wyciągnąć nie mogą.

Nie wytrzymała Szkrabówka, zawrzeszczała dzikim głosem: — Milicjant! — Milicjant zjawił się natychmiast. Milicjant ciągnie Szkrabówkę, Szkrabówka Sankoma, Sankom Chozkoma, Chozkom Uczkoma, Uczkom Zawę, Zawa rzepkę, ciągną z całej siły, ale wyciągnąć nie mogą. Milicjant zawezwał do pomocy Projekt Trzymiesięczny. Projekt ciągnie Milicjanta, Milicjant Szk rabówkę Szkrabówka Sankoma, Sankom Chozkoma, Chozkom Uczkoma, Uczkom Zawę, Zawa rzepkę, ciągną z całej siły, ale wyciągnąć jej nie mogą. Stoją i stoją, oblani potem, a rzepka wciąż tkwi w ziemi.

— Cóż, do licha ciężkiego, kiedy oni na-

---

*) Skrócone: Komitet gospodarczy.

**) „ Komitet sanitarny.

reszcie wyciągną tę rzepkę? — spytał ktoś z przechodniów.

IKS myśli, że to nigdy nie nastąpi.

Zaraz pod ścianą, gdzie wisiał IKS, zebrał się mityng. Sieriożka Blinow wygłosił gorące przemówienie, i wszyscy zgodzili się z nim, że po djabła taki samorząd, który nic sam zrobić nie może. Wogóle lepiej będzie zupełnie pozbawić szkołę samorządu. Postanowiono jednak tę sprawę odłożyć na koniec roku szkolnego.

Potem Sieriożka Blinow mówił, że szkraby nie stoją na wysokości zadania, dlatego też lepiej powołać kogo innego. Może wtedy szkoła obierze należytą drogę rewolucyjną i nam wszystkim łatwiej będzie żyć i uczyć się. Wielu uczniów nie zgadza się z tem. Co do mnie, to przekonałem się, że Zin-Pałna i Nikpetoż zupełnie odpowiadają swemu zadaniu. Oczywiście, miałbym coś do powiedzenia przeciwko Jelnikitce i poczęści Almakfiszowi, ale jednak i oni bywają pożyteczni. Ale Sieriożka powiada, że jeżeli wypowiedzieć walkę, to już wszystkim razem. Długo potem przechadzałem się z Nikpetożem po sali gimnastycznej i rozmawiałem z nim. Nikpetoż sam mnie zawołał. Między innemi zapytał mnie, dlaczego przestałem przyjaźnić się z Sylwą. Wytłumaczyłem mu, że Sylwa po wypadku z Liną podejrzewa mnie o coś, choć cała moja wina tylko na tem polega, że by-

wałem na kapustnikach. Ona powiada, że ja nie posiadam komsomolskiej ideologji.

— To dobra dziewczyna ta Sylwa Dubinina — powiedział Nikpetoż i westchnął.

— Tak, dobra, dobra, tylko złośnica — odpowiedziałem. — I na czem ta jej dobroć polega?

— Jest surowa dla siebie i dla innych, ale jeżeli się do kogoś przywiąże, to już wtedy nie rozumuje, robi to z całem poświęceniem... A jak ci się zdaje, Riabcew, czy jestem szczęśliwy? — zapytał mnie Nikpetoż niespodzianie.

— Oczywiście, szczęśliwy.

— Kiepski z ciebie psycholog, Riabcew.

— Według mnie, Nikołaju Piotrowiczu, nieszczęśliwym można nazwać takiego człowieka, który czuje się zupełnie samotnym na świecie. On jeszcze bardziej staje się nieszczęśliwym, jeżeli, chcąc zapomnieć o swojej samotności, zabiera się do pracy społecznej. Źle jest także, jeżeli się nie ma nikogo bliskiego, z kim można byłoby poradzić się.

— Czy czujesz się szczęśliwym, Riabcew?

— Oho, nie dam się nabrać! Nic o tem nie powiem — odrzekłem. Obaj roześmialiśmy się i pożegnali.

Dlaczegóżby on nie miał się czuć szczęśliwym? Wszyscy go lubią, cenią i szanują. Tylko Sieriożka Blinow walczy z nim. Ale przecież Sieriożka jest wrogiem wszystkich szkrabów.

26 kwietnia.

Przyszedłem do SPON'u, nie zastałem sekretarki i, nie mając nic do roboty, zacząłem przeglądać papiery na stole. Nagle zauważyłem długi arkusz, zapisany niewyrobionem pismem, a obok kopję, pisaną na maszynie. Szybko przeczytałem ją i poprostu osłupiałem. Nie miałem się z kim poradzić i postanowiłem ją przepisać. Spieszyłem się bardzo, wciąż bałem się, że wejdzie sekretarka. Zdążyłem jednak wsunąć kopję do kieszeni. Nagle weszła sekretarka, akurat wtedy wkładałem papier do teczki, tylko nie zdążyłem jej zamknąć. Sekretarka spojrzała na mnie podejrzliwie i zapytała:

— Co robiłeś tutaj beze mnie?

— A no nic, czekałem na panią.

— Dlaczego teczka otwarta?

— Przeglądałem papiery.

— Bardzo proszę na przyszłość nie otwierać teczek ze sprawami poufnemi.

— Jeżeli zawierają jakieś tajemnice, to niech nie leżą rozrzucone na stole.

Sekretarka strasznie się obraziła i powiedziała:

— Źle się zachowujesz, towarzyszu Riabcew, podczas pracy. I wogóle...

— I wogóle — dokończyłem — nie mam tu nic do roboty. Mówiłem już, jak trzeba opieko-

wać się opuszczonemi dziećmi, a pani śmiała się ze mnie.

Byłem wobec niej grubjański i poszedłem sobie. W domu jeszcze raz przeczytałem tę kopję. Najbardziej mnie dziwi, że i dorośli cierpią z powodu kwestji płciowej, czasami nawet za coś bywają karani. Jutro pomówię z Nikpetożem, gdyż przykro czytać takie rzeczy i nie wiedzieć, czy to prawda. W książkach nic o tem wyczytać nie można.

28 kwietnia.

Dzisiaj zdawała u nas z matematyki czwarta grupa. Staśka Wielopolska ścięła się, wyszła z laboratorjum i zaczęła się śmiać. Dokoła zebrały się inne dziewczęta, które również miały odpowiadać. Z początku uspokajały Staśkę, dawały jej wodę do picia, a potem i one tak samo śmiały się. Rozpoczęły się ogólne spazmy i śmiechy. Staśka upadła na podłogę i zaczęła się rzucać, za nią inne, krzyczały coraz głośniej. Zbiegły się szkraby. Kiedy nareszcie uspokojono dziewczęta, słyszałem, jak Zin-Pałna powiedziała do Almakfisza: — To ogólna histerja, trzeba temu przeciwdziałać. — Trwała ta histerja prawie cały kwadrans. Potem pokazałem Nikpetożowi papier, który świsnąłem w SPON'ie, i poprosiłem go o szczegółowe wyjaśnienie. Nikpetoż bardzo się zmieszał i z początku poradził, żebym zniszczył ten papier i zabrał się do nauki.

Potem jednak, kiedy zacząłem nalegać, objaśnił mi, że to są zboczenia płciowe. Zdarzają się takie wypadki, i Władza Sowiecka walczy z tem, jak może. Organizuje sporty, wykłady, stara się podnieść ogólny poziom oświaty wśród ludu itd. Niebardzo zadowolniła mnie ta odpowiedź. Po raz pierwszy widziałem, że Nikpetoż był zmieszany.

30 kwietnia.

Podczas zdawania z fizyki dziewczęta znowu dostały ataku histerji. Wczoraj zdarzył się ten wypadek. Z tego powodu „IKS" wydrukował dzisiaj następującą notatkę:

Instytut Histerji.

Zawiadamiamy czytelników, że u nas w szkole został otwarty nowy zakład naukowy: Instytut Histerji (niechaj czytelnik nie myśli, że tu mowa o Instytucie Historji). Dziewczęta, które kończą ten Instytut, otrzymują dyplom dobrze ułożonych prowincjonalnych panienek. Odbywają się wykłady z następujących przedmiotów: bale, tańce, flirt, histerje przeróżnych gatunków, poczynając od mysiego pisku i kończąc na dzikim chichocie. Największe postępy robią dziewczęta: N. F., S. W., Z. D. i K. R. Dla ułatwienia pracy w instytucie „IKS" proponuje następujące środki:

1) Postawić w audytorjum czterdziestowiadrowy kocioł z kroplami walerjanowemi.

2) Postawić w sali gimnastycznej żelaznego bałwana z napisem: „Posąg boleści". Każdy, kto tylko zechce, będzie mógł na jego łonie wylewać łzy, nie przeszkadzając innym w nauce. Bałwan musi być zrobiony z żelaza, gdyż inaczej roztopiłby się od łez. „IKS" żywi nadzieję, że te środki świetnie ureguluja pracę w Instytucie Histerji.

Dużo było śmiechu koło tego „IKS'a". Dziewczęta były wściekłe i zdarły „IKS'a" Zin-Pałnie z przed nosa. Zin-Pałna tupnęła nogą i krzyknęła:

— Jeżeli ktokolwiek ośmieli się zrobić zamach na wolność słowa w szkole, ten więcej nigdy niech się do mnie z niczem nie zwraca. Proszę natychmiast powiesić gazetę na dawnem miejscu.

Dziewczęta zaraz przyniosły skądciś gwoździki i przybiły „IKS'a" do ściany.

Zaśmiewaliśmy się w kącie, aż brzuchy nas zabolały.

Potem zupełnie przypadkowo dowiedziałem się takiej rzeczy. Wpobliżu audytorjum podniosłem zmiętą kartkę i przeczytałem. Kartka pisana była ręką Zin-Pałny i zawierała tę samą notatkę o Instytucie Histerji, a na odwrotnej stronie również jej ręką: „Do redakcji „IKS'a". To ci historja! Jak widać, nasza Zinaidyszcza pisuje do „IKS'a". Widocznie wie, kto należy do redakcji. A ja dotychczas jeszcze nie mam pojęcia. To porządne świństwo wobec mnie.

I wogóle tak jakoś wyszło, że są sprawy, o których wiem tylko ja sam. Im dalej, tem więcej się tego nagromadza. Zupełnie nie wiem, kogo się poradzić. Z Sylwą nie rozmawiam, od Sieriożki odsunąłem się, Nikpetoż jest dorosły, a więcej nie mam nikogo.

Pozostała mi tylko nauka i ten oto pamiętnik — mój bliski przyjaciel, któremu absolutnie wszystko powierzam.

10 maja.

Wiwat! Zdałem z większości przedmiotów.

Nikpetoż winszował mi i powiedział, że mogę uważać siebie teraz za członka czwartej grupy. Większość uczniów naszej grupy też zdała ze wszystkich przedmiotów, wśród nich Czarna Zoja i Sylwa. Juszka Gromow nie zdał z nauk społecznych i z matematyki; miał zaległości jeszcze od stycznia. Powiada, że gwiżdże na to wszystko, bo nic go nie obchodzi, czy zostanie w trzeciej grupie, czy też przejdzie do czwartej. Wogóle nie ma zamiaru kończyć naszej szkoły, chce wstąpić do szkoły kawaleryjskiej, podobają mu się spodnie konnych gwardzistów. Według mnie to bujdy, wszystko jedno, jakie się spodnie nosi, można nawet bez spodni chodzić—w samych majteczkach. Pokazałem Juszce kopję, którą wziąłem w SPON'ie, a on powiedział, że tam niema nic ciekawego: wszyscy mężczyźni zajmują się takiemi rzeczami

i najlepiej gwizdać na to. Gdyby on traktował kwestje płciowe tak, jak ja, to, oczywiście, mówiłby zupełnie inaczej.

15 maja.

Dziś Zin-Pałna oznajmiła, że w letniej szkole pozostaną tylko ci, którzy lato spędzą w mieście, a jeżeli kto ma dokąd jechać, to niech jedzie.

Potem oświadczyła, że sama pokieruje nauką w letniej szkole i zrzeknie się urlopu. Mają być takie zajęcia: 1) zbadanie jakiejś wsi wpobliżu miasta i objęcie nad nią kierownictwa; 2) poszukiwania starożytnych wykopalisk razem ze współpracownikami Muzeum Krajoznawczego; 3) wycieczki o charakterze społecznym; wycieczki historyczne, które będą polegały na zwiedzaniu przeróżnych muzeów i dawnych majątków. Kierownictwo obejmą szkraby, każdy w zakresie swojej specjalności.

Zajęcia w szkole letniej rozpoczną się 1-go czerwca. Wtedy odbędą się promocje do następnych grup, i ostatecznie wyjaśniona zostanie sprawa abiturjentów.

20 maja.

Przez ten futbol zdarłem całe moje obuwie. Żeby nie narażać tatki na wydatek, co wieczór reparuję buty dratwą. Szewc powiada, że

trzeba będzie jednak nowe kupić. Szycie zabiera tyle czasu, że zaniedbuję pamiętnik.

31 maja.

Juszka Gromow ma siostrę Marję. Ona już jest całkiem dorosła i wciąż przyłazi do nas, chłopców. Czuć od niej perfumy jak z beczki. Nos ma zupełnie biały. Juszka powiada, że ona się pudruje, a w rzeczywistości nos ma zupełnie siny. Muszę to sprawdzić. Ich ojciec zajmuje się obdzieraniem kotów ze skóry. Skupuje gdzieś koty, potem zdziera z nich skórę i sprzedaje jako popielice. Mój tatko też go zna i powiada, że to niepraktyczne futro, bo obłazi.

Ta Marja wciąż się nade mną lituje, nazywa „sierotką", częstuje herbatą z konfiturami, i Juszka przezwał mnie „nieboraczkiem". Trochę mnie to obraża, a jednocześnie jakgdyby sprawia przyjemność.

Komsomoł zwija na lato pracę w klubie; chociaż rzadko bywałem w tym klubie, jednak żal mi czegoś. Sieriożka Blinow wyjeżdża na lato do Tambowskiej gubernji, a Czarna Zoja — do swoich krewnych do Leningradu.

Czasami zdaje mi się, że chodzę samotny po zupełnie gołej ziemi, dokoła straszliwa pustka, i żal mi jakoś siebie samego.

LETNI KWARTAŁ

ZESZYT OGÓLNY

3 czerwca.

Dziś Zin-Pałna opowiadała nam, na czem będzie polegała jej praca z nami w letniej szkole. Po pierwsze trzeba przeprowadzić, jak ona powiada, ogólne zbadanie wsi Gołowkino, położonej o pięć wiorst od miasta. Z chłopami musimy nawiązać stosunki, nie zadzierać wobec nich nosa dlatego, że z miasta pochodzimy, poznać ich obyczaje, dawać im wyjaśnienia we wszystkich sprawach, któremi się interesują, wymierzyć całą wieś wzdłuż i wszerz, jednem słowem, być łącznikiem pomiędzy nimi a miastem.

Po drugie — zaobserwować i zapisać piosenki ludowe, bajki, podania, zabobony (odrysować stroje ludowe, ale to już będzie obyczajowa strona ich życia). Jako wzór eposu ludowego Zin-Pałna przeczytała nam urywki poematu fińskiego „Kalewala". Był sobie taki zbieracz ludowych podań, Runeberg, który pieszo obszedł całą Finlandję i nazbierał dużo przeróżnych bajek, a ich poeta Lenrot ułożył z nich cały poemat. I wszystko to działo się nie przed trzystu laty, nie za czasów Szekspira, ale w zeszłem stuleciu — to znaczy, nie więcej, jak przed stu laty. Może i musiał ten Runeberg znać wszystkie takie historje, ale do czego to nam jest po-

trzebne, nie mogę zrozumieć. Czyż doprawdy mogą kogokolwiek interesować takie dzikie przesądy, jak duchy leśne i djabły? Mnie się zdaje, że nawet chłopi niebardzo wierzą w takie bzdury. A poza tem trudno porównywać ich przesądy z naszemi przesądami, naprzykład, Finnowie wierzyli w olbrzymów. Było ich trzech i razem urządzili wyprawę po skarb Sampo, a po drodze staczali walki z przeróżnemi nieczystemi siłami. No, czyż można ich porównać z Babą-Jagą, która w dodatku na miotle wyjeżdża! I wogóle wszystkie nasze djabły i wiedźmy są straszne, wcale to nie są szlachetne osobistości. Potem Finnowie utrzymują, że nie wolno żab zabijać, bo one dawniej były ludźmi, albo naprzykład to, że pająkowi trzeba przynosić w ofierze zęby, które wypadły człowiekowi. Mojem zdaniem, to jest tylko ciemnota ludu i nie warto tego zapisywać. Lepiej już zelektryfikować wieś, zorganizować kooperatywy i wtedy będzie socjalizm. Ale Zin-Pałna utrzymuje, że trzeba to wszystko zapisać, chociażby dlatego, że z wprowadzeniem elektryczności wszystko to będzie zapomniane, i w żaden sposób nikt się już tego nie doszuka. A według mnie, nikomu nie zechce się w tem grzebać. Powiedziałem o tem Zin-Pałnie, a ona mi odpowiedziała, że widać, nie kocham swojej ojczystej mowy, która stanowi podstawę wszelkiej kultury. Potem już nie mogłem się wykręcić i musiałem zapisywać

o Ukko-piorunie, o Pejwu-słońcu i o Tjeremsie z młotem — pogromcy wszystkich czarodziejów. (Takie nadzwyczajności!)

Prócz tego czeka nas jeszcze praca, polecona przez muzeum krajoznawcze, dotycząca wykopalisk, których mamy szukać w różnych kopcach. Zin-Pałna opowiedziała nam, że w odległości $8^1/_2$ wiorsty od miasta znajduje się stara osada, składająca się z kilku kopców. W muzeum krajoznawczem robią przypuszczenia, że w dawnych czasach chowano w tych kopcach rycerzy wraz z orężem, końmi i żonami. Trzeba ich wykopać i odesłać do muzeum. To ci wyprawa! Szczególnie po ten oręż. Wykopiemy i zaraz na tym kopcu stoczymy wzorową walkę. Ale wogóle mam wrażenie, że nie starczy nam nawet całego lata dla odrobienia tych prac dlatego, że przecież i inne szkraby coś nam zadadzą.

Nikpetoż z powodu choroby wziął urlop na dwa miesiące i wyjechał. Przed wyjazdem cały czas rozmawiał z Sylwą. Było mi strasznie przykro, że ze mną wcale nie pogadał. Teraz już zupełnie nie mam z kim pomówić.

4 czerwca.

Po zebraniu, na którem Jelnikitka mówiła z nami o naukach przyrodniczych, zdarzył się wypadek, który mnie bardzo zdenerwował. Kiedy wychodziłem z laboratorjum, zauważyłem, że Wo-

łodźka Szmerc wali Sylwę w plecy. Sylwa z początku broniła się, i ja nawet chciałem obojętnie pójść sobie dalej, aż tu nagle słyszę, jak Sylwa woła bardzo stanowczo:

— Kostia Riabcew, broń mnie!

Już zamierzałem nie zatrzymywać się, kiedy znowu usłyszałem rozpaczliwy krzyk Sylwy:

— Władlen, broń mnie!...

Wołodźka Szmerc jak wybuchnie śmiechem, nawet przestał ją łupić.

— Co to za Władlen? — zapytał.

Odwróciłem się i zaopatrzyłem go w taką porcję, jak w czerwonej armji; wywrócił się nawet, ale potem skoczył na równe nogi i rzucił się na mnie. Rzuciłem w niego jeszcze ręcznym granatem, czyli dałem mu pięścią, aż ku drzwiom się zatoczył, splunął w moją stronę, pogroził i odszedł.

Sylwa odezwała się:

— Zawiniłam przed tobą, teraz już wiem o wszystkiem, wybacz mi!

Odpowiedziałem jej:

— Ty dawniej o wszystkiem wiedziałaś, a teraz nie potrzebujesz prosić mnie o przebaczenie.

— Nie, o niczem nie wiedziałam, dopiero teraz opowiedział mi Nikołaj Piotrowicz; chcesz, będziemy się przyjaźnili po dawnemu.

— Nie, do dawnej przyjaźni nie wrócimy —

powiedziałem ostro i poszedłem sobie. Zdaje mi się, że się rozpłakała.

7 czerwca.

Wczoraj po raz pierwszy poszliśmy do Gołowkina. Chłopi byli na zagonach, zajmują się przeważnie uprawą warzyw. Właśnie mnie polecono zbadać ich obyczaje. Podszedłem do jednej chłopki, która sadziła rozsadę, i powiadam do niej:

— Chciałbym dopomóc cioteczce w czemkolwiek.

— A coś ty za jeden?

— Cała wycieczka przybyła tu z miasta.

— Co to, uczniowie?

— Uczniowie!

— Tutaj latoś też do Pierchuszkowa przyjeżdżali uczniowie, tylko tamci to jakieś jeometry. Skradli ciotce Arynie kuferek z bielizną.

— Nie jesteśmy złodziejami.

— A kto was tam wie, czy wy tacy, czy owacy. Poszedłbyś sobie lepiej i nie przeszkadzał mi.

— Powiedz mi, ciotko, czy ty wierzysz w djabłów?

Na to ona wstała, strzepnęła z rąk ziemię i jak zawrzeszczy:

— Pietrek!.. Pietrek!..

Za płotem ukazał się chłop, w rękach widły trzyma i wprost ku mnie idzie. A baba się odzywa:

— Ot tutaj jakiś tam uczeń cosik o djabłach zagadał...

Jakoś ośmieliłem się i powiadam:

— Ależ nie, nic o djabłach nie mówię, mogę wam powiedzieć o elektryzacji i o radjo, dopomagać wam mogę... w czemkolwiek.

— Aha, to ta „współpraca", jak widać—odpowiada chłop.

— No cóż, dobrze, nie sprzeciwiamy się temu, cóż, jeżeli do rzeczy... Tylko, mój kochany, lepiej, żebyś do nas w niedzielę przyszedł: w niedzielę to nasi więcej czasu mają.

Tak wyszedłem z niczem z tej zagrody.

Idę sobie opłotkami, a wszędzie baby wraz z dzieciakami okopują grzędy. Nagle rzuca się na mnie kudłaty pies i skacze dokoła z okropnem szczekaniem. Jak zwykle w takich wypadkach, udałem, że chcę podnieść kamień z ziemi, ale to go wcale nie uspokoiło, jeszcze bardziej zaczął szczekać, i kilka psów jeszcze nadbiegło, i wszystkie rzuciły się na mnie. Słyszałem, że jak pies się tak rzuca, to trzeba go podlać, wtedy się odczepi. A że było ich dużo, zacząłem się kręcić i polewać na wszystkie strony, starając się trafiać w psy.

— Aha, to taka tera wspólna robota? — zapytał mnie ktoś ztyłu. Oglądam się, a to ten sam chłop z widłami.

Przepędził psy, i poszedłem sobie dalej. Ale nie zdążyłem obejść dwóch zagród, jak psy znowu mnie obstąpiły i jeden nawet chwycił mnie za nogawkę.

Rozzłościłem się, wyrwałem kołek z płotu i zacząłem się bronić. Aż tu słyszę:

— Rzuć kij, rzuć, gadam ci, bo cię rozszarpią.

Rzuciłem kołek. Idzie jakiś chłop i pyta:

— Co cię tu przyniosło?

— A no przyszedłem waszą wieś zbadać.

— Tutaj za opłotkami niema nic do badania— odpowiada mi chłop—łażą, wypatrują... A czego płot łamiesz, nie ty go robiłeś, to i łamać nie masz prawa.

Nagle z krzaków wysuwa się baba i krzyczy: — Wynoś mi się, wynoś, mazepa. Łażą tu, ino patrzeć, jak co ściągną, tak, jak ten kuferek ciotki Aryny, tej, co w Pierchuszkowie mieszka... Wańka!.. Wania! — zawrzeszczała dzikim głosem— gąski porachuj, go...ąski!..

Ledwo zdążyłem drapnąć ze wsi.

Innym tak samo się powiodło, a dwóch chłopaków o mało co nie zatłukli, kiedy zobaczyli, że do pomiarów się zabierają.

10 czerwca.

Zdaje mi się, że powtarza się to samo, co było zimą, tylko doprawdy to już nie z mojej winy. Lepiej niż zimą zdaję sobie sprawę z tego, co mi jest. Po pierwsze wpłynęła na to historja z Liną, a po drugie—przeczytanie papieru, który ściągnąłem w SPON'ie. Teraz już wiem, że za niektóre sprawy tego rodzaju można być karanym. Najgorsze dla mnie jest to, że Nikpetoż jest na urlopie, Juszce nie

ufam w tych sprawach, a więcej nie mam kogo się radzić, jestem zupełnie samotny. Ot, jak ta sprawa się przedstawia. Trwa to już od kilku dni.

Siostrze Juszki, Marji, zachciało się urządzić przedstawienie „Oświadczyny" Czechowa. W tem przedstawieniu mam być „narzeczonym", a ona, Marja—„narzeczoną". Sztuka to nie współczesna i dość bezsensowna—o właścicielach ziemskich, ale jednak zgodziłem się, bo wogóle chciałbym spróbować, czy mogę być artystą. Rolę mam taką, że muszę całować Marję. Podczas próby objąłem ją i pocałowałem, a ona powiada:

— Fe, całą mnie pośliniłeś... Czyż ty nie umiesz całować?

Było przy tem z jakie pięć osób, wszyscy wywybuchnęli śmiechem, a Juszka Gromow wrzasnął:

— O-o-o!.. Zaczerwienił się, zaczerwienił się!..

Rozgniewałem się, powiedziałem, że więcej grać nie będę i że natychmiast idę do domu. Wszyscy obstąpili mnie, zaczęli mnie namawiać, żebym został, a Juszka wziął mnie na stronę i powiada:

— Co ci jest, czy ty taki maluśki jesteś, ty draniu, albo może udajesz? Czy nie widzisz, że Marja leci na ciebie?

Nie odrazu zrozumiałem, co chciał przez to powiedzieć, ale nadbiegła Marja, odepchnęła Juszkę, że aż odskoczył, a do mnie szepcze: — Dziwak jesteś, Kostia! To nic, że ty nie umiesz, ja cię

nauczę. Czy chcesz? chcesz? przyjdź do nas wieczorkiem do ogrodu.

Mają oni ogródek koło domu. Rozmyśliłem się i zostałem. Wszystko jedno, czasu mam dość. Wieczorem przychodzę do nich do ogrodu, widzę, Marja już jest, a sukienkę ma przezroczystą, spódniczkę króciutką. Zaraz się do mnie przytuliła i powiada:

— No — tylko nie śliń, ściśnij wargi ot tak i przyciśnij je do mego policzka.

Ale ja naumyślnie pocałowałem ją nie w policzek, a w nos; słyszę, szepcze: — Ach, ty durniu, nie tutaj — jednak zauważyłem, że starłem puder z nosa. Potem zaczęła mnie uczyć całowania w usta, ale to niebardzo było przyjemne dlatego, że ona zęby ma żółte i prócz perfum czuć ją tytoniem. I naprawdę pali papierosy jeden po drugim. Potem zaprowadziła mnie do ciemnego zakątka, usadowiła na ławce, a sama siadła mi na kolana. Ale jakoś poczułem silny psi zapach i powiadam:—Fe, gdzieżeśmy usiedli, taki tu paskudny zapach.—A ona mocno mnie chwyciła za szyję i szepcze do ucha: —To nic nie szkodzi: to ojciec porozwieszał skóry kocie, nie zwracaj uwagi.

A jak tu uwagi nie zwracać, kiedy powietrze jak na śmietniku, jeszcze nawet gorsze! Ledwo ją odepchnąłem i poszedłem sobie, ale ona nie obraziła się. Od tego czasu zachodziłem do niej kilka

razy. Całowaliśmy się dużo jak małe dzieci. Niewielka to przyjemność.

Wszystko to byłoby głupstwo, gdyby za każdym razem nie było tego f-f-p-p! To mnie bardzo przygnębia, szczególniej, kiedy sobie przypomnę tę kopję ze SPON'u.

15 czerwca.

Aloszka Czykin mieszka teraz u Zin-Pałny. Zmienił się zupełnie. Oczywiście przez to, że zadawał się z bezdomnymi, z nauką nietęgo mu poszło, zapewne posiedzi drugi rok w trzeciej grupie, blady jest teraz, chudy i bardzo milczący. Zin-Pałna wystarała się dla jego matki o jakąś zapomogę w Komchozie. Staruszka przyszła jej dziękować i chciała upaść do nóg, ale Zin-Pałna strasznie się na to oburzyła. Próbowałem parę razy zagadać z Aloszką, ale on nie gada, tylko coś tam mruczy pod nosem.

20 czerwca.

Onegdaj byliśmy na wycieczce razem z Jelnikitką. Miała to być wycieczka przyrodnicza, ale tak wypadło, że trzeba było zatrącić i o nauki społeczne. Ale Jelnikitka nic się na tem nie zna, i dlatego taki zdarzył się przypadek. Pojechała prawie cała nasza trzecia grupa (obecnie czwarta)

---

*) Komitet gospodarczy.

i jeszcze parę osób z drugiej. W drodze mieliśmy przeróżne miłosne historje; naprzykład Wołodźka Szmerc całą drogę stał z Ninką Fradkiną na pomoście wagonu. Chłopcy naumyślnie ciągle biegali, niby do ustępu, jeden po drugim. Wołodźka oczywiście, wściekał się; dobrze mu tak: lata za wszystkiemi dziewczętami, flirtuje z niemi pokolei jak jakiś tam Harry Lloyd. Ninka na nas wykrzywiała się, tego tylko nam było trzeba. Potem Jelnikitka powiedziała, żebyśmy coś zaśpiewali, dlatego, że na wycieczkach zawsze się śpiewa. Zapytaliśmy ją, co śpiewać, a ona powiada: „Znijdź, o cichy wieczorze...“ Zaśpiewaliśmy i to taką idjotyczną piosenkę. Nadszedł konduktor, spojrzał na nas podejrzliwie i powiada: „Zdawało mi się, że to hamulec pękł". Naogół wesoła była jazda.

Kiedy przyjechaliśmy do „Słonecznego“, Jelnikitka natychmiast coś zaczęła tłumaczyć dziewczętom z przyrody, a chłopcy poszli bawić się w futbol. Nagle chłopcy złapali węża; wszyscy wiedzą, że węże nie kąsają, a u nas miał miejsce następujący wypadek. Przybiegli z wężem do Jelnikitki i pytają (tak sobie żartem):

— Jelena Nikiticzna, jaka to żmija?

— A to — powiada Jelnikitka — mały wąż, krewniak afrykańskiego boa.

— A czy kąsa?

— Nie, jego żądło jest nieszkodliwe.

Wtedy Juszka Gromow, który trzymał węża w rękach, podchodzi do Jelnikitki i powiada:

— Proszę potrzymać go trochę.

— A to poco?

— Trzeba przecież dowieść, że on nie kąsa.

I wpycha jej węża w ręce, a wąż cały pręży się, jakby go kto na widły nadział. Jelnikitka zawrzeszczała, a za nią — wszystkie dziewczyny.

— Rzuć go w tej chwili — krzyczy Jelnikitka — nie waż mi się zbliżać z nim do mnie!

Juszka rzucił, ale nie na ziemię, tylko na Ninkę Fradkiną. Ta zaczęła głowę wykręcać na wszystkie strony, piszczeć, a my wszyscy drapnęliśmy. Jelnikitka zagroziła. że pomówi o tem na ogólnem zebraniu. Niech gada. Codzień ma coś do powiedzenia, już jej nawet nie słuchają. W jej obecności ani pośmiać, ani zabawić się nie można, a dziewczęta mają zwykle takie postne miny, że ani przystąp.

Potem byliśmy w majątku. Jest tam teraz sowchoz*), ale on mieści się tylko tam, gdzie są zabudowania gospodarskie, a z głównego domu wraz z oficynami zrobiono muzeum, dokąd zjeżdżają się różne wycieczki, aby zobaczyć, jak dawniej mieszkali panowie, obszarnicy i burżuje. Oczywiście, i nam się zachciało obejrzeć to wszystko.

A Jelnikitka powiada:

---

*) Sowieckie gospodarstwo wiejskie.

— Jeżeli wycieczka jest przyrodnicza, to nie trzeba odbiegać od przedmiotu. Więc teraz chodźmy obejrzeć sowchoz. Opowiem wam, co tam jest ciekawego.

A czy to ciekawe oglądać różne tam byki i krowy? Gdybyśmy sami je hodowali, toby to miało jakiś sens. Dlatego też chłopcy powiadają:

— Nie pójdziemy.

Spieraliśmy się i spieraliśmy, aż tu naraz w oszklonych drzwiach ukazał się ktoś we frenczu bronzowego koloru, taki sobie, niebardzo stary, taki szpakowaty i powiada:

— Możeby kto zechciał pałac obejrzeć?

Jelnikitka pyta:

— Czy pan jest zarządzającym?

— Tak — odpowiada frencz — ja tutaj jestem gospodarzem.

A głos ma zachrypnięty jak zepsuty gramofon, jakgdyby w gardle woda bulgotała.

— Więc pan nam wytłumaczy wszystko? — pyta Jelnikitka.

— Wszyściutko co do joty — odpowiada zarządzający, a sam jakoś się zatoczył.

— No, to w takim razie chodźcie — powiada Jelnikitka z niezadowoleniem.

Pewnie dlatego przedtem nie poszła z nami, że się bała, że nam nic opowiedzieć nie potrafi.

Zarządzający oprowadzał nas po wszystkich pokojach.

— Tutaj — powiada — jaśnie wielmożny pan Urusow obiad jadał, a tutaj jaśnie wielmożny pan herbatę pijał. A tutaj jaśnie wielmożny pan wypoczywał. A tutaj...

Nie wytrzymała Jelnikitka:

— Jaki tam „jaśnie wielmożny pan?" — powiada. — Przecież to są sowieckie dzieci (to o nas tak — dzieci!) i nie znają one tych tytułów. Proszę obywatela zarządzającego mówić zwyczajnie.

— Cóż, mogę — odpowiada zarządzający, i w tejże chwili czkawka go chwyciła. — Tylko rozkaz miałem, żeby się trzymać ko-ro-lo-ry-tu. Otóż, proszę spojrzeć, te ściany mają malowane tło. A aniołowie, którzy tu fruwaja, to amory. A oto stół z porcelanowego szkła. Proszę nie dotykać palcami, bo niektórzy ruszają, a z tego kurz powstaje.—I w tej samej chwili jak go chwyci czkawka! — Fe, jak ta czkawka dokucza — powiada. — Pewnie za dużo cebuli zjadłem. Zaraz przyjdę, poczekajcie na mnie trochę.

I poszedł.

— Jaki dziwak — powiada Jelnikitka.

— Proszę dalej nam pokazywać, Jelena Nikiticzna — powiadam do niej.

— Jeżeli ty, Riabcew, stale wtrącasz się nie do swoich spraw — odpowiada Jelnikitka — to nie dowód, żebym i ja tak postępowała.

Ale nadszedł zarządzający, zaczął opowiadać;

zauważyłem, że już nie cebulę czuć od niego, ale coś innego.

— Co to jest tam na suficie?—pytają chłopcy.

— Na suficie — odpowiada zarządzający — znajduje się bogini Wenyra, a dokoła niej w powozie jeździ sobie pastuch Bulkan, a dlatego on pastuch, że w ręku bat trzyma. A to malowanie zrobił znakomity malarz afrykański.

— A jak się ten malarz nazywał? — pytają chłopcy.

— Zapomniałem—odpowiada zarządzający.— Czy można tyle spamiętać?

— Ik — rozległo się za nami (to Juszka Gromow czkał). Wtedy zarządzający rozsiadł się w jakimś czerwonym fotelu, zamknął oczy i powiada:

— Dzieci moje, dzieci, i pani nauczycielko od czerwonej pedagogji! Przepraszam, łańcuszek mi się w oczach rozerwał.

— Jaki łańcuszek? — pyta Jelnikitka.

— Brryllantowy—odpowiada zarządzający.— Ale to nic, ja zaraz wstanę. Zaszkodziła mi ta cebula, za dużo jej zjadłem.

I naprawdę wstał, poszliśmy dalej. Wchodzimy do olbrzymiego salonu, pośrodku wisi ogromny żyrandol w pokrowcu, a okna — prawie tak wielkie, jak plac futbolowy.

— A tutaj — powiada zarządzający — jaśnie wielmożny pan zarżnął się.

— Dlaczego on się zarżnął?—zapytali chłopcy.

— Widmo zobaczył.

— Jakie widmo?

— Jakąś madamę w bieli — powiada zarządzający grobowym głosem. — I była ta madama taka jakaś delikatna, jakaś, jakby to powiedzieć, odważna, że pan Urusow nie wytrzymał.

— Oj — szepnęła jedna z dziewcząt.

— Obywatelu — powiada na to Jelnikitka.— Obywatelu, sądzę, że pan sam dobrze rozumie, że to przesąd, i natychmiast wytłumaczy dzieciom, że podobne widma nie istnieją, to niedorzeczność.

— Ik! — odpowiada zarządzający. — Tylko ta cebula żyć mi nie daje. A czy to moja wina, że mam rozkaz opowiadać wszystko tak, jak było? Sam przy tem nie byłem, nie widziałem tego, i kto może mieć do mnie pretensję? A zresztą, proszę mi wybaczyć, wieś spaliła się w moich oczach.

I oparł się o ścianę.

— Jakaż to wieś? — pyta Jelnikitka, i widać, że się złości.

— Jepuzicha — odpowiada zarządzający — a jeżeli obywatelce moje objaśnienia nie podobają się, to proszę, niech pani sama opowiada.

— Racja, racja! niech Jelena Nikiticzna mówi — zawołali niektórzy chłopcy, oczywiście, tak sobie tylko błaznowali.

— Niech zarządzający mówi — zawołali inni.

— Głosujmy! — krzyknąłem. — Niech pod-

niosą ręce ci, którzy chcą, żeby Jelena Nikiticzna mówiła.

Większość podniosła ręce.

Jak rozgniewa się Jelnikitka:

— Nic wam opowiadać nie będę, i wogóle, licho wie, co wy wyrabiacie, zaraz stąd pójdziemy.

— Pocóż odchodzić? — powiada zarządzający. — Z wami weselej. Jeszcze lepiej, jeżeli przyjedziecie do mnie do Pokrowa, moja baba napiecze wam pierogów z-z-z...mięsem.

Jelnikitka jednak wściekła się i zażądała, abyśmy w tej chwili poszli na stację. Tylkośmy ruszyli ku drzwiom, jak lunął deszcz, a do stacji— trzy wiorsty.

— No cóż, poczekamy — powiada Jelnikitka.

Wyjrzałem przez drzwi i zobaczyłem pełno chmur na niebie. A zarządzający stoi za mną i powiada:

— Poco to wyjeżdżać, zmokniecie, suchej nitki na was nie zostanie. Zostańcie lepiej na noc. Naniesiemy siana do pokoju, a kto chce, niech idzie do stodoły. Mleka przyniosę wam z sowchozu, ile tylko zechcecie.

— A chleb można tu dostać? — zapytała Jelnikitka niepewnym głosem.

— Nawet dziesięć pudów — odpowiada zarządzający. — Szanowna nauczycielko, jeżeli ja zechcę, to potrafię całę ucztę wyprawić. Czy pani sobie tego życzy? — I dał szczutka w gardziel.

— Nie rozumiem wcale, co pan powiada —

z gniewem odpowiedziała Jelnikitka. — Ale biorąc pod uwagę, że deszcz pada, że dzieci mi się pozaziębiają, muszę pozostać. Trzeba będzie tu przenocować. Proszę pokazać chłopcom, skąd siana wziąć, dlatego, że w stodole nie pozwolę im spać. Proszę też przynieść mleka i chleba. Zapłacimy za wszystko.

Zaczęliśmy ją prosić, żeby nas puściła do stodoły, ale ona nie pozwoliła, bo możemy tam coś zbroić. A jeżeli pójdziemy bez pozwolenia, to wyjedzie natychmiast, a nas samych tutaj zostawi. Chociaż wcaleśmy się nie bali, trzeba było jednak ulec, gdyż rada szkolna mogłaby nam za to zrobić awanturę. Jelnikitka sama sobie najwięcej tem zaszkodziła. Kiedy zarządzający poszedł po mleko i chleb, Jelnikitka powiada do nas:

— Dziwak jest ten zarządzający, widzę, że mu jakiejś klepki brak. Dlatego też bardzo was proszę: nie wchodzić z nim w żadną komitywę i nie rozmawiać. Wiem dobrze, że chcielibyście zawrzeć z nim znajomość, ale ja na to nie pozwalam, rozumiecie?

Czy ona może pozwolić albo zabronić? Gdyby o tem nie wspomniała, siedzielibyśmy cicho. A tak zdecydowaliśmy się nastraszyć i ją, i dziewczęta.

Deszcz wciąż padał, i niesposób było biegać w ogrodzie, więc zaczęliśmy się bawić w berka w salonie. Zmierzch zapadł, a ponieważ nie było światła, chcąc nie chcąc, trzeba było kłaść się spać.

Dziewczęta z Jelnikitką położyły się w jednym pokoju, a my — w drugim. Oczywiście, zaczęły się różne rozmowy i dokazywanie. Jelnikitka nawet krzyknęła na nas kilka razy. Kiedy wszyscy uspokoili się troszeczkę, Juszka Gromow szepnął mi:

— Już czas.

A myśmy jeszcze z wieczora przygotowali sobie prześcieradło, w które zawinięte były produkty z wycieczki. Juszka owinął się w prześcieradło i cichutko, żeby nas nikt nie słyszał, wślizgnęliśmy się do salonu, aby ostatecznie umówić się i zrobić próbę. Wchodzimy do sali i nagle widzimy, na samym końcu pokoju połyskuje ledwie dostrzegalne światełko. Tak się tego nie spodziewałem, że nawet strach mnie ogarnął. Juszka schwycił mnie za rękę.

— Kostia, zatrzymaj się — co to takiego?

— To na pewno zarządzający tam siedzi.

Nawet przestraszyłem się.

— Pójdziemy, zobaczymy, co on tam robi.

Pocichutku posunęliśmy się do światełka i dopiero wtedy zauważyliśmy, że znajduje się ono pod chórem za drzwiami, których przedtem nie widzieliśmy. Drzwi były zlekka uchylone i można było zajrzeć. Zajrzałem, widzę: stoi prymus, na nim czajnik, do którego jest przymocowana długa kiszka, potem stoi miednica, a pod miednicą butel-

ka. Prymus pali się, a obok siedzi zarządzający i drzemie sobie.

— To on tak wódkę robi — szepcze mi Juszka.— Ja to znam, moja matka tak samo ją robi. Patrzaj, patrzaj, już mu nakapało pół butelki. Posunąłem się naprzód, żeby lepiej zobaczyć, a tu drzwi skrzypnęły, zarządzający drgnął i otworzył oczy. Zaklął, pochylił się nad butelką, coś tam poprawił w miednicy i znowu usiadł.

— Zaraz wybuchnę śmiechem — powiada Juszka. — Nie wytrzymam dłużej.

I mnie również śmiech ogarnia, nawet nos sobie zatknąłem. Nagle Juszka jak parsknie! Zarządzający zerwał sią i wprost do drzwi. Przytuliliśmy się do ściany, a zarządzający szeroko rozwarł drzwi i patrzy dokoła.

— Znowu łazi, podgląda — zamamrotał zarządzający pod nosem. — Dobrze, ja ją przyłapię, warkocze powyrywam.

Zrobiło mi się jakoś nijako, komu to on tak wygraża. A Juszka ciągle mnie szturcha pięścią w bok. Odechciało mi się śmiać. Zarządzający zawrócił do pokoju, nachylił się, wziął butelkę i chciał łyknąć, a tu Juszka parsknął śmiechem i to tak głośno, że nawet w salonie się rozległo.

— Kto tam? — wrzasnął zarządzający i wybiegł do salonu. Spojrzał w naszą stronę, zawrzeszczał i puścił się pędem tam, gdzie wszyscy spali.

Juszka w jednej chwili zrzucił prześcieradło,

i pobiegliśmy na chór. Przykucnęliśmy na górze i patrzymy. A w pokojach, gdzie spali nasi, wszczął się krzyk. A najgłośniej wrzeszczy Jelnikitka. I otóż widzimy, wbiega do salonu zarządzający (akurat przestał deszcz padać i księżyc zaświecił), a za nim chłopcy. Za nimi Jelnikitka, owinięta w płaszcz.

— O tam, tam!—pokazuje zarządzający w naszą stronę nadole. — Tam stała. Wysoka, długa, prawie do sufitu.

— Kto ona, co za jedna? — pytają chłopcy.

— Madama w bieli.

— Czy pan dobrze widział?—pyta Wołodźka Szmerc (po głosie go poznałem). — Może się to panu przyśniło?

— Przyśni-iło! Tak, jak ciebie widzę!—odpowiada zarządzający. — Tylko jej tam teraz niema: łazi po innych pokojach.

— Niema — to trzeba kłaść się spać — powiada Jelnikitka zaspanym głosem. — I jeżeli pan jeszcze coś takiego zobaczy, to proszę stróża zawołać, a nas nie niepokoić, tylko dzieci mi pan nastraszy.

— Przepra-aszam, nauczycielko — odpowiada zarządzający — Jak coś takiego się przywidzi, to i o rodzonym ojcu się zapomni, nietylko...

Potem Jelnikitka z chłopcami poszła, a zarządzający obszedł z lampką wszystkie kąty i znowu wrócił na swoje miejsce.

Przesiedzieliśmy z Juszką na górze z jakie dziesięć minut i zaczęliśmy pocichutku schodzić do salonu. Przeszliśmy schody do połowy i widzimy, że z drugich drzwi (które też były pod chórem, tylko bardziej na prawo), wysuwa się jakiś cień. O mało nie krzyknąłem, a Juszka chwycił mnie za rękę.

— Któż to? — szepcze, a po głosie poznaję, że się boi.

A cień skrada się, już uszedł pół drogi i zawrócił ku nam na spotkanie, wprost pod chór.

Serce we mnie zamarło — tak ten cień posuwał się bez szmeru. Poszedł jednak nie na schody, a do pokoiku, gdzie siedział zarządzający. Przycichliśmy: co to będzie?

Nagle usłyszeliśmy straszny hałas, ryk, jakgdyby uderzenie, i cień cofnął się.

— Ty pijanico nieszczęsny, co ty sobie myślisz! — ryczał cień na cały dom. — Ot, gdzie teraz schowałeś się z tą robotą! I w dodatku takiś skory do bójki! Co to takiego, moi ludziska: schował się w komórce, wódkę sobie robi i pije! Robi i pi—i—je..!

— Czy zamilczysz, ty, bałwanie — mamrotał zarządzający, schwyciwszy cień za kołnierz. —Nie rozumiesz, czy co, przecież wycieczka tutaj nocuje... Obudzisz wszystkich, a ja będę za ciebie odpowiadał... Włosy ci powydzieram, jak Boga... powydzieram.

Zbiegliśmy z Juszką ze schodów i, co sił w nogach, rzuciliśmy się do swego pokoju. Cień odrazu zamilkł.

— Widzisz — powiedział zarządzający — to pewnie chłopcy biegali do ustępu i wszystko słyszeli. Ach, ty, ladaco nieszczęsne, tylko biedę na mnie ściągniesz...

Tymczasem razem z Juszką zagrzebaliśmy się w sianie i zaśmiewaliśmy się do łez, poprostu do spazmów, nawet Jelnikitka otworzyła drzwi od pokoju dziewcząt i powiedziała uroczyście:

— Na pewno Riabcew dokazuje. Ale bądź spokojny, Riabcew, będziesz miał za swoje. To oburzająca bezczelność. Słów mi nawet brak.

— Nie martwię się wcale — odpowiedziałem i odrazu odechciało mi się śmiać, i nuda mnie ogarnęła.

Nad ranem obudził nas jakiś pan w niebieskich okularach i zapytał, jakeśmy spali. To był prawdziwy zarządzający, który właśnie powrócił z miasta. A tamten był tylko stróżem i dlatego tak komicznie opowiadał. Potem prawdziwy zarządzający powiedział nam, że ten stróż służył jeszcze za życia właściciela majątku, Urusowa, i że prawdopodobnie trzeba będzie go przepędzić. Już nie pierwszy raz udaje on zarządzającego.

W powrotnej drodze wyśmiewaliśmy Jelnikitkę, która pijanego stróża wzięła za zarządzającego i tak poważnie słuchała jego opowiadań. Le-

piejby sobie siedziała ze swoją przyrodą i nie wtrącała się do nauk społecznych.

6 lipca.

Chociaż w ostatnich czasach Zin-Pałna wciąż jest czegoś zdenerwowana i blada — chora czy co — to jednak wczoraj znowu wybraliśmy się na wycieczkę do Gołowkina. Wycieczka zakończyłaby się bardzo smutnie, gdyby nie przytomność umysłu Zin-Pałny. Przed wycieczką poszedłem do naszej fabrycznej jaczejki; choć nie zastałem sekretarki, poprosiłem o mandat do gołowkinowskiego komsomołu, który miał mi ułatwić badanie obyczajów miejscowych.

Była to niedziela, i cała wieś świętowała. Niektórzy byli pijani już od rana, a komsomolcy jak na złość poszli na zebranie riku*) o dwadzieścia pięć wiorst od wsi. I oto co było dalej: Zin-Pałna odszukała prezesa i poprosiła go o pomoc; tymczasem on nie przyszedł, a przysłał swego piętnastoletniego syna. Zaczęliśmy robić wymiary i puściliśmy w ruch miarę taśmową. Zaraz obstąpiły nas baby, dziewczęta, chłopaki, dzieci — i gapią się. Postanowiłem skorzystać z tego i wtedy, kiedy moi koledzy majstrowali koło miary, ja zabrałem się do badania obyczajów miejscowych. Przedewszystkiem zbliżyłem się do dziewcząt i zacząłem

*) Rik — okręgowy komitet wykonawczy.

z niemi rozmawiać. One chichotały i chowały się jedna za drugą. Bardzo prosiłem, żeby coś zaśpiewały, ale one odpowiedziały, że nie umieją.

— A która z was widziała ducha leśnego? — zapytałem.

— A ot, stoi tutaj — odpowiedziała jedna z nich, pokazując palcem na mnie.

Wtem podchodzi do mnie jeden z chłopców i mówi:

— Tylko naszych dziewcząt nie zaczepiaj. Toś ty tu poto przyjechał, co?

Wyjąłem mandat i pokazałem mu. On spojrzał i powiada:

— To nie do nas jest pisane; jesteś sukomolec, to idź do sukomołu, a od dziewcząt wara!

Zacząłem się z nim spierać, ale oni mnie wypchnęli; tymczasem widzę wśród naszych chłopców jakieś poruszenie.

Otóż robiliśmy pomiary wzdłuż ogrodów warzywnych, a dzieciaki wiejskie, które się kręciły koło nas, wlazły do czyjegoś ogrodu, narwały strączków i powiedziały, że to my. Wybiegła stamtąd baba, rzuca się z pięściami na Zin-Pałnę i krzyczy:

— Jesteś nauczycielka, to pilnuj ich!

Zin-Pałna odpowiada spokojnie:

— Ja nie odpowiadam za wasze wiejskie dzieci, a moje przez cały czas stały tu przy mnie.

— Na własne oczy widziałam! O, ten właśnie rwał strączki — i pokazuje na mnie.

— Proszę nie kłamać — krzyknąłem rozgniewany. — Kiedy ja rwałem twoje strączki?

— On nawet dziewczęta nasze zaczepiał! — wrzasnęli chłopcy.

Wtedy Zin-Pałna jak krzyknęła grubym takim basem — nawet nie spodziewałem się tego po niej:

— Jak Riabcew śmiał zaczepiać dziewczęta?

Odrazu się uciszyło, a ja w milczeniu wyjąłem mandat i pokazałem Zin-Pałnie.

— No więc co? — pyta Zin-Pałna.

— To, że jeżeli badam obyczaje miejscowe, to chyba mam prawo prosić, żeby zaśpiewały piosenkę.

Wtem podchodzi wielki chłop, który przez cały czas patrzał i nie odzywał się — i mówi:

— Biedy się tylko nabawicie, niema tu dla was nic do roboty.

A dziewczęta wołają zdaleka:

— Kłaniamy się uniżenie! Krzyżyk na drogę!

A tu jeszcze jakieś pijane chłopisko wtrąca się:

— Ja wiem, co oni za jedni! podatków im potrzeba, ge-o-me-try! A niech ich djabli wezmą!

— Wziąć ich za kark i wyrzucić albo kijem im nałożyć — krzyczano ze wszystkich stron.

A baba, której świsnęli strączki, podskakuje

do Zin-Pałny i ciągnie ją za rękaw; tymczasem jak z pod ziemi wyrasta Alioszka Czykin; złapał babę za rękę i szarpnął nią tak, że aż się zatoczyła.

— Ludzie prawosławni! — zaryczała baba — patrzcie, co się tu dzieje — szarpią mnie.

Jednocześnie wysoki chłopiec szturchnął Alioszkę w ramię.

— Cicho! — takim samym głosem, jak przedtem, krzyknęła Zin-Pałna, ukazując swój jedyny żółty ząb. — Dajcie mi dojść do słowa!

Znowu się uciszyło.

— Ot — powiada Zin-Pałna tonem pouczającym — nie rozpytaliście się, o co chodzi; wszczynacie bójkę, a tymczasem my wam dobrze życzymy. Chcemy być waszymi „szefami" w mieście i dlatego chcieliśmy zrobić plant (tak właśnie powiedziała: plant).

— A co z tego będzie? — pytają cicho ztyłu.

— A ot co będzie — odpowiada Zin-Pałna. — Po pierwsze będziecie mieli pomoc w mieście; po drugie — będziecie wiedzieli, do kogo się zwrócić; po trzecie — zawsze wam pomożemy; po czwarte — będziemy wam przysyłać gazetę i po piąte — możemy wyjednać dla was pożyczkę pod zasiewy. Oto, co znaczy być „szefem".

— Trzeba było, obywatelko, odrazu nam to powiedzieć — mówi wysoki chłop.

— A czy można było z wami dojść do ładu? — odpowiedziała Zin-Pałna. — Kiedy zwróci-

łam się do waszego przewodniczącego, tylko nosem kręcił, nie chciał wcale rozmawiać.

— On już jest ta-a-ki, — „wiecie, kto ja jestem" — wesoło podchwycił pijany — z nim, panie, nie tego... — „ja jestem wła-a-dza sowiecka".

— A więc — powiada Zin-Pałna — zaraz sobie pójdziemy, boście nam nic nie dali zrobić. Tymczasem dowidzenia. Możecie nas odwiedzić w szkole, zostawimy swój adres, a sami przyjedziemy do was jeszcze kiedyś. Chodźcie, dzieci.

— A jak to będzie ze strączkami? — pyta baba.

— Siedziałabyś za piecem, ciotko Afimjo — odpowiada pijany. — Potrzebnaś tu ze swemi strączkami. Czy nie widzisz, że to są ucze-e-ni; a ty co? Trzeba rozumieć, co i jak.

Dzieci biegły za nami daleko w pole i wciąż krzyczały:

— Szewy! Wszewy!

Kiedy wróciliśmy do szkoły, Zin-Pałna powiada:

— Dzieci, to, co się obiecało, trzeba zrobić.

— Zrobimy, zrobimy — zawołaliśmy.

10 lipca.

Przekonałem się teraz, że system Daltona jest słuszny. Naturalnie, trzeba samemu poznać ten system, bo z opowiadań wydaje się zupełnie innym, niż jest w rzeczywistości. Wczoraj było

przedstawienie u Gromowych. Grali „Oświadczyny“. Po przedstawieniu ojciec Gromowych zaprosił wszystkich na kolację i częstował wódką; ja też piłem. Po kolacji zostaliśmy jeszcze długo, a potem Marja zawołała mnie na korytarz. Było bardzo ciemno, odrazu uderzyłem się o drzwi i nabiłem sobie guza, ale nic nie powiedziałem, a w głowie mi się kręciło od wódki. Potem Marja zaciągnęła mnie do jakiegoś kąta czy komórki. Kiedy już było po wszystkiem, poczułem nagle zapach stęchłego mięsa koziego i o mało nie zwymiotowałem.

— Fe, co za świństwo — powiadam do Marji.— Co tu tak śmierdzi?

— Ojciec składa tutaj skóry, ale ty nie zwracaj na to uwagi i nie krzycz tak głośno — szepnęła Marja.

Nie mogłem dłużej wytrzymać i poszedłem do domu. Po drodze miałem zawrót głowy, serce mi waliło, mdliło mnie, a najwięcej obawiałem się, żeby się Sylwa o tem nie dowiedziała. Ale w jaki sposób mogłaby się dowiedzieć? Z Juszką prawie nie rozmawia. W ostatnich czasach zadaje się więcej z Wołodźką Szmercem. Nie rozumiem właściwie, co ona w nim widzi, a co najważniejsze, Sylwa nawet nie wie, że Wołodźka zadaje się pokolei z wszystkiemi dziewczętami i że poprostu przyszła teraz kolej na nią. A to powinno obrażać ambicję kobiety, zwłaszcza Sylwy,

która jest bardzo dumna, najdumniejsza ze wszystkich naszych dziewcząt.

13 lipca.

Dzisiaj w charakterze „szefa" poszedłem do Gołowkina. Na wszelki wypadek zabrałem ze sobą Wańkę Pietuchowa, który jest teraz na urlopie. W drodze znowu mówiliśmy o stosunkach płciowych. Opowiedziałem mu o kopji, którą świsnąłem w SPON'ie i zapytałem go, co myśli o tem.

— Naturalnie — powiedział Wańka — są tacy, którzy robią te wszystkie świństwa, ale to jest tylko spadek po starym ustroju, a teraz nikt nie potrzebuje używać nienaturalnych sposobów, bo wszystko można robić prosto i naturalnie.

Powiedziałem mu, że właściwie nawet nie zrozumiałem dobrze tych wyrazów, jakie były w kopji; myślę jednak, że jeżeli zrobić to naturalnie, to też człowieka bierze obrzydliwość, zwłaszcza potem.

— Widocznie nie przywykłeś do tego — mówi Wańka — a przytem dużo zależy od tego, z kim się zadajesz.

— A jeżeli ona, naprzykład, jest dwa razy starsza?

— O, to są wstrętne baby — powiada — i nigdy niewiadomo, czego się po nich spodziewać.

Tak rozmawiając, nie spostrzegliśmy zupełnie, jak przyszliśmy do Gołowkina. Na łąkach space-

rowały dziewczęta — było to w sobotę przed wieczorem — i jakoś dziwacznie tańczyły. Jedna łapie drugą, i zaczynają się kręcić. Dookoła stoją chłopcy, jedni z harmonijką, inni — ot, tak sobie.

— Czy można popatrzeć? — pyta Wańka.

— A papierosy macie? — odpowiadają chłopcy.

— A jakże, mamy.

Chłopcy zaczynają palić i mówią: — Patrzcie, ile wam się podoba.

Tymczasem oni wszyscy przypatrują się nam Jakoś mi się wstyd zrobiło.

— A mój towarzysz umie opowiadać bajki — rzekł Wańka.

Pchnąłem go łokciem w bok, a dziewczęta — do mnie:

— Towarzyszu, proszę nam opowiedzieć ładną bajeczkę.

— Ja wcale nie umiem opowiadać bajek On łże.

A Wańka tak poważnie:

— Nigdy w życiu nie łgałem.

Pomyślałem wtedy i tak zacząłem:

— Jest na świecie kraj, nazywa się Finlandja. Jest tam dużo jezior i kamieni, a dawniej mieszkały tam olbrzymy...

I prosto z mostu zacząłem opowiadać „Kalewalę". Patrzę — oni usiedli dookoła i słuchają. Naturalnie, wszystkie takie imiona, jak Wejnemejnen, umyślnie opuszczałem, ale o zabobonach, na-

przykład o tem, że nie wolno zabijać żab — opowiadałem. Kiedy powiedziałem, że Finnowie wierzą, że żaby były dawniej ludźmi, jedna z dziewcząt klasnęła w ręce i mówi cichutko:

— O, Boże, a my ich zakopujemy w mrowiskach!

— Poco? — pytam.

— One urzekają w ten sposób — wołają ze śmiechem. — Aksiutka, kogo chciałaś urzec? Stiopkę, czy tak?

Potem razem śpiewaliśmy i tańczyliśmy; (chociaż ja nigdy w życiu nie tańczyłem, ale z niemi poszło nieźle). Na powrotnej drodze Wańka powiada do mnie:

— Gdybyśmy tylko chcieli, moglibyśmy z niemi na całą noc zostać i pohulać. Która ci się podobała?

Nie chciałem z nim o tem mówić. Dla Wańki to jest takie proste, jak u psów.

18 lipca.

Dzisiaj tatko pyta mnie:

— Kostia, czy to prawda, że wasza kierowniczka, Zinoczka, bierze sobie tę zapomogę, jaką dostaje Czykin?

— Zwarjowałeś, czy co? — odpowiadam i patrzę mu prosto w oczy.

— A coby w tem było złego? Chłopiec mieszka u niej, więc pieniądze jej się należą.

— Co za bzdury, tatku! Nigdyby Zin-Pałna tego nie zrobiła. Staruszce—nędzarce odebrałaby ostatni grosz? Zresztą, ile to tam jest tych pieniędzy?

— Powiadają, że przeszło dwadzieścia rubli.

— A ty napluj w twarz temu, kto tak mówi.

20 lipca.

Z polecenia muzeum krajoznawczego poszliśmy wczoraj o świcie na wskazane miejsce, niedaleko do wsi Pierchuszkowo. Zastaliśmy już tam ludzi z muzeum, którzy kopali ziemię. Odpoczęliśmy trochę, podjedliśmy sobie i też zabraliśmy się do kopania. Czas nam się bardzo dłużył, upał stawał się coraz większy; pozrzucaliśmy nawet kurtki. Nagle coś z brzękiem uderzyło o łopatę Juszki; był to czarny krążek. Starszy pracownik muzeum obejrzał i mówi:

— To jest zwyczajny guzik.

Chcieliśmy już przejść do innego kopca, kiedy trafiliśmy na kości. Ja też wyciągnąłem kość, a ten z muzeum powiedział, że to jest biodrowa kość konia. Mieliśmy już sporą kupę kości, kiedy nagle podchodzi do nas kilku chłopców i pytają:

— A czy macie pozwolenie na kopanie?

— Oczywiście, mamy — odpowiadamy i pokazujemy.

A oni na to:

— Nie pozwolimy kopać, bo wy szukacie tu

skarbów, a tymczasem ziemia Pierchuszkowa należy do gminy, i niema takiego prawa, które pozwala wam grzebać w naszej ziemi.

Długośmy się sprzeczali i wymyślali sobie; wreszcie oni zagrozili, że zbiorą całą wieś i przepędzą nas. Wtedy jeden z nas powiada:

— Jeżeli chcecie, możecie kopać razem z nami. Jest nas siedemnastu, każdy ma łopatę; damy i wam łopaty. Całe złoto, jakie znajdziemy, będzie wasze, a wszystko inne — nasze. A jak nie chcecie, to zwołajcie całą wieś.

Chłopcy poszli naradzić się. Widocznie nie mieli chęci dzielić się skarbami ze wszystkimi Wzięli więc łopaty i zaczęli kopać razem z nami. Zauważyłem, że nie kopią tam, gdzie my, a wciąż się trochę odsuwają. Kilka razy zwracaliśmy im na to uwagę, ale oni dalej to samo. Tymczasem nam się trafiały same kości.

— Dziwna rzecz — powiada jeden z muzeum — jeszcze w żadnym kopcu nie znaleziono tak wielkiej ilości kości zwierzęcych!

Chłopi niedługo kopali: jakie pół godziny. Potem porzucili łopaty i poszli sobie. Kiedy odchodzili, jeden z nich pyta:

— Do czego wam te kości?

— Kości mają dla nas znaczenie — odpowiadamy. — Po kościach poznać, jak dawno był usypany kopiec; można się też domyślić wielu innych rzeczy.

— Poszlibyście lepiej tam, na łąkę — powiedział chłopiec — bo tutaj zakopywali tylko konie, a tam i krowy też.

— Jakie konie? — pytamy.

— A bo to dziesięć lat temu był mór na zwierzęta — odpowiada chłopiec — więc zakopywali i tu, i na łące. Tylko tam więcej.

Przeszliśmy wtedy do innego kopca. Ale chociaż kopaliśmy długo, znaleźliśmy tylko jedną złotówkę z czasów carskich.

Pracownicy muzeum krajoznawczego powiedzieli, że w planie była omyłka: oznaczyli niewłaściwe kopce. A mnie się zdaje, że przedewszystkiem trzeba było rozpytać się chłopów, a dopiero później zabrać się do kopania.

22 lipca.

Stopniowo rozpoczyna się ruch w szkole. Coraz więcej uczniów wraca. Między innymi przyjechał Sieriożka Blinow. Miałem z nim ważną rozmowę.

— Ostatecznie postanowiłem — powiada Sieriożka — zrobić w szkole rewolucję. Wszyscy wiemy, że nasze szkraby nie stoją na wysokości zadania. W szkole powinna być żywa, zdrowa atmosfera, a nie martwota, której mamy dość.

— Nie wiem — odpowiedziałem — ale my-

ślę, że to nie będzie po leninowsku. Powinniśmy się uczyć i jak najprędzej wstąpić do wuzów*).

— Słyszałem — mówi Sieriożka — żeś się zapisał do partji przykładnych chłopców.

Strasznie mnie to rozgniewało, i nawymyślaliśmy sobie wzajemnie.

A tymczasem tatko znowu czepia się Zin-Pałny:

— Szewcowa Czykina gada wszędzie, że dostaje niecałą zapomogę.

— Widocznie potrącają jakieś procenty — powiadam.

— Nie — mówi tatko — podobno dają waszej kierowniczce na utrzymanie Alioszki. A szewcowa powiada, że jeżeli dostanie całą zapomogę, to sama potrafi Alioszkę odziać, obuć i wyżywić.

— Ależ to są wymysły, tatku; mówiłem ci i jeszcze raz powtarzam, że Zinaida Pawłowna nie wzięłaby ani grosza.

— Być może, ale szewcowej gęby się nie zatka. Nawet wygraża, że do sądu poda.

To dopiero ciężka idjotka!

25 lipca.

W szkole gwałt niezwykły: przyjechał inspektor. Mamy już koniec lipca, i więcej niż po-

*) Wuz — wyższy zakład naukowy.

łowa uczniów przychodzi do szkoły. Właśnie dzisiaj mieliśmy zamiar wybrać się do lasu za miasto; tymczasem zamiast tego odbyło się ogólne zebranie z inspektorem. Inspektor oznajmił nam, że nastąpi rewizja całej szkoły i że w rewizji ma wziąć udział przedstawiciel szkrabów i przedstawiciel uczniów. Długośmy się kłócili, aż wreszcie większość wybrała Sieriożkę Blinowa. Od szkrabów wybrano, niewiadomo dlaczego, Jelnikitkę.

Ktoś puścił pogłoskę — nie wiem właściwie kto — że na naszą szkołę doniesiono, że ma ona kierunek burżuazyjny i że szkraby nie stoją na wysokości zadania. Strasznie mnie to oburzyło. Tymczasem niektórzy chłopcy wciąż szeptali coś między sobą, wśród nich był młodszy brat Sieriożki — Gryszka Blinow. Zaraz posłałem kogoś do tych szepczących i dowiedziałem się, że chcą oni — w czasie śledztwa — poskarżyć się na szkrabów za różne niesprawiedliwości i za to, że szkraby jakoby zachowują się tak, jak nauczyciele starej szkoły. Zacząłem głośno agitować przeciwko temu, ale większość uczniów nie przyłączyła się ani do mnie, ani do nich — tylko czekała, co będzie. Gryszka Blinow wsypał się z nauk społecznych, z matematyki i z rosyjskiego i został na drugi rok w drugiej grupie.

26 lipca.

Komisja rewizyjna urzęduje w pokoju nauczycielskim. Nam, oczywiście, nic nie mówią,

a Sierożka Blinow nosa zadziera i milczy. Partja Gryszki Blinowa zwiększyła się, a moja nie. Kiedy przechodziłem obok audytorjum, zajrzałem tam i zobaczyłem siedzących razem Sylwę i Wołodźkę Szmerca. Chciałem nawet spytać się ich, czyją stronę trzymają, moją czy Gryszki Blinowa — ale potem rozmyśliłem się. Kiedy uszedłem kilka kroków, przypomniało mi się, że dawniej w takich trudnych chwilach Sylwa była mi wiernym przyjacielem i pomocnikiem, a teraz nie mam w nikim oparcia. Smutek mnie ogarnął, ponieważ nie poczuwałem się i nie poczuwam do żadnej winy wobec Sylwy. Długo spacerowałem po podwórku szkolnem, potem poszedłem do domu, ale nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Co ona w nim widzi takiego?

27 lipca.

Byłem u Marji; paskudne to i obrzydliwe!

28 lipca.

Napisałem wiersz, ale bardzo głupi:

Przypomniała mi się Twa mądra rozmowa,
Nasze spotkanie bez słów w tej szkole wesołej.
Prowadź sobie teraz rozmowę z innymi,
Ty mi wypełniasz życie, bez Ciebie czuję pustkę.

Czy to są dobre wiersze, czy złe?

29 lipca.

Inspektor przywołał do siebie kilku chłopców i rozpytywał się o stosunki w naszej szkole. Szkraby przez cały ten czas są bardzo zdenerwowane. Przyjechał Nikpetoż i chciał się dowiedzieć ode mnie, co się dzieje, ale nie potrafiłem mu nic powiedzieć do rzeczy, bo głowę mam zajętą czem innem.

— Postępowanie inspektora jest oburzające — powiada Nikpetoż. — Powinien był wszak przedewszystkiem zwołać radę szkolną.

Prawie natychmiast po tej rozmowie wezwano mnie do inspektora.

Prócz inspektora była tam blada jak płótno Jelnikitka i Sieriożka Blinow — ze spuszczonemi oczyma.

— Niech nam towarzysz Riabcew powie — mówi inspektor — co mu wiadomo o stosunku kierowniczki do uczniów.

— Na radzie szkolnej odpowiem na to towarzyszowi — odrzekłem.

— Ja mam pełnomocnictwa — powiada inspektor.

— Przedstawi je pan na radzie szkolnej — odpowiedziałem i odszedłem.

Potem odszukałem Czarną Zoję i mówię jej:

— Pamiętasz, coś mi powiedziała na wiosnę?

— Pamiętam — odpowiada Zoja i patrzy mi uporczywie w oczy.

— Więc mogę liczyć na ciebie? Otóż przeczytaj ten wiersz i powiedz mi, co o nim myślisz. Tam nie o ciebie chodzi.

— Wiem dobrze, że nie o mnie chodzi — odpowiedziała przeciągle Zoja i zaczęła czytać pocichu. Czytała długo, widocznie zastanawiała się nad każdem słowem. Bardzo chciałem wiedzieć, co ona myśli o wierszu, ale ona milczała. Wreszcie spytałem:

— Napamięć chcesz się go nauczyć, czy co?

W tej chwili dopiero zauważyłem, że ona cichutko płacze. Nagle mówi:

— Niepotrzebnie pokazałeś mi ten wiersz, jeśli jest przeznaczony dla innej.

Wziąłem jej z rąk arkusik i odszedłem. Licho wie, co one myślą sobie, te dziewczyny!

W sali gimnastycznej spotkałem się oko w oko z Wołodźką Szmercem i Sylwą. Udałem, że ich nie widzę, a kiedy już przeszli, zawołałem za nimi:

— Jeden mądry wart jest dwóch głupich!

— Dlaczego mnie zaczepiasz, Riabcew?—pyta Wołodźka. — Ja przecież ciebie nie ruszam.

— Tak sobie — odpowiedziałem i odszedłem.

A Sylwa stoi i patrzy zdziwiona.

30 lipca.

Komisja rewizyjna wciąż jeszcze pracuje. Mówią, że szkraby wysłały protest do władz centralnych i nawet chcą demonstracyjnie porzucić szkołę. Pogadałem o tem z niektórymi chłopcami, i postanowiliśmy działać. Tymczasem, oto jakie miałem zdarzenie: poszedłem do Gromowych i znowu zastałem Marję samą. Kiedy chciała mnie uściskać i zaczęła mówić, że jestem świnia, bo tak dawno nie byłem — odpowiedziałem jej:

— A ja myślę, że to wszystko to tylko zboczenie płciowe.

— Dlaczego? — pyta i wytrzeszcza oczy.

— Chodźmy, przeczytam ci coś — powiedziałem, i wyszliśmy do ogrodu.

Wyciągnąłem papier, który świsnąłem kiedyś w SPON-ie, i przeczytałem jej. Marja, cała czerwona, powiada:

— Co to znowu za paskudztwa?

— Tak samo paskudnie ja się czuję z tobą.

— Dlaczego? — pyta Marja, i przez puder widać było, jak nos jej poczerwieniał. — A ja myślałam, że ty to lubisz.

— Nie — powiedziałem stanowczo. — Nie chcę być psychopatą. Żegnaj!

— Jesteś głupi i nic więcej!

— Być może.

— Właśnie, że nie masz prawa rzucać mnie

teraz! Nie takie teraz czasy! Zaskarżę cię o alimenty.

Jeszcze coś tam krzyczała, ale ja już byłem daleko.

Alimenty płaci się wtedy, kiedy są dzieci. Nie głupim, nie naciągnie mnie ona.

(W tem miejscu włożony jest do pamiętnika Riabcewa zmięty, pisany na maszynie arkusz papieru z pieczęcią ONO):

Kopja.

Kiedy przeczytacie mój list, na pewno powiecie, że jestem dureń, psych, idjota itd., a tymczasem jestem zupełnie normalny, taki, jak wy, tylko, że ja jestem robotnik, a wy — inteligenci, wy jesteście uczeni, a ja—niepiśmienny. Dlaczego jestem niepiśmienny — wiecie przecież, że warunki życia robotników były okropne, ludzie żyli w ciemnocie i nieuctwie, wychowanie dzieci tych biednych ludzi było nietylko nienormalne, ale ohydne, często rodzice czy to ze zmartwienia, czy z radości urządzali pijatyki, a potem bójki, ojciec wytłucze matkę, porozpędza dzieci, albo zrobi jeszcze lepszy kawał, naprzykład, kładzie się z matką po pijanemu; na dzieci nie zwraca uwagi, wszystko nazywa po imieniu, dzieciom nie dają

jeść, o byle co walą i tłuką je, gdzie popadnie — takie oto wychowanie otrzymałem i jestem moralnym kaleką. Jestem ułomny moralnie i fizycznie, jestem chory, ale to nie moja wina; winne jest środowisko, w którem się wychowywałem, winne jest społeczeństwo, które stworzyło takie nienormalne życie, trzeba coś zrobić przeciwko temu, ale coś rozsądnego i słusznego, a nie zamykać w więzieniu. Wstydźcie się karać niewinnych, nieszczęśliwych męczenników.

Narkomprosy i Justy zamykają za takie rzeczy w więzieniu na pięć lat, ale ja jestem synem biednego robotnika, wychowywałem się w warunkach nienormalnych, nie pamiętam, jak, kiedy i dlaczego zostałem onanistą, jestem nieszczęśliwy, miałem dziesięć lat, kiedy już byłem pederastą, ludzie gardzą mną, władze grożą więzieniem, komu mam się poskarżyć, kto mnie zrozumie — tylko ten, kto sam jest na to chory. Postanowiłem jednak zwrócić się do naszego rządu robotniczo-włościańskiego z prośbą, żeby nie karał onanistów i pederastów, ale leczył ich. Chcę się poprawić, dajcie mi tę możność, niema tu mojej winy, winien jest kto inny, nie ja, dajcie mi możność wyleczyć się, ratujcie mnie albo rozstrzelajcie, tylko nie zamykajcie w więzieniu, boję się kary, dlatego nawet nie podpiszę nazwiska, wiem, że mnie zaaresztujecie. Mam 35 lat. A kiedy patrzę na bezdomnych, widzę, że oni robią to samo, to znaczy, że

oni też wyrosną na kaleki fizyczne i moralne jak ja. A tacy ludzie nie przyniosą wielkiego pożytku rządowi robotniczo-włościańskiemu. Ratujcie, ratujcie!

Wasz wychowanek; onanista, pederasta, sadysta itd.

Społeczeństwo, ciesz się, oto są owoce twoich zasiewów, nie waż się nas karać, karz tylko siebie. 26 mar...

31 lipca.

Dzisiaj był dzień decydujący. Z samego rana porozumiałem się z kilkoma kolegami; na godzinę czwartą było naznaczone ogólne zebranie całej szkoły wraz z radą szkolną i komisją rewizyjną. Oprócz Jelnikitki nikt ze szkrabów nie przyszedł.

Zebrałem dookoła siebie wszystkich oddanych mi kolegów, i usiedliśmy na pierwszych ławkach przed samem prezydjum. Juszkę Gromowa, największego krzykacza, umieściłem tuż za komisją rewizyjną.

Pierwszy poprosił o głos inspektor.

— Towarzysze — powiada — występuję tu jako przedstawiciel inspektoratu, który jest powołany przez władze centralne do czuwania nad zakładami naukowemi. Ma on prawo w razie potrzeby wtrącać się do życia szkolnego, aby zwalczać nadużycia. Właściwie nie mogę powiedzieć, abym zauważył w waszej szkole jawne nadużycia, jednak muszę stwierdzić, niestety, że szkoła ma

kierunek niepożądany... Tak czy inaczej, zwołana przeze mnie komisja rewizyjna wyniosła taką rezolucję...

— Ja jej nie podpisałam — krzyknęła nagle Jelnikitka; poczem blada osunęła się z krzesła. Przynieśliśmy zaraz amonjaku, daliśmy jej powąchać i zrobiło jej się lepiej.

— A więc, towarzysze—mówił dalej inspektor—rezolucja głosi, że pracownicy waszej szkoły niezupełnie stoją na wysokości zadania...

W tej chwili dałem umówiony znak.

— Precz z nim... Głu-u-pstwa!.. Niepraw-da-a-a!—krzyczeli moi chłopcy ze wszystkich stron.

— Precz z nim! — huknął Juszka nad samem uchem inspektora; ten aż drgnął.

Przewodnicząca, Staśka Wielopolska, wymachuje z całej siły dzwonkiem, ale nic nie pomaga, Dopiero, kiedy ja dałem drugi znak, partja moja umilkła. Tylko z ostatnich ławek doleciał oderwany głos Gryszki Blinowa:

— ...bezczelność, Riabcew.

Wstałem i mówię: — Tylko bez wycieczek osobistych.

— Dalej, towarzysze — mówi inspektor—komisja rewizyjna postanowiła wnieść na ogólne zebranie sprawę następującą — oczywiście, dając uprzednio oświetlenie faktów: czy w szkole mogą pozostać nauczyciele, którzy nie mają dostatecznego autorytetu...

Znowu dałem znak. Kiedy się trochę uciszyło, wstaje Sieriożka Blinow i mówi:

— Ja tutaj występuję w podwójnym charakterze: jako wasz kolega i jako wybrany przez was członek komisji rewizyjnej...

— Toś ty orzeł dwugłowy! — krzyknąłem.

— W każdym razie nie jednogłowa żmija, którą wyhodowałem na swojej piersi. (Nie rozumiem, co chciał przez to powiedzieć). Ja, towarzysze, podtrzymuję wniosek komisji rewizyjnej z następujących powodów: samorząd nasz kuleje i nie ma żadnego znaczenia; nauka jest prowadzona bez ciągłości i zupełnie oderwana od życia. Szkoła nie ma łączności z żadną pracą twórczą.

— A dlaczegoś dotąd nic o tem nie mówił, Blinow — piskliwie krzyknęła Jelnikitka — przecież jesteś członkiem jaczejki...

— Wysłuchajcie mnie, towarzysze, spokojnie — powiada inspektor. — Chcę wam powiedzieć, że my tutaj nie wynosimy ostatecznej decyzji; zależy ona od władz centralnych; mamy tylko rozpatrzeć pewne sprawy i ustalić opinję szkoły.

— Przepraszam — powiadam. — Obecny jest tutaj sekretarz jaczejki fabrycznej, do której należymy. Niech i on się wypowie, a tymczasem ja coś powiem. Sieriożka Blinow! Czyś ty nocował z nami w Sołnecznem jak Jelena Nikiticzna? Widziałeś białą madamę? A broniłeś nas wtedy, kie-

dy chłopi chcieli wziąć na nas kije? Sieriożka Blinow! Czyś ty wyrzekł się odpoczynku i zostałeś z nami przez całe lato jak Zin-Pałna? A wziąłeś na wychowanie Alioszkę Czykina, kiedy mu ojciec umarł? A może to ty, Sieriożka, wyjaśniałeś nam te rzeczy, od których głowa pękała i ręce opadały, jak Nikołaj Pietrowicz? Mówisz przecież, że szkoła jest oderwana od życia... A tymczasem latem, kiedyśmy, narażając się na niebezpieczeństwo, badali obyczaje wsi, zbierali materjały i brali udział w rozkopywaniu kopców — gdzie ty byłeś wtedy? Leżałeś sobie na trawie brzuchem do góry. A więc ty, Sieriożka, stoisz na wysokości zadania, a Zinaida Pawłowna nie? Czy tak według ciebie?

Nie dałem umówionego znaku, pomimo tego zaczęto bardzo hałasować. Jedni byli po mojej stronie, inni — przeciwko mnie. Sekretarz jaczejki poprosił o głos i mówi:

— A ja nie zgadzam się z towarzyszem inspektorem; on postąpił nieracjonalnie, bo niezgodnie z jaczejką. To, że w szkole jest frakcja, a nie jaczejka, to jeszcze nie jest dowód racjonalny. A gdyby towarzysz inspektor zwrócił się do jaczejki, tobyśmy mu powiedzieli, że szkoła, chociaż ma defekty, ale pracuje normalnie, i byłoby dość dziwne, gdyby jaczejka nie wiedziała, że nauczyciele nie stoją na wysokości zadania. Przynajmniej ja słyszę o tem po raz pierwszy. A towarzysz

Blinow postąpił nieracjonalnie, że nie wtajemniczył w to jaczejki. Widzę z tego, że towarzysz Blinow poprostu nie czuje stabilizacji pod nogami.

— A ja myślałem, że to są tylko szkolne sprawy — mruknął pod nosem Sieriożka.

— Nie, towarzyszu Blinow, to jest sprawa ogólna — odpowiada sekretarz — i oświadczam tutaj wszystkim, że gdyby nie towarzysz Riabcew, który rozumie obowiązki czerwonej młodzieży lepiej, niż inni, sprawa mogłaby się zakończyć nieracjonalnie.

— Niech żyje Kostia! — wrzasnął Juszka, ale dałem mu znak i umilkł.

W tej chwili na salę weszła Zin-Pałna.

— Co do łączności z pracą twórczą, to my najlepiej o tem wiemy, towarzyszu inspektorze — ciągnął dalej sekretarz. — Niech pan przyjdzie do jaczejki, to opowiemy. A co do sieroty Czykina, którego kierowniczka wzięła na wychowanie, to jaczejka poleciła mi publicznie podziękować Zinaidzie Pawłownie i za Czykina, i za jej dwudziestoletnią, pełną poświęcenia, społeczną...

W tej chwili rozległ się grzmot oklasków. Myślałem, że się sufit zawali. Sekretarz roześmiał się, machnął ręką i zabrał się do wyjścia.

Krzyczę mu nad samem uchem (inaczejby nie usłyszał, taki był hałas):

— Dokąd, Iwanow?

A on mi też krzyczy:

— Widzę, że nie jestem tu potrzebny.

Rozglądam się, a inspektora już niema. Wtem pędzi do mnie Jelnikitka. Chciałem uciekać, ale nie mogłem się przecisnąć; ona dogoniła mnie i woła:

— Riabcew, zmieniłam o tobie zdanie.

Niech ją licho weźmie z jej zdaniem!

Nagle łapie mnie za rękaw Czarna Zoja:

— Zaczekaj, Kostia; powinieneś się pogodzić z Sylwą. Pochwal mnie przynajmniej za to, że to ja ci o tem mówię.

A Sylwa stoi tuż obok, patrzy na mnie i mówi:

— No i co, Władlen?

Podałem jej rękę.

5 sierpnia.

Lekcje się dotychczas nie rozpoczęły, i całe dni spędzam na boisku. Tatko wykosztował się i kupił mi buty futbolowe. Mogę więc grać w drużynie, a bez butów tam nie przyjmują. Gram prawego łącznika, a czasami zastępuję prawy atak. Byłem już bramkarzem, ale kapitan przeniósł mnie, ponieważ wciąż wybiegałem ze stanowiska. A mnie się zdaje, że kiepski jest ten bramkarz, który przez cały czas stoi w miejscu i czeka, aż mu wlepią gola. Przecież wlepią mu z odległości dwóch kroków, i nawet nie będzie się mógł obronić. Było

mi bardzo przykro, bo bramkarz — to odpowiedzialny urząd. Na zawodach bramkarza wszyscy oklaskują, a na łączników nikt nie zwraca uwagi. Jednak poddałem się decyzji kapitana dlatego, że drużyna futbolowa — to kolektyw; a w każdym kolektywie dyscyplina powinna być surowa; inaczej partja będzie przegrana. Naprzykład, w naszej drugiej drużynie Juszka Gromow gra lewoskrzydłowca. Otóż robi on wszystko na własną rękę, i koniec zwykle bywa taki, że albo obrońca wytrąca mu piłkę, albo łącznik dopędza go. Zwracaliśmy już uwagę Juszce na to, że tak nie można, i że jeżeli każdy tak będzie grać, to nie będzie pasowania, a wtedy każda pasująca drużyna zwycięży nas. Ale Juszka upiera się. Powiada, że słynny lewoskrzydłowiec Kuluszkin gra tak samo i że tak najłatwiej przedrzeć się do cudzego gola. Wreszcie kapitan zagroził Juszce, że przeniesie go do trzeciej drużyny i nie pozwoli mu występować na odpowiedzialnych zawodach. Juszka obiecał, że więcej nie będzie; tymczasem wczoraj był trening z trzecią drużyną, a on znowu robił to samo. Wprawdzie tym razem udało mu się okiwać obrońców i wbić trzy gole; pomimo tego dostał naganę od kapitana. Zaczął się wtedy tłumaczyć, że nie zna prawideł „spalonych", i dodał, że jeżeli się kombinuje przed cudzą bramką, to można się narazić na gwizdek sędziego. Kapitan odpowiedział mu:

— Pasuj tylną nogą, a wtedy nie będzie „spalonego".

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Kiedyśmy szli do domu, powiadam do Juszki:

— Zobaczysz, że cię wkońcu przeniosą do trzeciej drużyny.

Juszka odpowiedział, że gwiżdże sobie na to. Gdyby mnie przeniesiono do trzeciej drużyny, przestałbym zupełnie grać w futbol — przynajmniej na tym placu.

6 sierpnia.

Ponieważ dziś prawie wszyscy zjawili się w szkole, Zin-Pałna zwołała ogólne zebranie i zaproponowała, żebyśmy codzień przychodzili i pracowali systematycznie razem ze szkrabami. Kto nie ma chęci, może nie przychodzić, wolno mu jednak będzie brać udział w wycieczkach i spacerach. Ale jeżeli kto zobowiąże się przychodzić, to musi dać słowo, że bezwzględnie będzie regularnie uczęszczał do szkoły. Znaczna większość przystała na to dlatego, że nauka ma się odbywać nie według ogólnego programu, a w poszczególnych grupach. Jedni założą radjo w szkole (razem z Almakfiszem); inni odegrają jakąś sztukę razem z Nikpetożem. Zin-Pałna zaproponowała założyć kółko literackie dla studjowania dzieł Puszkina. Powiedziała przytem, że Puszkin był tak wielkim poetą,

iż nie byłoby nawet grzechem nauczyć się go napamięć.

Wołodźka Szmerc zapytał, za co Puszkin był zabity. Zin-Pałna odpowiedziała, że był sobie taki Dantes, który zalecał się do jego żony, i Puszkin musiał wyzwać go na pojedynek. Pojedynek ten skończył się tragicznie dla poety. Na miejscu Puszkina nie pojedynkowałbym się z tym Dantesem, tylko poprostu wziąłbym go na stronę, nabiłbym mu mordę, a gdyby to nie poskutkowało, wlepiłbym mu po duńsku poniżej brzucha, jak to w futbolu się robi. Z pewnością odczepiłby się wtedy. Widać, porządny drań był ten Dantes, taki sam, jak nasz Wołodźka Szmerc, którego wszyscy łupią. On też lubi przystawiać się do wszystkich dziewcząt pokolei.

W naszej szkole krążą przeróżne fantastyczne pogłoski, i oczywiście, prym w tem trzymają dziewczęta. Szepczą coś po kątach i robią tajemnicze miny.

Po pewnym czasie wychodzi najaw, że to najgłupsze banialuki.

Naprzykład opowiadają, że w zeszłym roku w Moskwie miał miejsce taki wypadek. Do doktora Sniegiriowa przyszła jakaś dziewczynka w różowej sukience i poprosiła go, żeby odwiedził jej matkę. Zostawiła adres i odeszła. Po chwili doktór przypomniał sobie, że nie zapytał jej o szczegóły choroby, wobec czego nie wie, co z sobą za-

brać. Ale gdy zażądał od służącej, żeby zawołała dziewczynkę, okazało się, że ta jej wcale nie widziała.

Wtedy doktór woła odźwiernego z parteru, ale i odźwierny również dziewczynki nie widział. Doktór, zdumiony, jedzie pod adresem, który mu zostawiono, i rzeczywiście zastaje chorą kobietę. Zabiera się do badania, a kobieta go pyta, kto mu dał jej adres. Doktór powiada, że dowiedział się od jej córki. Kobieta rozpłakała się i opowiedziała mu, że jej córka zmarła przed trzema dniami. Zwłoki jej dotychczas leżą w sąsiednim pokoju dlatego, że nie ma odwagi rozstać się z niemi.

Doktór wszedł do sąsiedniego pokoju i widzi: na stole w różowej sukience leży ta sama dziewczynka, która była u niego.

Z tego opowiadania widać, że nieboszczycy spacerują po śmierci.

Splunąłem, kiedy mi o tem opowiedziano.

7 sierpnia.

Dzisiaj miałem przykrość z powodu zajścia z Zin-Pałną. Chodzi o to, że obiecałem na równi z innymi regularnie uczęszczać do szkoły, a dzisiaj w godzinach szkolnych grałem w futbol i przyszedłem do szkoły już po wszystkiem. Akurat po drodze spotykam Zin-Pałnę, która mi powiada, że się czegoś podobnego po mnie nie spodziewała.

Zapytałem:

— Czego pani się nie spodziewała?

Na to ona:

— Wykroczenia przeciwko dyscyplinie i uchylania się od pracy w kółkach.

Powiedziałem, że przecież teraz mamy lato i dlatego lepiej przebywać jak najwięcej na powietrzu, a nie w zamkniętym lokalu i że wogóle trzeba koniecznie dużo czasu poświęcać fizkulturze.

Zin-Pałna odpowiedziała, że trzeba robić to z pewnym systemem i jeżeli coś obiecałem, to powinienem słowa dotrzymać. Poza tem ona sądzi, że futbol wcale nie jest fizkulturą, a przeciwnie—szkodliwą zabawą, którą można porównać z paleniem papierosów i pijaństwem. Ona tak pochłania człowieka, że niema możności oderwać go od niej; żywym przykładem tego ja jestem.

W odpowiedzi zacząłem jej dowodzić, że futbol wychowuje poczucie solidarności kolektywnej i rozwija bardzo organizm. Zin-Pałna zaraz odrzekła, że widzi wprost odwrotne skutki, a mianowicie: nie zjawiam się do pracy w swoim kolektywie przez futbol.

Wogóle bardzo mi było przykro. Będę teraz musiał przez ten futbol całą walkę prowadzić. Pokręciłem się trochę po szkole i już zabierałem się do odejścia, kiedy nagle woła mnie Sylwa. Usiedliśmy z nią w audytorjum i zaczęliśmy rozmawiać. Opowiedziałem jej o futbolu i o Zin-Pałnie.

Sylwa powiedziała, że Zin-Pałna ma rację, chłopcy zbyt lubią tę zabawę. Zacząłem się spierać, ale w tej samej chwili ukazała się Czarna Zoja i powiada z tajemniczą miną:

— Kostia Riabcew, muszę z tobą pomówić.

Wstałem natychmiast i poszedłem z nią. Zaprowadziła mnie na dwór, usiedliśmy tam, i ona powiada:

— Chciałam ci coś opowiedzieć. Wybacz mi, że ci przerwałam czułą rozmowę. Wiesz, to szukanie samotności z Sylwą może wywołać podejrzenie nietylko wśród kolegów, ale i wśród szkrabów. Chociaż lubię Sylwę, to jednak nie podoba mi się jej zachowanie w ostatnich czasach.

Rozzłościłem się i powiedziałem:

— Możesz sobie iść do djabła, jeżeli masz zamiar tak rozmawiać. Żadnych czułych rozmów z Sylwą ani dawniej, ani teraz nie prowadzę i uważam ją tylko za koleżankę. Dlaczego zachowanie się Sylwy jest niewłaściwe? O jakich podejrzeniach mówisz? Bzdury to i nic więcej, czego się złościsz na Sylwę?

— Uspokój się i usiądź — powiada Zoja. — Zawołałam ciebie dlatego, że chcę ci opowiedzieć jedną historję. Słuchaj więc. Wczoraj przyjechał z południa mój brat, rękę całą ma pokiereszowaną. Opowiedział mnie i matce taką rzecz. On jest lotnikiem. Służył tam gdzieś na południu, w jakimś Suchumie, czy może gdzie indziej. I otóż pew-

nego razu gdzieś w sąsiedztwie odbywała się zabawa; na tej zabawie był brat i wszyscy razem pili wódkę. Po zabawie brat poszedł sobie do domu. Jako wojskowy nosił przy sobie rewolwer. Noc już zapadła, było bardzo ciemno. Powiada on, że na południu noce są o wiele ciemniejsze od naszych. Szedł sobie brat i zabłądził. Pewnie przez tę wódkę. Dobrze. Ciemno, choć oko wykol. Wtedy brat poszedł poomacku. Odrazu ujrzał jakieś światełka. Domyślił się, że to była wieś tatarska. I poszedł do tych światełek. Ledwie zbliżył się do wsi, kiedy niespodzianie ktoś go zatrzymuje i mówi:

„Dokąd idziesz?"

Brat odpowiada:

„Do Suchumu."

Wtedy ten, który go zatrzymał, powiada, że go wyprowadzi na drogę suchumską. Brat zgodził się i poszedł za tym człowiekiem, ale na wszelki wypadek w ręku rewolwer ściska. Otóż szli wciąż i szli, aż znaleźli się za wsią. Brat zaczął zahaczać o jakieś kamienie.

„Dokąd mnie prowadzisz?" — pyta brat, a sam rewolwer wyciąga.

Wtedy ten obcy zaświecił bratu wprost w oczy małą latarką elektryczną. Po mroku jaskrawe światło oślepiło brata. Zmrużył oczy i podniósł rewolwer do góry. W tym czasie ktoś mocno uderzył brata w rękę, i rewolwer wypadł. Jakiś

człowiek trzymał w jednej ręce latarnię, a w drugiej — rewolwer. Ztyłu drugi stał też z rewolwerem. Obydwaj kazali bratu iść za sobą bez gadania. Co miał robić, musiał iść.

— Rzuciłbym się na niego, uderzyłbym głową w brzuch, wywrócił go i wyrwał z rąk rewolwer — powiedziałem. — A z rewolweru strzeliłbym w drugiego człowieka.

— Ta-a-ak, idź, spróbuj mu wyrwać — odpowiada Zoja. — Drugi tymczasem strzeliłby ci w plecy. Poszedł brat za nimi, okrutnie ciemno było, tylko ten, co szedł pierwszy, miał małą latarkę. Brat zauważył, że szli wszyscy troje pośród kamieni jakiegoś dziwnego kształtu. Doszli do pewnego miejsca, a ci ludzie wyciągają skądciś łopatę i powiadają do brata:

„Kop."

Brat odrazu pomyślał, że ma dla siebie mogiłę wykopać. Wziął się do roboty i widzi, że ziemia taka pulchna, dość łatwo mu idzie. Bardzo prędko zrobił dół głęboki na pół arszyna, i łopata uderzyła o coś twardego.

„Nie mogę dłużej kopać — powiada — natrafiłem na jakiś twardy przedmiot."

Wtedy jeden z tych ludzi nachylił się, uderzył kindżałem twardy przedmiot i zaczął wyciągać deski jedną po drugiej: ukazał się ciemny dół. Ludzie ci powiadają do brata:

„Właź tam."

Brat pyta:

„Poco?“

„Jak będziesz pytał — zastrzelimy“ — odpowiadają.

Nie miał brat wyjścia, więc zrobił, jak kazali.

— Za nicbym nie poszedł — powiedziałem.

— A jakbyś postąpił?

— Nie wiem... Rzuciłbym się na nich, a nie dałbym się żywcem zakopać...

— No, a brat wlazł do dołu, to był dość głęboki dół, prawie trzy arszyny miał. A ludzie ci świecili zgóry latarką. Kiedy brat już był w dole, tak do niego powiadają:

„No, podaj nam trumnę.“

„Jaką trumnę?"

„Przyjrzyj się dobrze, znajdziesz tam trumnę."

Spuścili latarkę niżej, brat spojrzał uważnie i nagle rzeczywiście dostrzegł trumnę, owiniętą w jakiś biały materjał. Chciał ją brat podnieść, ale nie mógł. Woła do nich:

„Strasznie ciężka, nie mogę".

„To przynajmniej materjał z trumny ściągnij“.

Brat jako tako zdjął materjał i podał im na górę.

„A teraz otwieraj trumnę."

Zaczął brat otwierać, palce sobie powykręcał, nie otwiera się.

„Nie mogę — powiada — trudno ją otworzyć, na pewno gwoździami zabita albo też zaśrubowana:"

„Bierz kindżał."

Rzucają mu kindżał. Brat wziął go, wetknął w niewielką szczelinę, podważył, pokrywa się poddała. Widzi: leży w trumnie bardzo ładna młoda kobieta, cała spowita w taką samą tkaninę, co i trumna. A zgóry pytają:

„Co, leży baba?"

„Leży."

„A w jakiem ubraniu?"

„W taki sam materjał zawinięta."

„Zdejmuj materjał."

Co miał robić, musiał zdjąć, a było tego z jakie sześćdziesiąt arszynów:

— A ile tego było w metrach?

— Jak będziesz kpił, przestanę opowiadać. Otóż zdarł brat tkaninę, podał im na górę.

„A teraz — powiadają — podaj nam tu babę."

„W jaki sposób?"

„Weź, podnieś i podaj ją nam."

Wziął brat ciało, ledwo uniósł i z trudem im podaje. Chwycili już, ale widać, trup zaczepił się, albo może wydało im się, że brat ciągnie ciało do siebie, możliwe także, że chcieli dopomóc sobie kindżałem, tak, jak to się robi widelcem, dość, że ciachnęli nie trupa, a rękę brata. Brat krzyknął.

„Czego ty wrzeszczysz?" — pytają.

„Przecież rękę pociachaliście mi do samego ramienia."

W tej samej chwili wypuścił brat ciało, które spadło zpowrotem na ziemię.

„No, zdejmuj pierścienie z palców".

Brat jako tako okręcił ranę chusteczką, nachylił się, żeby ściągnąć pierścienie, ale nijak nie mógł tego zrobić, zdawało mu się nawet, że trup ciągnie go za ręce.

„Nie mogę zdjąć" — powiedział brat i zemdlał: przytomność stracił. Niewiadomo, jak długo tak leżał, nieprzytomny, ale wreszcie ocknął się. Widzi poprzez kwadrat nad głową gwiaździste niebo i nijak nie może zrozumieć, gdzie jest. Przeleżał tak z pięć minut i nagle widzi: w ten kwadrat pakuje się głowa z błyszczącemi oczyma. Brat jak zaryczy z przerażenia! A głowa zawrzeszczała jeszcze głośniej i schowała się. Brat znowu zemdlał. Przyszedł do siebie w jakimś maleńkim pokoiku, a przy nim siedzi urzędnik jakiś i pyta:

„Czy to pan jest Trawnikow?"

„Tak, to ja."

„Proszę opowiedzieć, co się z panem stało."

Brat opowiedział wszystko, jak było.

„Tak, to zupełnie podobne do prawdy — pan znajduje się teraz na tatarskim cmentarzu w mieszkaniu stróża. Tylko proszę mi wyjaśnić

tę niezrozumiałą dla mnie rzecz, skąd się ten przedmiot znalazł w pana kieszeni?"

I pokazuje bratu odrąbany palec wraz z pierścionkiem.

Brat spojrzał i powiedział, że nie wie. Potem zapytał śledczego, jak to wszystko wytłumaczyć. Śledczy opowiedział mu, że to byli bandyci cmentarni, którzy właśnie z pomocą brata okradli mogiłę niedawno pochowanej księżniczki. A ta głowa, która się ukazała nad mogiłą, to też był bandyta, ale już z innej szajki. I ten bandyta tak się przestraszył, kiedy brat krzyknął, że z przerażenia rzucił się do ucieczki i śmiertelnie rozbił głowę o pierwszy napotkany pomnik.

— No, a tamtych złapano?

— Odnaleziono ich dzięki tkaninie, skradzionej w mogile; sprzedawali ją na rynku w Suchumie. No i wyparli się. A potem podczas śledztwa przyznali się, że naumyślnie podrzucili bratu ten palec, aby śledczy i brata posądził o udział. Potem brata wypuścili, dali mu urlop, i on do domu przyjechał.

— To wszystko?

— Wszystko.

— A o tej zmarłej dziewczynie też ty naplotłaś?

— Cóż ty myślisz, nie wierzysz? Przecież mogła ta dziewczynka po śmierci przyjść do doktora.

— Byłem pewny, że to twoje sprawki!

Wstałem, poszedłem sobie i wołam:

— Sylwa! Sy-ylwa-a-a!

A Czarna Zoja idzie za mną i mruczy pod nosem:

— Niema Sylwy! Aha, niema Sylwy!

Naszukałem się Sylwy, ale jej w szkole nie znalazłem. Pewno do domu poszła. A Zoja łazi za mną i wciąż mnie drażni:

— Widzisz, nie czekała na ciebie, okropnie jesteś jej potrzebny.

Wtedy dopiero zrozumiałem wszystko: Zoja naumyślnie odciągnęła mnie od Sylwy, tylko nie wiem, do czego jej to było potrzebne. Rozzłościłem się, stłukłem Zoję, rozbeczała się, a ja do domu poszedłem.

8 sierpnia.

Po długiej przerwie zupełnie niespodzianie ukazał się „IKS". Zawiera on wielką balladę, która się tak zaczyna:

Mówimy dziwnym telegraf-językiem,
Hasło mamy: szybciej, krócej...
Mało kto opiewa pięknym wierszykiem
Te przecudne księżycowe noce.
Opisy dla przykładu będą takie:
Księżnoc pełna była słodrozkoszy,
Kiedy dwaj cywzłodzieje skradli kuchbakie,
Nie bacząc na domkoma nie drzemoczy.

Pyszne to, kto to napisał? Umówiliśmy się zaraz z Kolką Pałtusowem, że będziemy rozmawiać tym telegraf-językiem. Wygodne to bardzo można szybko mówić niezrozumiałe dla innych słowa.

9 sierpnia.

Nie lubię dziewczynek, które można nazwać idjotkami, a takich jest większość. Jeżeli już kto wart, żeby go nazwać idjotą, to z pewnością najbardziej zasłużył sobie na to Juszka Gromow. Wszystkim naplotkował o mnie i o Marji. Zupełnie nie rozumiem, kto go za język ciągnął. Takie plecenie bez powodu to pierwsza oznaka głupoty. A dzisiaj takie w dodatku głupstwo palnął. Wpada nagle do laboratorjum (nikogo ze szkrabów nie było) i wrzeszczy jak opętany:

— Nikpetoż zadurzył się w Staśce Wielopolskiej!

Wszyscy chłopcy zaczęli go wypytywać, skąd on o tem się dowiedział, szczególniej dziewczyny go obstąpiły. Juszka opowiedział, że jakoby Nikpetoż chodził ze Staśką z początku po podwórzu, a potem ukryli się za drwami. Nikpetoż trzymał Staśkę za rękę i coś do niej mówił z wielkiem ożywieniem.

A Juszka też schował się za drwami, tylko z drugiej strony, i cały czas podsłuchiwał. Gdyby Juszka kiedyś nie obgadał mnie i Marji, to może

nie zwróciłbym uwagi na to, co mówi, ale teraz odrazu zrozumiałem, że Juszka jest amatorem idjotycznych plotek i że jemu w niczem nie można zaufać.

Dziś rozpoczęło się seminarjum z Zin-Pałną. Zin-Pałna szczegółowo opowiedziała nam biografję Puszkina. Wołodźka Szmerc odznaczył się:

— A co czuł Puszkin, kiedy jego żona miała duży brzuch? — zapytał nagle Wołodźka.

Na to Zin-Pałna mu odpowiedziała:

— Wiesz, Szmerc, gdybyś zapytał mnie o to z zamiłowania do wiedzy, to możebym ci odpowiedziała na to pytanie. Ty zaś pytasz o to tylko dlatego, że jesteś łobuz. Uważam, że ktoś z nas musi opuścić audytorjum: albo ty, Szmerc, albo ja...

Wołodźka zaczął dowodzić, że nie dlatego się tak wyraził, że jest łobuzem, a dlatego, że sam czytał listy Puszkina, w których poeta tak pisze do swojej żony: „ponieważ masz duży brzuch..."

W tem miejscu wszyscy zawrzeszczeli:

— Wynoś się, Szmerc! To nie podwórko, w audytorjum jesteśmy!

I Wołodźka z wielkim wstydem musiał się wynieść z audytorjum.

10 sierpnia.

Dziś ni z tego, ni z owego na placu futbolowym Juszka Gromow zaczął trąbić o Nikpetożu

i o Staśce. To już było okropne paskudztwo dlatego, że nie wszyscy futboliści są z naszej szkoły. Natychmiast powiedziałem Juszce, żeby nie plótł.

— A co ty mi zrobisz? — pyta Juszka.

— Mordę ci rozkwaszę.

— Spróbuj — powiada Juszka.

Nie chciało mi się próbować. Umówiłem się z Kolką Pałtusowem, który grał w trzeciej drużynie na prawem skrzydle, żeby zfaulować Juszkę. Tak to nam się udało: kiedy grający w ataku z trzeciej drużyny rzucili piłkę, Kolka popędził za Juszką, a Juszka jak zwykle zaczął prowadzić piłkę samodzielnie. Tutaj, pod pretekstem, że chcę wziąć piłkę od Juszki, rzuciłem mu się pod same nogi i zatarasowałem mu drogę.

W tej samej chwili Kolka podbiegł ztyłu i walnął Juszkę z całych sił. Juszka wywrócił się i wrzeszczy wniebogłosy.

— O-o-o-oj! Wiem już — to ty, Riabcew, naumyślnie chcesz mnie sfaulować, ach, ty draniu!

Wszyscy widzieli, że wcale nie ja go zfaulowałem, i nikt nie zwrócił na to uwagi. Kolce kapitan zrobił wymówkę za grubjańskie sposoby gry. A Juszka nie mógł sam iść, nogę miał całkiem potłuczoną, spuchła mu, i chłopcy odnieśli go na noszach do domu.

Kiedyśmy już wracali, Kolka powiada do mnie:

— Doto.

Umówiliśmy się, że nie wolno pytać o wytłumaczenie słów telegraficznych. Każdy powinien sam się domyślić. Łamałem sobie głowę, co znaczy „doto", ale nie mogłem zrozumieć.

— Dobry towarzyszu? — pytam.

— Nie — odpowiada Kolka.

— Dobrze targujesz się? — pytam znowu.

— Ależ nie. Czyż nie rozumiesz? „Dobrze mi z tobą".

Zdecydowałem zemścić się i całą drogę starałem się wymyślić coś trudnego. Przy pożegnaniu powiadam do niego:

— Wierzawok kopałem.

— Coś ty kopał? — pyta niedbale Kolka.

— Nic nie kopałem, tylko „wierzawok kopał". Żegnam się z tobą w ten sposób. Cóż ty na to?

Kolka myślał, myślał, a potem palnął:

— Wiera zazdrości Kalerji Pawłownie.

Wybuchnąłem śmiechem.

— Jakaż Wiera? Skąd wziąłeś Wierę? A jeszcze w dodatku jaką Kalerję Pawłownę przyplątałeś. Co ona tu ma do roboty?

— Wszak to ja mam taką ciotkę. Ona gdzieś na rynku spodniami handluje. Może to imię własne ten Wierzawok? — zapytał Kolka.

— Nie, wcale nie. To tylko telegraficzne słowo.

Przekonawszy się, że Kolka nie może zgad-

nąć, zrobiłem mu kukuryku i chciałem sobie odejść. Ale Kolka, wielce ciekawy, przyczepił się, żebym mu koniecznie powiedział, co to znaczy. Długo się nie zgadzałem, potem sprzykrzyło mi się i wypaliłem mu prosto z mostu:

— Wierny zarządzeniom październikowym*), Kolka Pałtusow! Ot, co znaczy ten „wierzawok kopał!" Nie to, co twoje „doto".

Moje było na wierzchu.

11 sierpnia.

Jedną z naszych dziewczynek nazywają Pyszką. Jest bardzo tłusta, i stale wszyscy ją zaczepiają. Wepchną ją do jakiegoś kąta, ścisną tam, dają sera, a ona piszczy jak ryba. To się tylko tak mówi, „jak ryba", przecież ryby nie umieją piszczeć. Dziś właśnie daliśmy Pyszce sera w kącie, a tu nagle jak z pod ziemi wypadła Jelnikitka i zaczęła na nas krzyczeć, że jesteśmy obrzydliwi i że o nas wszystkich opowie na ogólnem zebraniu rady szkolnej, kto ją wie, może ona i Sownarkom**) o tem powiadomi.

Wtedy ja pytam:

— Właściwie cośmy takiego zbroili?

— Sami najlepiej o tem wiecie — krzyczy Jelnikitka — poco ta obłuda, kiedy to jasne jak dzień.

*) Październik po rosyjsku: oktiabr.

**) Rada komisarzy ludowych.

Akurat wpadły starsze dziewczęta i wszystkie zaczęły nawyrywki wrzeszczeć, że jakoby chłopcy rozbestwili się bardzo i pozwalają sobie zaczepiać dziewczęta. Nie wytrzymałem i odezwałem się, że to bezczelne łgarstwo, że Pyszce wszyscy dają sera i że nigdy nikt nie widział w tem nic złego. Dodałem jeszcze, że według mnie Jelnikitka poprostu wściekła się. Wtedy Jelnikitka zebrała dokoła siebie dziewczyny jak kwoka kurczęta, i uroczyście oznajmiła:

— Riabcew znowu pokazuje, co umie. Myślałam, że się poprawił, ale te oburzające paskudztwa wskazują, na co są skierowane jego myśli.

Schwyciły wszystkie razem Pyszkę pod ręce i dokądś ją zaciągnęły, zapewne do kogoś na skargę.

Po dziesięciu minutach zjawił się Nikpetoż. Zebrał wszystkich chłopców w audytorjum i znowu wygłosił cały wykład o kwestji płciowej. Potem wyciągnął jakąś książkę i zaczął nam czytać opowiadanie Turgeniewa „Pierwsza miłość", jak to jeden chłopiec zakochał się w dorosłej kobiecie. Śmieliśmy się do rozpuku, a potem pytam Nikpetoża:

— Nikołaju Piotrowiczu, poco pan nam to przeczytał?

— A poto, aby wam pokazać, jak literatura piękna odtwarza prawdziwą, idealną miłość.

Zdecydowałem się wtedy przewentylować tę całą kwestję i zapytałem:

— A dlaczego pan myśli, że my sami o tem nie wiemy?

Nikpetoż nieodrazu odpowiedział:

— Widzisz, niektórzy pracownicy szkolni myślą, że nie macie wyrobionych poglądów na miłość i na kwestję płciową.

— Jakie są na to dowody? — zapytałem.

— Ot, naprzykład wasz stosunek do Leny Orłowej (to tak Pyszka się nazywa). Pracownicy szkolni sądzą, że te stosunki nie są normalne i zdrowe.

— Z pewnością to są sprawki Jeleny Nikiticzny — powiadam.

— Właśnie, że nietylko Jelena Nikiticzna, ale i kierowniczka, i Fiszer, i Ludwika Karłowna (daje lekcje śpiewu) też są tego samego zdania.

— Co złego robiliśmy? Nic w tem niema nadzwyczajnego, żeśmy Pyszce dawali sera. Zawsze wszyscy ściskają ją i gniotą, i żadnych incydentów z tego powodu nie było.

— Pracownicy szkolni zwrócili uwagę na ściskanie Leny Orłowej — powiada Nikpetoż. — Sytuacja pogarsza się jeszcze dlatego, że sama Lena Orłowa nie sprzeciwia się temu. Na pewno dobrze wiesz, Riabcew, że przyjemnie dokazywać tylko z temi dziewczynkami, które nic przeciwko temu nie mają. Teraz postanowiono nareszcie z tem

skończyć i pomówić z wami o niektórych sprawach z dziedziny etyki i moralności według nauki Marksa.

Kiedy Nikpetoż wyszedł, pobiegłem za nim i zapytałem go:

— A co pan myśli o tej historji z Leną Orłową? Czy rzeczywiście tak bardzo zawiniliśmy?

— Specjalnego przewinienia nie widzę, jednak, Riabcew — powiada Nikpetoż — sądzę, że lepiej byłoby nie dawać sera Orłowej. Widzisz, Jelena Nikiticzna utrzymuje, że ty, Riabcew, jesteś w stanie zdemoralizować dziewczęta właśnie dlatego, żeś miał taki najprawdziwszy wytrawny romans z siostrą Gromowa.

— Skąd ona o tem wie? — zapytałem i poczułem, że się czerwienię. (Zmięszałem się bardzo).

— A czy naprawdę, Riabcew, było coś między wami? — zapytał Nikpetoż i badawczo na mnie spojrzał.

— Jak pan rozumie to „naprawdę?" — zapytałem. — Według mnie, to nikogo nie powinno obchodzić. Czy panu podobałoby się, gdyby nagle ni z tego, ni z owego zaczęto plotkować, że pan zakochany jest w Staśce Wielopolskiej i temu podobne kawały...

— Jakto? Czy mówią o tem?!— zapytał pośpiesznie Nikpetoż.

Wydało mi się, że się przestraszył.

— A widzi pan, że to nie jest przyjemne —

powiedziałem. — Wszystko to są plotki, i ludzie wtykają nos do cudzych spraw. Mojem zdaniem, to wcale nic wspólnego nie ma ani z moralnością, ani z etyką Marksa.

— Co do tego, masz rację, Riabcew — odpowiedział Nikpetoż, zmięszany. — Plotki są pozostałością starego ustroju i tych dawnych, przeklętych czasów. Świadczą one o zupełnie mieszczańskim stosunku do tych spraw. Naprzykład, nigdy, Riabcew, nie kryłem się przed tobą z tem, że mi się podoba Sylfida Dubinina, ale właśnie podoba mi się ona tylko jako człowiek, a nie jako kobieta. Taki sam jest mój stosunek i do Wielopolskiej. Dziwne byłoby, gdybym zaczął w szkole romansować.

— O Sylwie mowy być nie może — odpowiedziałem.—Nikt nigdy nie będzie śmiał powiedzieć, że między mną a Sylwą mogą być jakiekolwiek stosunki prócz koleżeńskich. Poza tem i ja, i Sylwa tak jesteśmy oddani rewolucji wszechświatowej, że nasze osobiste stosunki są na drugim, trzecim, na dziesiątym planie.

— Wierzę w zupełności — powiedział Nikpetoż. — Tem bardziej sam szanuję Dubininę, że nie mogę nawet dopuścić myśli, że ona mogłaby niewłaściwie się zachować. A jednak czy nie mógłbyś, Riabcew, tak po koleżeńsku powiedzieć mi, kto tak idjotycznie plotkuje o mnie i o Wielopolskiej?

— Nie, tego nie powiem, Nikołaju Piotrowiczu, przecież pan zaraz tego człowieka zasypie w społecz...

— Ach, nigdy! — wykrzyknął Nikpetoż i nawet zaczerwienił się po uszy. Nigdy nie łączę tych spraw społecznych z osobistemi. Wreszcie, nie zależy mi na nazwisku plotkarza. Chcę tylko wiedzieć, czy to jest ktoś z chłopców, czy dorosłych pracowników szkoły.

— Jeden z chłopców — odpowiedziałem.

— No, dziękuję ci, Riabcew — powiedział Nikpetoż na pożegnanie. — Na wszelki wypadek bądź pewien, że w tem zajściu z Orłową będę trzymał twoją stronę; cała ta historja złamanego szeląga nie warta.

— No, zapa — powiedziałem na pożegnanie.

— Jak to mam zrozumieć? — zapytał Nikpetoż.

— To znaczy „zadowolony z pana" zamiast starego „Bóg zapłać", bo bóg to jest coś religijnego.

— No, za wcześnie jakoś zacząłeś przekręcać język rosyjski — powiedział Nikpetoż niezadowolony. — I tak wszyscy teraz zupełnie niepotrzebnie go kaleczą.

— Nietylko nie kaleczą go, ale nawet tworzą nowe słowa.

— Niewielka to twórczość — powiedział Nikpetoż, i na tem rozstaliśmy się.

12 sierpnia.

Dzisiaj w parku Letnim wystawiono operę „Karmen“, byłem na niej tym razem z Sylwą. Dawniej gardziłem operą. Śpiew zamiast rozmowy wydaje mi się czemś bardzo nienaturalnem, prócz tego bardzo trudno zrozumieć, co mówią. Ale tym razem jakoś zachciało mi się pójść. Dziwnego uczucia doznałem już z samego początku, kiedy zgaszono światła i oświetlono rampę. Wydało mi się wtedy, że człowiek, który przed orkiestrą wymachuje pałeczką, jest jakimś czarodziejem. Potem rozpoczęła się opera. Tym razem zrozumiałem treść, dość bezsensowną, która jednak dała mi dużo do myślenia. Przedstawiają tam, jak to pewien oficer zakochał się w robotnicy fabrycznej. Oficer nazywał się Don Choze. Właściwie niebardzo zrozumiałem, poco zjawia się jakaś dziewczyna, imieniem Mikaela, i coś bardzo długo śpiewa. Zawsze tak bywa w operach: nagle ni stąd, ni zowąd zjawia się ktoś i dopiero zaczyna wyśpiewywać, a w dodatku i rękami wymachuje. Potem Karmen też zakochuje się w nim, a on musi ją za coś zamknąć w kozie. Otóż on prowadzi ją, a tymczasem ona jego mocno pchnęła i uciekła. Potem Karmen tańczy w jakimś szynku (nie mogę tutaj zrozumieć, co ona za jedna: czy robotnica fabryczna, czy wprost hultajka). Potem przychodzi torreador i śpiewa o swojej walce

z bykami. Bardzo mi się to spodobało. Sam torreador jest bardzo pięknym chłopcem. Takich w życiu nie spotyka się wcale. Potem ni z tego, ni z owego Karmen w nim zakochuje się (może dlatego, że jest o wiele ładniejszy od Chozego), i coś mu przyrzeka, ale nie zrozumiałem, o co chodzi. Potem torreador odchodzi, i nagle zjawia się Choze. Jak tylko Karmen zaczęła tańczyć, wszedł jakiś tłusty naczelnik i przepędza Chozego, dlatego, że sam się przystawia do tej Karmen. Choze wyciągnął szablę i o mało nie porąbał tego naczelnika, ale nagle wbiegli jakieś chłopaki, na głowach chustki zamiast czapek i ratują naczelnika. Potem Choze robi się bandytą.

W trzecim akcie bandyci poszli czatować na torreadora, a potem mieli go ograbić, dlatego, że dużo zarobił na przedstawieniu, gdzie walczył z bykami. Z tymi bandytami idzie Karmen i Choze. Potem bandyci sami chowają się, a Chozemu każą pilnować torreadora. Znowu, niewiadomo dlaczego, kręci się tu dziewczyna Mikaela, ale Choze ją przepędza. Sylwa powiada, że to pewnie jego narzeczona, ale ja nie wierzę. Przecież on kocha się w Karmen i nawet dla niej robi się bandytą. Ale nareszcie przychodzi torreador, i Choze wypalił ze strzelby, ale nie trafił. Wtedy chciał go zakatrupić, ale torreador też wyciągnął nóż, i zaczęli się bić. Fechtunku nie znają i dlatego biją się dość niemrawo. Nagle wbiega Karmen z ban-

dytami i rozbrajają ich. Nie rozumiem tylko, dlaczego oni wypuścili tego torreadora. Jakoś tak wyglądało, że nie miał przy sobie pieniędzy: może dopiero szedł zarobić. Sylwa powiada, że to nie tak było i że oni wcale nie chcieli go ograbić, ale ja tak właśnie zrozumiałem. Przecież operę każdy ma prawo zrozumieć tak, jak mu się podoba. Potem w czwartym akcie powinna być walka byków. Nie wiem, ile jest tam tych byków, pewnie dużo, dlatego, że prócz tego torreadora do walki z bykami staje jeszcze ze dwudziestu innych torreadorów z pikami i rozmaitemi kijami. Wszyscy strasznie wymachują rękami, bo im się bardzo chce popatrzeć na tę walkę. Karmen nadbiega, kiedy już wszyscy odchodzą. Ona też bardzo chciałaby popatrzeć, ale Choze jej nie puszcza, dlatego, że jest zazdrosny o tego torreadora. Ale ona z całej siły wyrywa się, wpada do cyrku, i wtedy Choze zakatrupia ją kindżałem.

Po przedstawieniu, kiedyśmy razem szli do domu, Sylwa powiedziała:

— Jaka to straszna rzecz ta zazdrość. Czy wiesz, że ja byłam zazdrosna o ciebie.

Wybałuszyłem na nią oczy.

— A czyż... — i zaciąłem się.

— Co „czyż"? Dobrze rozumiem, o co ci chodzi. Ale musisz wiedzieć, po sobie zresztą sądzę, że zazdrość wcale nie wymaga silnego uczucia. Można być zazdrosną najniewinniej w świecie.

Naprzykład, zazdrosna byłam o twój stosunek do Nikpetoża, nawet o rzeczy, z któremi się stykałeś. Wiesz, o co najbardziej jestem zazdrosna? O twój pamiętnik. I jeżeli chcesz, żebym przestała się męczyć, to daj mi go przeczytać.

Długo potem szliśmy w milczeniu. Oczywiście, nie chcę, żeby Sylwa męczyła się, ale z drugiej strony, przecież nie mogę dać jej do przeczytania tych zeszytów. Równałoby się to rozmowie z nią o najtajniejszych rzeczach, o których nawet sam na sam ze sobą trudno myśleć. Nagle Sylwa powiada.

— Widać, zupełnie mnie nie... szanujesz. Gdybyś mnie szanował, nie namyślałbyś się tak długo, czy mi dać ten pamiętnik.

— Wysłuchaj mnie, Sylwo — odpowiedziałem jej. — Przecież pamiętnik zawiera największe tajemnice człowieka. Chcesz, żebym przed tobą duszę całą wypatroszył? Przecież dużo jest w niej takiego, o czem nie powinnaś wiedzieć.

Wtedy Sylwa zatrzymała się nagle i powiedziała:

— No, żegnaj.

— Przecież dalej mieszkasz.

— Jeżeli nie mamy nic wspólnego, to możemy iść oddzielnie — powiada Sylwa. — Idź sobie swoją drogą, i ja też pójdę swoją drogą.

— Sylwo, poczekaj, co to znaczy: „nie mamy nic wspólnego"? Głupstwa pleciesz. Nawet

bardzo dużo mamy wspólnego. Ale przecież nie chciałabyś, żebym się przy tobie do naga rozebrał.

— Wiesz co, zaczynasz wygadywać takie obrzydliwości, że mi się już odechciało mieć z tobą do czynienia.

Nawet troszeczkę mnie to dotknęło.

— Nie mówię nic złego, nie rozumiem, dlaczego tak mi odpowiadasz. A jeżeli myślisz, że cię nie szanuję, to posłuchaj — przeczytałem jej moje wiersze:

Przypomniała mi się twa mądra rozmowa,
Nasze spotkanie bez słów w tej szkole wesołej,
Prowadź sobie teraz rozmowę z innymi;
Ty mi wypełniasz życie, bez ciebie czuję pustkę.

— No i cóż z tego? — powiada Sylwa. — To bardzo kiepskie wiersze. O wiele ciekawszy dla mnie jest twój pamiętnik. Czy uważasz mnie za taką smarkatę, która nie potrafi uszanować go. A wreszcie, gdybym dała tobie mój pamiętnik, to wtedy dasz mi swój do przeczytania?

— Czy masz pamiętnik?

— Tobie — powiedziała z akcentem — tobie mogę się przyznać: mam.

— I dasz mi go?

— Oczywiście, dam. Dlatego, że uważam ciebie za mego przyjaciela. Tylko pod jednym warunkiem: dasz mi twój.

— Czy mogę pomyśleć do jutra?—zapytałem.

— Nie, co to — to nie! Takich rzeczy nie od-

kłada się do jutra. Myślałam, że jesteś mężczyzną, a tyś jeszcze dziecko.

Bardzo to było dla mnie przykre, ale tak chciałem przeczytać pamiętnik Sylwy, że wreszcie powiedziałem: — Tylko powinnaś dać słowo, że nic nigdy nikomu... Rozumiesz? Nawet ze mną o tem nigdy nie rozmawiaj. Jakgdybyś go wcale nie czytała.

— Daję ci słowo — uroczyście powiedziała Sylwa. — I żeby ci dowieść, że to nie jest ciekawość, sama przyniosę ci jutro mój pamiętnik.

13 sierpnia.

Ponieważ sporo naszych chłopców było na „Karmen", więc zachciało im się wystawić jakąś operę w naszej szkole. Zaproponowałem „Karmen" i powiedziałem, że mogę odegrać rolę torreadora (już próbowałem), a Dona Choze mógłby śpiewać Kolka Pałtusow, który ma bardzo mocny dyszkant i zupełnie dobrze może być tenorem. Ale Ludwika Karłowna powiedziała, że „Karmen" to opera dla dorosłych i że wogóle nie damy sobie rady. Tuż na miejscu wyciągnęła z teczki operę dla dzieci, zatytułowaną „Popłoch wśród grzybów," zaproponowała nam wystawić ją i zaraz odegrała ją na fortepianie. Widywałem już różne bzdury na scenie, ale nigdy nie przypuszczałem, że można napisać takie banialuki i w dodatku z muzyką. Naprzykład zaczyna się od tego, że królowa Rzepa śpiewa:

„Och — och — och
To król Groch,
Tak się pysznicie
I mnie grozicie,
Biada, wam biada
Oj dana, dana da".

Co to ma znaczyć? myślę, że nietylko ja, ale i nikt tego nie zrozumie. Słuchałem tego, słuchałem i wreszcie zanuciłem sobie:

„Ja — doto
Ja — dowam
Tram — Tram

Ludwika Karłowna pyta mnie, co to znaczy. Poprosiłem ją, żeby mi wpierw wytłumaczyła ten „Popłoch wśród grzybów". Przecież na nasze przedstawienie mogą się zjawić, nawet na pewno przyjdą, nasze „podszefy" — chłopi i mogą nas nabić za taką operę. Będą mieli rację. Ludwika Karłowna powiedziała, że ta dziecinna opera jest bardzo zabawna i że nie powinienem się wtrącać, jeżeli nie chcę brać udziału. Poszedłem sobie, a ona została tylko z młodszemi dziećmi z pierwszej grupy.

Sylwa powiedziała, że zapomniała przynieść pamiętnik, jutro mi go da.

14 sierpnia.

Dopiero co przeczytałem pamiętnik Sylwy i myślę, że Sylwa coś przede mną ukrywa.

Pamiętnik, oczywiście, jest bardzo zajmujący,

ale nie kompletny. Nie mogę pojąć, czego tam brak, dlatego, że Sylwa pisze, nie stawiając daty jak ja, a zwyczajnie jedno po drugiem. Ja też niecały pamiętnik jej dam, a tylko zeszyt z pierwszego kwartału.

W tem miejscu do zeszytu włożony jest niewielki kajecik z napisem:

Uczenicy czwartej grupy drugiego stopnia
Sylfidy (Jewdokji) Dubininej.

W zeszycie na samym początku są wiersze Jesienina:

„Nie żałuję, nie wołam, nie płaczę." Dalej są wiersze Fiutczewa, Balmonta, Bunina i „Warjat" Apuchtina. Pod wierszami takie słowa: „Chcę i muszę sama wszystkiego doświadczyć".

*

Życie w literaturze jest zupełnie niepodobne do życia w rzeczywistości. Koniecznie trzeba z tem walczyć.

Czem jest nasze życie? Romansem.
Gdzie jego autor? Nieznany.
Sylabizujemy, czytamy,
Śmiejemy się, płaczemy.

Wszak trudno uwierzyć, że to Karamzin napisał w osiemnastem stuleciu... A jednak to jego

słowa. Z początku tworzył epigramaty, a już potem napisał historję.

•

Z.-P. powiada, że posiadam styl literacki. Zapytałam ją, do czego on w życiu potrzebny. Powiedziała mi na to, że styl świadczy o kulturze człowieka. Kulturalny człowiek ma szerszy horyzont.

•

Moje stosunki ze Staśką W. są takie same, jakie dawniej łączyły mnie z Liną G.: jestem odbiornikiem jej wynurzeń. Ani to przykre dla mnie, ani przyjemne, poprostu obojętne. Łzy Stasi nie wydają mi się gorącemi, a jej zgryzoty—istotnemi Lina głębsze miała powody do zamartwiania się. A jednak, jednak... w najbardziej krytycznych chwilach czułam, że najwięcej mnie obchodzą moje osobiste sprawy. Czułam dobrze, że samo życie jest o wiele cięższe od tych czasowych nieszczęść. Dawno już, jakie pięć lat temu, jak tylko zaczęłam żyć świadomie, zrozumiałam, że życie jest czemś okropnem. Myślę, że to samo zrozumieli wszyscy moi rówieśnicy, a jeżeli nie zrozumieli, to zapewne odczuli, a to już jest to samo. Ale oprócz tego całe nasze pokolenie nauczyło się czegoś. Dowiedziało się ono, że jakkolwiek straszne jest życie, to jednak można z niem walczyć i zwyciężać je.

Wtedy ono przestaje być takiem strasznem i nawet czasami daje chwile radości.

Wprawdzie nie są to moje własne myśli, dobrze jednak, że doszły one do mojej świadomości i mocno tkwią we mnie. Są one dla mnie źródłem energji życiowej i ułatwiają walkę. Taki bezsensowny postępek Liny i Zoi dla mnie byłby nie do pomyślenia. Wszak niema nic gorszego na świecie, jak okazać się wobec wszystkich w głupiej sytuacji.

*

Kiedy jestem sama, ogarnia mnie dziwny nastrój: wydaje mi się, że jestem oderwana od ziemi i unoszę się w pustem przestworzu. Szczególniej doświadczam tego w noce księżycowe.

*

Czy mogę się komu na coś przydać? Czasami wydaje mi się, że nikomu nie jestem potrzebna. W takich chwilach zaczynam gorączkowo szukać człowieka, dla którego mogłabym coś zrobić. Dlatego też często bywam powiernicą.

Miałam pięć lat, jak nauczyłam się czytać. Ojciec mój jest zecerem i od wczesnego dzieciństwa pełno miałam książek w pokoju.

Byt określa świadomość.

*

Przeczytałam to, co napisałam, i zamyśliłam się. Wszystko zależne jest u mnie od nastroju. Płaczę czasami — nikt o tem nigdy się nie dowie. Zdarza się też, że śmieję się długo i nie umiem tego śmiechu opanować. Staram się jednak zaprzestać: Jeżeli zawsze poddawać się podobnym nastrojom, to można zupełnie stracić panowanie nad sobą. Wczoraj była u mnie Stasia Wielopolska: Znowu opowiadała mi o swoim romansie. Zdaje się, że ona niepotrzebnie go męczy. Wszystko jedno, nie będzie ona nigdy chodziła do wuzu, wiadomości ma minimalne i zupełnie niepotrzebnie będzie kończyła piątą grupę: Dobrzeby zrobiła, gdyby zamąż wyszła.

*

Przed chwilą zakończyła się awantura pomiędzy ojcem i matką. Ojciec wrócił do domu, pijany, i zaczął przeklinać matkę. Potem ją bił. Matka woła: „Duńka, ratuj mnie!" A ojciec krzyczy: „Wynoś się, Sylfida, wynoś mi się zaraz, dzieci nie powinny widzieć, jak dorośli się kłócą". Jakież to było wstrętne, nie wiem, cobym uczyniła, gdyby ojciec nie wyszedł.

*

Skończyłam „Wojnę i Pokój". Zapragnęłam być Nataszą Rostową, ale czuję, że nie mogę być

taką, jak ona. Chociaż Natasza żyje prawdziwą pełnią życia, ale jednak niczem nie jest, tylko samicą. Z treści książki widać, że taką powinna być każda kobieta. Mam wrażenie, że Natasza nawet miała jakieś potrzeby, ale Tołstoj wolał o tem przemilczeć, gdyż sam był posiadaczem wielkiego majątku i hrabią (przedstawiciel feodalizmu).

Według mnie, to Kostia Riabcew podobny jest troszkę do Nikołaja Rostowa, tylko znacznie od niego mądrzejszy. Zoja Trawnikowa podobna jest do księżniczki Marji Wołkońskiej, tylko ładniejsza. Choć uroda Zoi nie tak bardzo mi się podoba, jakaś dziwna jest. Zoja bardzo niedbale się czesze. Wogóle o urodzie mogą być różne zdania. Nie mogę zrozumieć, co pewien osobnik znalazł ładnego w Staśce W. Zadarty nosek, z prawej strony brak jednego zęba, chodzi brzydko jak żołnierz, zawsze wymachuje rękoma. Mimo to pewien osobnik aż się pali do niej.

Dobrze rozumiem, że to brzydka drobiazgowość wypisywać takie rzeczy, ale nie umiem się tego wyzbyć.

*

Trzeba ciągle karcić siebie za to, może wtedy prędzejbym się poprawiła. Może to wpływ szkoły; prawdopodobnie lżejby mi było, gdybym zamiast uczyć się w szkole, pracowała w fabryce.

Choć i to nie jest pewne, szczególniej jeżeli wziąć tę fabrykę, do której należy nasza frakcja komsomolska. Naprzykład, taki fakt. Jedna z dziewcząt, mając lat szesnaście, wyszła zamąż za chłopca, który też w tej fabryce pracuje. Zaraz wszyscy zaczęli o tem trąbić. Jakaż to drobiazgowość i brzydki mieszczański stosunek do tej dziewczyny. Jeżeli władza sowiecka pozwala dziewczętom wychodzić zamąż po ukończeniu szesnastu lat, to niech sobie wychodzą. Co do mnie, za nicbym nie wyszła teraz zamąż. (A mam prawo, w czerwcu skończyłam 16 lat). Napatrzyłam się na różne małżeństwa i wiem, jak większość z nich jest nieszczęśliwa w pożyciu. Żywym przykładem dla mnie są moi rodzice. Ojciec nigdy dawniej nie pił, a od czasu, jak zaczęły się różnić ich przekonania, upija się. Pomimo to powinnam i tego doświadczyć. Nie uspokoję się, póki nie spróbuję w życiu wszystkiego. Powinnam jednak panować nad sobą, dobrze to rozumiem. I otóż zmagają się we mnie dwie siły; nie wiem, która z nich zwycięży. Pocichutku tę, która mnie popycha do robienia prób, nazywam Duńką, a siłę, która każe mi panować nad sobą—Sylfidą. Właśnie Sylfida jest silna, a Duńka—parszywe świństewko, nieopanowana ideologicznie dziewczyna.

*

A teraz jeszcze o ideologji. To prawda, że ideologja pomaga w życiu. Tylko niezawsze się

wie, gdzie jest słuszna orjentacja. Naprzykład tańce. Dotychczas myślałam, że nie wolno tańczyć; przyszłam do klubu fabrycznego, a tam tańczą. Chciałam właśnie porozumieć się z sekretarzem Iwanowem i przy sposobności pytam go:

— Czy można tańczyć?

A on odpowiada:

— Nigdy nikt nie zabraniał.

— No to, dlaczego dawniej mówiono, że tańce są tylko dla burżujów? Nawet jeden z uczniów z naszej szkoły drugiego stopnia powiedział, że tańce są seksualnem ocieraniem się jednych o drugich.

— Jakoś za dużo mamy uczonych — powiedział Iwanow. — Nie chcemy nikogo do klasztoru wysyłać. O ile to odbywa się bez szkody dla innych, to można bawić się i używać.

Jak tu poznać się na tem? Trudno zrozumieć tę ideologję. A wszak od tego zależy kierunek, jaki się obiera w życiu.

W literaturze bardziej gładko wszystko idzie niż w codziennem życiu. Utwór literacki można uważnie przeczytać kilka razy, zastanowić się spokojnie, a w jakiejś sprawie życiowej niema czasu do namysłu, prawie zawsze natychmiast trzeba coś postanowić.

Najczęściej w szkole zdarzają się trudne sytuacje, i wtedy zawsze trzeba samej zorjentować się, niema doradcy i czasu brak. Najgorsze są te nieporozumienia z pracownikami szkoły albo bunty.

Te bunty często u nas mają miejsce. Ostatnio inspektor powiedział o nas, że to nie szkoła, a zbiorowisko opryszków. Nie ma on racji. Dość często bywają u nas zaburzenia, ale tak musi być, wszak żyjemy w okresie rewolucji. Zin-Pałna przechodzi z nami Puszkina, bardzo nas to zajmuje. Dała nam teraz rozbiór „Eugenjusza Oniegina". W takich utworach zwraca się uwagę przedewszystkiem na ideologję. Ten Oniegin jest nawskroś przesiąknięty feodalno-naturalno-burżuazyjno-obszarniczą ideologją (zbyt długie określenie, ale trudno inaczej powiedzieć dlatego, że to dotyczy gospodarstwa naturalnego). Nie jest to hańbą dla Puszkina dlatego, że za jego czasów nie było jeszcze ani dyktatury proletarjatu, ani władzy sowieckiej. Wtedy był caryzm, a jego przedstawiciel, Mikołaj I, gnębił Puszkina, naprzykład, zesłał go do Kiszyniowa, a potem do miejsca urodzenia. Jednego tylko nie rozumiem. Przecież Puszkin był Arabem, dziwię się więc, że mając gorącą południową krew, mógł napisać takie zimne i obojętne dzieło, jak „Eugenjusz Oniegin". Zin-Pałna mówi, że w okresie Puszkina młode dziewczęta zachwycały się Tatjaną. Zupełnie nie pojmuję, jak w czasach tak rozpustnych i przesiąkniętych burżuazyjnym feodalizmem Tatjana mogła być ideałem. Przypuszczam, że wcale wtedy nie istniały takie kobiety, ale ten Puszkin był romantykiem i dlatego wymyślił tę Tatjanę. Wątpię

też, czy istniał podobny typ, jakim był Oniegin. O tem trudniej mi coś powiedzieć dlatego, że nie znam psychologji mężczyzn. Nigdy nie chciałabym być Tatjaną i nie będę taką, jak ona, dlatego, że trzeba iść za głosem uczucia, jeżeli ono jest szczere, a nie tłumić go w sobie. Ach, i wogóle Tatjana nie jest moim ideałem. Nie czuje się w niej walki rewolucyjnej. A bez tej walki nie można żyć. Jest jednak coś, co mi się podoba w Tatjanie. Potrafiła ona postąpić tak, jak uważała za potrzebne, a to dużą posiada wartość. Mnie się udaje to tylko zewnętrznie, a wewnątrz mnie wciąż toczy się walka. Oczywiście, łatwiej było Tatjanie postępować, jak chciała, wszak nie była ona jednocześnie jakąś Oktjabriną albo Sylfidą, obowiązywała ją tylko naturalno-obszarnicza moralność. (Tak mówi Nikołaj Piotrowicz).

*

Większość naszych dziewczynek chce być kino-artystkami albo baletnicami. O nauce mało myślą. Dla nich najważniejsza sprawa — to pozdawać z przedmiotów, potem wszystkie wiadomości mogą już ulotnić się z głowy. Nic też dziwnego, że bardzo wiele uczenic tak samo mało umie, jak Stasia W. Jedna dziewczynka powiedziała mi (z piątej grupy): „Po ukończeniu szkoły zostanę gwiazdą kinową, pojadę sobie do Ameryki. Oto mój program życiowy".

Inne dziewczęta, jest ich znacznie mniej, chcą po skończeniu szkoły pracować w fabryce, aby zlać się z klasą robotniczą.

*

Zoja Trawnikowa prześladuje mnie. W szkole chodzi za mną jak cień. Czego ona chce ode mnie?

16 sierpnia.

Byłem na zebraniu jaczejki fabrycznej; mówiono tam, że w naszej szkole praca społeczna jest źle zorganizowana i że winę za to ponoszą nie szkraby, jak to wszyscy myślą, lecz my, uczniowie drugiego stopnia.

Na to Sieriożka Blinow oświadczył, że my nic nie możemy zrobić, bo w szkole wszystkiem rządzą szkraby, i nawet taka dziedzina, jak samorząd, jest to „inwalida o kulach szkrabskich". Odpowiedziano mu, że i tutaj jest nasza wina, bo nie jesteśmy dość energiczni, i że prócz samorządu jest jeszcze dużo innej pracy. Sieriożka zaznaczył, że mamy gazety ścienne i kółka; ale mu zarzucono, że praca pionierów jest źle zorganizowana, że pionierzy z młodszych grup nie robią nic innego, tylko maszerują w takt muzyki i bawią się. Sieriożka chciał się sprzeczać, ale mu powiedziano, że łatwo jest wytłumaczyć się gadaniem, ale trudniej usprawiedliwić się czynem.

Słowem, pobili nas, i trzeba się teraz pilnować.

17 sierpnia.

Powiedziałem Sylwie, że dała mi niecały pamiętnik, a ona nie zaprzeczyła. Widocznie to prawda. Dodałem, że zatrzymam pamiętnik u siebie, bo chcę go porządnie przeczytać. Potem dałem jej trzy moje zeszyty, w których zapisywałem wszystko w pierwszym kwartale. Zanim dałem, przeczytałem jeszcze raz i widzę, że tam niema nic takiego, o czemby Sylwa nie powinna wiedzieć. Ciekaw jestem, co ona powie po przeczytaniu.

18 sierpnia.

Sprawa pchania Pyszki przybrała przykry obrót. Okazało się, że z tego powodu zwołano kilka szkrabówek (powiedział mi o tem w sekrecie Nikpetoż) i że Zin-Pałna zażądała zwołania sądu nad wszystkimi, kto to robił. (To znaczy, nad większością chłopców). Jelnikitka oświadczyła, że gdyby nie Riabcew, to innym nawetby to do głowy nie przyszło, trzeba więc oddać pod sąd tylko mnie jednego. Pyszka cały czas chodzi czerwona i napuszona, bo ją kilka razy wzywano do szkrabów. Sylwa powiada, że Pyszka bardzo się szczyci tem, że przez nią narobiono tyle hałasu.

Zapytałem Nikpetoża, jak to się wszystko

skończy; odpowiedział, że spodziewa się nie większej kary niż nagana i że sam ma zamiar mnie bronić. Poradził mi też, żebym wybrał sobie obrońcę z pośród kolegów.

Długo myślałem, kogo wybrać, i powiedziałem o tem Sylwie. A ona pyta mnie, czy będę miał coś przeciwko temu, jeżeli ona się tego podejmie.

— A jak będziesz mnie bronić? — zapytałem.

— To już nie twoja rzecz, zobaczysz — odpowiedziała — tylko ty się zgódź na to.

Zgodziłem się.

19 sierpnia.

„Podkuli" mnie, i teraz kuleję. Ale do szkoły chodzę. „Podkuł" mnie Juszka Gromow, przytem zupełnie bezprawnie, bo on gra tak samo, jak ja, w drugiej drużynie i zupełnie nie miał prawa rzucać się na mnie. Niech mi się tylko noga zagoi, pokażę mu, jak to się rzuca na kogoś. Tem bardziej, że mam teraz buty.

20 sierpnia.

Dzisiaj był w szkole wielki skandal. Muszę napisać wszystko pokolei, żebym sam się lepiej w tem połapał.

Było to w audytorjum na seminarjum z literatury — o Puszkinie. Zin-Pałna jeszcze przedtem

kazała nam napisać charakterystykę „Eugenjusza Oniegina“. Napisaliśmy i oddaliśmy już przed trzema dniami. (W seminarjum pracują obiedwie starsze grupy: czwarta i piąta).

Nagle dzisiaj, kiedy się wszyscy zebrali, wpada Zin-Pałna, siada z miną tajemniczą, rozkłada na stole zeszyty i arkusze i w milczeniu patrzy na nas. My na nią. Tak przeszło ze trzy minuty; wreszcie ja zacząłem pokasływać, a Wołodźka Szmerc parsknął. Wtedy Zin-Pałna powiada:

— Gdyby Aleksander Siergiejewicz Puszkin wstał z grobu, na pewno umarłby po raz drugi, gdyby przeczytał choć dziesiątą część tych nieprawdopodobnych bzdurstw, jakieście tu nabazgrali. Wprost brak mi słów. Mówiąc waszym ulubionym językiem, jest to licho wie co! A zresztą, nie; to jest coś o wiele gorszego niż licho.

Z początku siedzieliśmy cicho. Lecz kiedy usłyszeliśmy, że to jest coś „o wiele gorszego niż licho“, wybuchnęliśmy śmiechem. A Zin - Pałna mówi dalej:

— Wprawdzie nie wszyscy tak się odznaczyli. Są też niezłe wypracowania; ale to są wyjątki, które tylko potwierdzają regułę. Oto piękny przykładzik banialuków.

Otworzyła kajet i zaczęła czytać głośno:

„Puszkin był marksistą i romanistą. Z tego powodu napisał cały romans pod tytułem „Eugenjusz Oniegin“. Podkreśla tam walkę klas, jaka

była w owych czasach. Jednak Puszkin był burżujem i dlatego nie pisał o proletarjacie, tylko o burżuazji. Potem ożenił się i napisał bajkę dla szkół pierwszego stopnia pod nazwą „Bajka o królu Sałtanie i o jego robotniku Bałdzie". Potem zabili go w pojedynku i pochowali, ale „Eugenjusza Oniegina" można nawet teraz czytać".

Już dawno ryczeliśmy ze śmiechu jak warjaci, a Zin-Pałna patrzy na nas poważnie i mówi:

— Z kogo się śmiejecie? Z siebie samych? Tak powiedział Gogol, któregoście zapewne czytali tak samo uważnie, jak Puszkina.

— Czy doprawdy wszystkie wypracowania są takie, Zinaida Pawłowna? — pyta Sylwa.

— Powiedziałam już, że są wyjątki — odpowiada Zin-Pałna. — Ale to nie zmienia postaci rzeczy. Oto mam jeszcze jedno streszczenie „Oniegina", które zasługuje na to, żeby je przeczytać od początku do końca.

Znowu bierze jakiś arkusz i czyta:

„Eugenjusz był synem jednego rujnującego pana. On pojechał do swego zakątka i zobaczył, że wuj leży na stole. On zaczął się zachwycać wsią, ale później zachwycenie przeszło i on zadurzył się. Tatjana była obszarniczką. Ona czytała romanse, biła służące i nosiła gorset. Ona zadurzyła się w Onieginie i kazała niani napisać list do niego. Niania posłała swojego wnuka z listem do sąsiada. Tatjana bardzo zadurzyła się w Onie-

ginie, on był już zawsze pod poduszką, oni chodzili do biednych i razem zamartwiali się. Ale za Tatjaną ujął się poeta Leński. Leński robił wszystko na złość Eugenjuszowi, i oni się codzień bili. Raz Oniegin wystrzelił do niego z rewolwerów i odrazu zabił. Potem Tatjana wyszła zamąż za swego przyjaciela jenerała i żyła sobie nawet bardzo bogato, codzień bawiła się na balach i na dworze zwróciła na siebie uwagę. Jej mąż był kaleką. Eugenjusz znowu zobaczył Tatjanę i bardzo się w niej zadurzył. On ubierał ją w palto i rozbierał ją. Eugenjusz przyszedł do niej i oświadczył się w uczuciach, ale ona oświadczyła, że jest zamężna za jenerałem i będzie mu wierna. Na tem Eugenjusz kończył swoje opowiadanie".

— To napisała Staśka Wielopolska — krzyknął nagle Juszka Gromow. — Sam widziałem, jak pisała na tym arkuszu...

Jak tylko to powiedział, śmiech ustał. Staśka Wielopolska zerwała się, tupnęła nogą, zaczerwieniła się po uszy, chciała coś powiedzieć, ale z oczu jej popłynęły łzy — i wybiegła z audytorjum.

Nie koniec na tem.

— Widzisz, Gromow, do czego prowadzi twój niepowściągliwy język — powiedziała Zin-Pałna po chwili milczenia. — Kto cię prosił, żebyś krzyczał na całe audytorjum? W ten sposób nie wpłyniesz na Wielopolską i nie zmusisz jej do

uczenia się. Najwyżej doprowadzisz do tego, że nie będzie przychodziła do szkoły.

W tej chwili podniosła się Sylwa i mówi (bardzo mnie to zdziwiło):

— Nie, Zinaido Pawłowna, takie rzeczy trzeba omawiać publicznie; jeżeli nie będziemy zwracać na nie uwagi, to poco wogóle szkoła drugiego stopnia...

Ze wszystkich stron dziewczęta zaczęły syczeć na Sylwę, ale ona mówiła dalej:

— Widzę, że to, co mówię, nie podoba się dziewczętom, to mnie jednak nie powstrzyma. Rozumiem też doskonale, dlaczego to się nie podoba. Jeżeli ktoś woli studja teatralne, niech sobie tam idzie. Jest dużo chcących się uczyć, których nie przyjęto do szkoły. Trzeba takim ustąpić miejsca.

Dziewczęta zerwały się, zaczęły coś krzyczeć, ale był taki hałas, że nic nie można było zrozumieć. Niektóre pchały się do Sylwy z błyszczącemi oczyma — nawet jednej musiałem pogrozić pięścią. Długo nie mogły się uspokoić. Nagle Zin-Pałna jak uderzy pięścią w stół i tupnie nogą:

— Cicho być! Proszę nie zapominać, że tutaj jest szkoła.

Aż się zaczerwieniła ze zdenerwowania. A ja zauważyłem, że ona lubi tego rodzaju skandale, tylko udaje, że się gniewa.

Kiedy się już mniej więcej uspokojono, Zin-

Pałna zaproponowała wybrać przewodniczącego i otworzyć dyskusję nad tem, czy Juszka Gromow miał prawo wymienić z nazwiska Staśkę Wielopolską, czy nie.

— Schodzimy na tory osobiste — powiada Zin-Pałna — a ja proponuję, żeby sprawę postawić inaczej, mianowicie: czy w piątej grupie drugiego stopnia dopuszczalne jest takie nieuctwo, jakie się okazało w wypracowaniach o „Eugenjuszu Onieginie".

Sieriożka Blinow, który dotychczas nic nie mówił, odzywa się ze swego miejsca:

— Przyszliśmy tutaj uczyć się, a nie prowadzić dyskusje.

— Dziwi mnie to, co mówisz, Blinow — powiada Zin-Pałna. — Ty, taki zwolennik wszechstronnego omawiania każdej sprawy — nagle występujesz przeciwko dyskusji. Zresztą, jeżeli większość jest tego samego zdania, co ty, to ja cofam swój wniosek i gotowa jestem jeszcze raz opowiedzieć wam o Puszkinie i jego utworach. Jeżeli raczycie pamiętać — w zeszłym roku poświęciliśmy Puszkinowi całe dwa miesiące. Zaś sprawę Wielopolskiej trzeba będzie poruszyć na radzie szkolnej i ogólnem zebraniu szkoły.

— Nie — powiada Sylwa — to, co mówi Blinow, nikogo nie obowiązuje. Ja, naprzykład, uważam, że sprawę Wielopolskiej należy rozpatrzeć

natychmiast, i nawet musimy zaraz postanowić, jak mamy z nią postąpić.

Głosowano, i okazało się, że połowa jest za dyskusją, a połowa przeciw. Wtedy wstaje Sieriożka Blinow i mówi:

— Ja opuszczam zebranie. Tutaj zastosowany był sposób, którego zwykle używają nasi pracownicy szkolni. Przed samem głosowaniem Zinaida Pawłowna zagroziła radą szkolną i ogólnem zebraniem. Naturalnie, wobec tego jej wniosek uzyskał trochę głosów, i dyskusja się odbędzie, chociaż obecni są właściwie przeciwni temu. Tego rodzaju groźby — to przemoc i nacisk moralny. A ja nie chcę brać udziału w dyskusji, która jest nam narzucona.

— Nie można ci odmówić logiczności, Blinow — odpowiada Zin-Pałna. — Ale chyba sam się zgodzisz z tem, że takie fakty, jak wypracowanie Wielopolskiej i wybryk Gromowa nie powinny przejść bez następstw. Co więc mamy robić? Zaproponowałam sposób który dałby nam jakąś wytyczną na przyszłość — sposób, zdawałoby się — rozumny, który w dodatku został przyjęty przez część zebranych. Ty zaś powiadasz, że przyszliśmy tutaj uczyć się, a nie prowadzić dyskusje. Odwoływanie się do rady szkolnej i do ogólnego zebrania nazywasz przemocą. To mi nasuwa myśl, że — niewiadomo dlaczego — nie chcesz dopuścić do rozpatrzenia tej sprawy i że ci zależy na jej zatuszowaniu.

— A niech on się stąd wynosi—krzyknąłem.— Też mi przyjemność słuchać takich sprzeczek, albo rozpoczynajmy dyskusję, albo lekcje, a z temi głupstwami czas skończyć.

— Słusznie! — zawołano.— Wybierajmy jedno albo drugie.

Za Blinowem wyszło kilka dziewczyn, ale większość została i postanowiła rozpocząć dyskusję. Mnie wybrano na przewodniczącego.

Zająłem miejsce Zinaidy Pawłowny, która usiadła na ławce. Pierwszy poprosił o głos Juszka Gromow.

— Nie widzę nic złego w swoim postępku— powiada. — Co z tego, że powiedziałem, że to Staśka? Niech nie pisze takich wypracowań!

— A ty nie krzycz, kiedy cię nie pytają; mówisz nie o sprawie zasadniczej. Siadaj, Gromow, wywołam cię — powiedziałem.

Tutaj Juszka zaczął się rozwodzić nad tem, że ja źle przewodniczę, że nie mam prawa robić uwag; ale chłopcy krzyknęli na niego, więc usiadł. Po nim przemawiała Sylwa.

— Wiem — powiada — że moje przemówienie źle usposobiło dla mnie niektóre dziewczęta. Ale trudno. Piąta grupa ma za kilka miesięcy wstąpić do wuzów i wogóle zetknąć się z prawdziwem życiem. Co oni mogą wnieść do wuzów? Przecież tego, co nam dziś czytała Zinaida Pawłowna, nawet nie można nazwać bra-

kiem kultury; jest to poprostu chamstwo. A co najgorsze, ta sama Wielopolska nie uważa nawet za stosowne poradzić się czy to pracowników szkolnych, czy tych uczniów, którzy lepiej od niej znają przedmiot. Poprostu wzięła i napisała „raz, dwa," jak mówią nasi malcy; a nuż się uda? Mój wniosek konkretny: niech nasza piąta grupa dobrze jeszcze popracuje nad sobą i niech zlikwiduje swoje nieuctwo, zanim otrzyma maturę.

Potem przemawiał Wołodźka Szmerc. Jak tylko się podniósł, poczułem, że ma zamiar zrobić jakieś świństwo.

— Zinaida Pawłowna powiada, że Puszkin umarłby po raz drugi, gdyby przeczytał nasze wypracowania. A coby nam szkodziło, gdyby umarł? Przecież on był pochodzenia burżuazyjnego; a my jesteśmy — jak to się śpiewa w piosence — „młodą gwardją robotników i włościan".

— Kolego Szmerc, to nie należy do rzeczy. Nie odbiegaj od tematu i nie pleć głupstw, bo cię pozbawię głosu.

— Dobrze, nie będę odbiegał od tematu — mówi Wołodźka. — A więc, według mnie, Gromow miał prawo nazwać autora wypracowania o „Onieginie", bo jeśli Wielopolska w piątej grupie całemi godzinami rozmawia ze szkrabami — nawet na osobności — to jeszcze nie dowód, że jest bardzo wykształcona...

— Pozbawiam mówcę głosu—powiedziałem.—

Jeszcze tego brakuje, Wołodźka, żebyś tu rozpuszczał plotki.

Szmerc jakoś brzydko zachichotał i usiadł. A ja natychmiast dodałem:

— A jeżeli Szmerc wogóle będzie robić świństwa, to poproszę, żeby opuścił zebranie.

— Coś mi jesteś za bardzo grzeczny, Riabcew — odpowiada Wołodźka. — Widocznie chciałoby ci się wejść do rady szkolnej.

Rozzłościłem się.

— Za osobiste przytyki względem osoby przewodniczącego zechce Szmerc opuścić zebranie.

— Ja nie jestem jakaś tam „podurusza", żebym miał ni stąd, ni zowąd opuszczać zebranie.

— Co to znowu za „podurusza"? Wynoś się!

— Dobrze, pójdę sobie. A „podurusza" jest to wyraz z listów Puszkina. Radzę ci, Riabcew, przeczytać. Zlikwidujesz wtedy swoje nieuctwo.

I wyszedł. Widocznie zgóry to sobie obmyślił, żeby potem wobec wszystkich zawstydzić mnie, że nie czytałem listów Puszkina.

Potem jedna ze starszych dziewczynek przemawiała przeciwko Sylwie. Powiedziała jeszcze, że za nasze nieuctwo winę ponosimy nie my sami, a szkraby (po części zgadzam się z tem), bo nie powinni byli przepuszczać takich analfabetów do wyższej grupy. Mówiła dość pokojowo, i dyskusja skończyłaby się bez incydentów, gdyby nie zaszło następujące: do audytorjum wszedł szybko Nik-

petoż rozejrzał się i zobaczył Zin-Pałnę, siedzącą na ławce. Przysiadł się do niej i coś bardzo gwałtownie zaczął jej mówić szeptem. Zin-Pałna przecząco kiwnęła głową i też nerwowo odpowiedziała. Wkońcu wszyscyśmy umilkli i tylko spoglądaliśmy na nich oboje pytającym wzrokiem.

Nagle Nikpetoż podniósł głos i mówi w uniesieniu:

— A to jest pedagogicznie: szykanować przy wszystkich dorosłą dziewczynę i doprowadzać ją do łez i histerji?

Zin-Pałna też głośno, lecz spokojnie odpowiada:

—Tutaj nie miejsce na takie rozmowy, Nikołaju Piotrowiczu; pogadamy o tem w pokoju nauczycielskim.

— Nie, nie ma pani racji — powiada Nikpetoż i chciał mówić dalej, ale wtedy ja zebrałem całą odwagę i mówię:

— Nikołaju Piotrowiczu, chociaż ja pana bardzo szanuję, ale głosu panu nie udzielam. Jeżeli pan chce prowadzić prywatną rozmowę, musi pan pójść na korytarz. Tutaj odbywa się dyskusja.

— Ach, tutaj odbywa się dyskusja? Przepraszam, nie wiedziałem o tem — odpowiedział Nikpetoż i wyszedł z audytorjum, a za nim Zin-Pałna. Jak tylko wyszli, wszyscy zerwali się z miejsc, i chociaż stukałem długo pięścią w stół, nie mogłem przywrócić porządku. Dziewczęta wcisnęły

się do kąta i zaczęły coś szeptać między sobą. Tymczasem do mnie podchodzi Sylwa i mówi:

— Zdaje mi się, że szybkim krokiem zmierzamy do mieszczańskości. Jakby się tego ustrzec?

— A w czem ty widzisz mieszczańskość?

— Choćby ten sposób prowadzenia dyskusji. Ja sama nawet złapałam się na brzydkiej myśli: byłam pewna, że Nikpetoż przyjdzie...

— Ja też.

— Ot, widzisz; to właśnie jest mieszczańskość. Chodźmy stąd.

W pokoju szkrabów głośno się sprzeczano, a najgłośniej rozlegał się głos Nikpetoża. Malcy powiedzieli, że Staśka Wielopolska dostała ataku histerycznego i poszła do domu.

Wszyscyśmy jakoś dziwnie zamilkli.

Uważałem za najwłaściwsze iść sobie na plac futbolowy, co też zaraz uczyniłem.

24 sierpnia.

W szkole krążą uporczywe pogłoski, że wśród szkrabów nastąpił rozłam i że Nikpetoż ma zamiar opuścić szkołę. Wszystkie szkraby są jakoby po stronie Zin-Pałny; Nikpetoż został sam. Z chłopców wielu trzyma stronę Nikpetoża; dziewczęta prawie wszystkie.

Dziwnie się jakoś wszystko poplątało. Ja, naprzykład, zupełnie nie wiem teraz, co mam robić, po czyjej stronie stanąć. Sylwa wyraźnie stoi

po stronie Zin-Pałny. Powiada, że choćby Nikpetoż żywił najgłębsze uczucia dla Staśki, powinien był w imię sprawiedliwości przyznać, że w piątej grupie nie wolno pisać takich wypracowań.

Zgadzam się z nią, ale z drugiej strony bardzo lubię Nikpetoża i z zasady zawsze staję po stronie mniejszości. Wprawdzie większość uczniów jest za Nikpetożem, ale wśród szkrabów większość jest przeciw niemu, i naturalnie, oni wezmą górę; bo tak zawsze bywa, kiedy oni są w większości.

Dla mnie cała ta sprawa sprowadza się do jednego: Sylwa czy Nikpetoż. Sylwa powiada, że jeżeli stanę po stronie Nikpetoża, to dowiodę, że jestem człowiekiem bez zasad.

Nie mogę się odrazu zdecydować; trzeba to dobrze rozważyć. Dlatego postanowiłem nie przyłączać się do żadnej partji, póki nie znajdę w sobie właściwej odpowiedzi.

26 sierpnia.

Ponieważ zbliża się już początek roku szkolnego, poszliśmy oboje z Sylwą do sekretarza jaczejki, Iwanowa, dowiedzieć się, kiedy wreszcie zostaniemy prawdziwymi komsomolcami, a nie kandydatami. Iwanow odpowiedział, że sprawę tę poruszy na zebraniu jaczejki i że prawdopodobnie będziemy zatwierdzeni; głównie jednak chodzi o to,

żebyśmy byli aktywistami, bo mamy wszelkie dane po temu. Bardzo mi było przyjemnie słyszeć to. Potem Iwanow zaczął rozwodzić się nad tem, że chodzi nie o szyld i nie o nazwę komsomolca, a o to, żeby być nim w rzeczywistości. Trzeba więc przedewszystkiem postawić pracę w szkole na odpowiednim poziomie. Odpowiedziałem, że to należy do byłego sekretarza naszej jaczejki, Sieriożki Blinowa.

— Nie, z tem się nie zgadzam — odrzekł Iwanow. — Po pierwsze wasz Blinow to porządny blagier; po drugie, gdyby komsomolcy spychali całą pracę na sekretarza, to przecież sekretarz — choćby najsilniejszy — pękłby z przepracowania. Jest nieracjonalne spychać wszystko na sekretarza. Tem bardziej, że państwo daje wam możność być kulturalnymi — nie powinniście zawieść jego zaufania, lecz pokazać, że jesteście prawdziwą awangardą. Dlatego musicie sami pracować, ile sił starczy, a nie spychać wszystkiego na sekretarzy.

— Chciałam się jeszcze spytać o jedno, towarzyszu Iwanow — odezwała się Sylwa. — Wspomniał pan w tej chwili o tem, że państwo umożliwia nam zdobycie kultury. Tymczasem najinteligentniejsze z naszych dziewcząt chcą po ukończeniu szkoły pracować w fabryce. Czyż nie byłoby lepiej, żeby szły do fabryki odrazu, nie kończąc szkoły?

— A poco im fabryka — pyta Iwanow. — Co będą tam robić?

— Pracować, rzecz prosta — odpowiada Sylwa — ale przedewszystkiem chodzi im o to, żeby zlać się z klasą robotniczą.

— Co-o-o? — pyta ze zdziwieniem Iwanow.

— Zlać się z klasą robotniczą; z proletarjatem.

— To nie jest rzecz łatwa pracować w fabryce po ukończeniu szkoły drugiego stopnia. A przytem w fabryce zaczynają od wyrostków.

— Takie trudności można pokonać.

— Bezsprzecznie można. Myślę, że waszym panienkom przydałoby się trochę poharować—odpowiedział Iwanow. — Ale czy to będzie racjonalne? To znaczy, czy to będzie racjonalne z punktu widzenia zużycia energji. Bądź co bądź, państwo wydało na was wielkie sumy w tym celu, żeby wasze wiadomości specjalne były potem wykorzystane. A tymczasem wy rzucacie wpół drogi cały ten dobytek i chcecie się zająć czem innem. To znaczy, że trzeba nowej energji dla przyzwyczajenia się do nowej pracy. A skąd państwo weźmie tę energję? Prócz tego mamy dużo bezrobotnych, nawet wykwalifikowanych; ich musimy przedewszystkiem zatrudnić. Pocóż więc mamy tracić czas, pieniądze i wogóle energję na to, żeby was na nowo uczyć? Poco mamy rzucać, do djabła, to wszystko, co się już na was wydało?

Nie, towarzysze; to nie ma sensu. Potrzebni są lekarze, nauczyciele, inżynierowie, technicy. A skąd ich brać, jeżeli nie ze szkoły drugiego stopnia lub z siedmioletniej? Trzeba więc narazie wyrzec się pracy w fabryce.

— A więc zupełnie nie wolno nam teraz iść do fabryki?

— Niezupełnie — odpowiedział Iwanow. — Przy pewnej wytrwałości będzie się można dostać — jeżeli nie do naszej, to do innej. Musicie jednak wyjaśnić sobie jedno: czy to jest racjonalne. Przecież jesteście ludzie uświadomieni, a nie jakieś tam manekiny bezduszne i na pewno rozumiecie, jak ciężkie jest położenie państwa sowieckiego; nie powinniście stwarzać nowych trudności.

Zapytałem, jak Iwanow wyobraża sobie naszą pracę w szkole i cośmy powinni robić, żeby praca stała na odpowiednim poziomie.

— W szkole tymczasem żadnej pracy nie prowadzicie — odpowiedział Iwanow. (Aż mi się przykro zrobiło). — Przynajmniej nie widać żadnych rezultatów. Pracować naprawdę zaczniecie wtedy, kiedy skończy się gadanie, a zabierzecie się do czynu.

Zapytałem, co, naprzykład, moglibyśmy robić ja i Sylwa.

— Czy macie już organizację pionierów? — zapytał Iwanow.

— Owszem; pionierzy składają uroczyste

obietnice, maszerują, noszą krawaty, biorą udział w demonstracjach, potem...

— Właśnie o to chodzi; noszą krawaty... A tymczasem teraz we wszystkich szkołach tworzą się forpoczty pionierów z tych uczniów, którzy nie pracują w szeregach. Forpoczty mają przyciągać szkołę do życia społeczno-politycznego, mają organizować samorząd, pomagać nauczycielom nawet przy nauczaniu; prócz tego kierują wychowaniem politycznem, fizycznem i wprowadzają do szkoły duch antyreligijny. Czyż mało jest pracy? Możecie więc i wy zorganizować u siebie taką forpocztę.

Po tej rozmowie poszliśmy do domu.

27 sierpnia.

Odbył się nade mną sąd w sprawie Pyszki.

Było bardzo uroczyście. Na przewodniczącego wybrano Sieriożkę Blinowa. Długo się wymawiał, wkońcu zgodził się niechętnie. Oskarżycielami byli: Almakfisz i Ninka Fradkina; a obrońcami — Nikpetoż i Sylwa.

Na jednej ławce usiadłem ja — na drugiej Pyszka. Potem wybrano dwunastu przysięgłych: sześciu chłopców i sześć dziewczyn. Kiedy zobaczyłem między przysięgłymi Wołodźkę Szmerca, Juszkę Gromowa i kilku ich przyjaciół, zrozumiałem, że źle jest ze mną.

Posiedzenie sądu otworzył Sieriożka Blinow. Powiada:

— Sąd rozpatruje sprawę Kosti Riabcewa, oskarżonego o to, że zorganizował niedopuszczalną w szkole zabawę z poszkodowaną Heleną Orłową. Kostia Riabcew, czy przyznajesz się do winy?

— Do jakiej winy? — zapytałem. — Do tego, że się bawiłem — tak. Ale nie widzę w tem przestępstwa. Wszyscy ją pchali.

— Co za wszyscy?

— Wszyscy chłopcy.

— Ale ty byłeś przywódcą i inicjatorem.

— Zupełnie nie.

— Więc kto według ciebie był inicjatorem?

— Nikt. Poprostu wszyscy pchali.

— Ale w zabawach bywają przywódcy; naprzykład, kapitan w drużynie futbolowej.

— Futbol jest to gra zorganizowana, a to — niezorganizowana.

— Dobrze. Tymczasem dosyć. Lena Orłowa, czy uważasz się za poszkodowaną?

Pyszka milczy.

— No, co, Orłowa? — pyta Sieriożka tonem oficjalnym. — Czekamy.

— On mi dawał sera — cichutko zapiszczała Pyszka.

Wszyscy w śmiech. Sieriożka dzwoni i mówi:

— Publiczność, proszę się zachowywać przyzwoicie; inaczej poproszę o opuszczenie sali. —

A więc, Orłowa, czy uważasz się za poszkodowaną?

— Ależ nie—krzyknął Kolka Pałtusow z pośród publiczności — ona przyznaje się tylko do tego, że jej dawał sera.

— Pałtusow, jeszcze jeden okrzyk, a będziesz musiał opuścić salę posiedzeń. — A więc, Orłowa, było ci przyjemnie, kiedy cię pchał?

— Nieprzyjemnie — zapiszczała Pyszka.

— Więc dlaczego nie zwróciłaś się do dyżurnego szkrr... pracownika szkolnego.

— Bo się bałam.

— Czego?

— Tak, czego! — piszczy Pyszka. — Jeszczeby mnie wytłukli!

Znowu wszyscy wybuchnęli śmiechem, a Sieriożka powiada:

— Głupstwa pleciesz, Orłowa. Widziałaś kiedy, żeby w naszej szkole chłopcy bili dziewczęta?

— Ojej! Ile razy!

— Ja spytam się o jedno — odezwała się Zin-Pałna, siedząca wśród publiczności. — Chciałabym wiedzieć, Orłowa, dlaczego o tych bójkach nie powiadomiono nigdy pracowników szkolnych i dlaczego wogóle nikt o tem nie wie.

— Bo to taka zabawa — odpowiada Pyszka.—Czasami znowu dziewczynki biją chłopców.

— No, tymczasem dosyć, Orłowa — powia-

da Sieriożka Blinow. — A teraz świadkowie. Sąd wzywa tymczasem jednego świadka, obywatelkę Kaurową, która była tego dnia dyżurnym szkrr... pracownikiem szkolnym. Jelena Nikiticzna, co pani może powiedzieć o tej sprawie?

— Mogę powiedzieć — mówi Jelnikitka — że Riabcew — chłopiec amoralny — niewątpliwie stał na czele szajki, która napadała na Orłową. To, co on i Orłowa nazywają zabawą, nie jest żadną zabawą, lecz świństwem. Jest to rzecz niedopuszczalna w szkole. Gdyby nie było tam Riabcewa, jeszczeby można było przypuścić, że to są niewinne figle dziecinne. Ale o Riabcewie mamy inne wiadomości.

— O innych wiadomościach teraz mówić nie będziemy — powiedział Sieriożka. — Kto jeszcze chce złożyć zeznanie?

— Ja — mówi Kolka Pałtusow.

— Co możesz o tem powiedzieć? Tylko mów prędzej

Wtem wstaje Sylwa:

— Protestuję przeciwko temu, że przewodniczący nagli świadków.

— Dobrze, dobrze — powiada Sieriożka — niema poco tyle gadać! Mów, Pałtusow.

— Otóż — powiada Kolka — ja też brałem udział w tej zabawie i nie rozumiem, dlaczego sądzi się tylko Riabcewa. Było to zwykłe dokazywanie, i jeżeli za takie rzeczy oddaje się pod

sąd, to trzebaby było oddawać całą szkołę kilka razy dziennie. Niech sobie szkraby przypomną swoje lata dziecinne, a nawet czasy szkoły drugiego stopnia...

— Mów „pracownicy szkolni" — poprawił Sieriożka.

— Niech będzie „pracownicy szkolni". Nawet z literatury wiemy, jak się oni bawili. Tylko że dawniej im wszystko wolno było, i nauczyciele starej szkoły za figle walili i tłukli dzieci; a ponieważ teraz nie mają już takiej władzy, więc wymyślili sąd...

— Sądu nikt nie wymyślił — surowo przerwał Sieriożka. — Sąd jest to zorganizowana forma społeczności sowieckiej. No, dosyć, głos teraz mają oskarżyciele. Aleksandrze Maksimowiczu, proszę...

A Almakfisz niespodziewanie oświadcza:

— Zrzekam się głosu, ponieważ sprawa jest zupełnie jasna.

Wszyscy ze zdziwieniem spojrzeli na niego. Potem zabrała głos Ninka Fradkina — drugi oskarżyciel:

— Ja — powiada — żądam jak najsurowszej kary dla Kosti Riabcewa np.wypędzenia go ze szkoły. Dlatego, że on nigdy nie trzyma rąk przy sobie i nie może przejść obok dziewczynki, żeby nie huknąć jej w plecy...

— Samaś mnie w zeszłym tygodniu pociągnęła za włosy — powiadam.

— Podsądny, będziesz miał głos później, a teraz siedź cicho — powiada Sieriożka.

— Ja ciebie tylko jeden raz, a ty mnie — ile razy? — mówi Ninka. — A przytem to on zawsze urządza pchanie Leny Orłowej. Oni powiadają, że im się podoba, kiedy ona piszczy. A może im się też podoba, kiedy ja wrzeszczę albo biję ich pantoflem po twarzy, to i mnie też będą pchać. Przecież to świństwo, jeżeli zaczną pchać wszystkie dziewczęta. Dlatego żądam, żeby dla przykładu ukarano Riabcewa, jeżeli już nie przez wypędzenie go ze szkoły, to niech mu się da do rozwiązania sto zadań z matematyki, żeby wszystkie przerobił w ciągu jednego tygodnia.

— Zadawanie lekcyj nie może być karą — powiada Sieriożka. — A teraz mówić będą obrońcy; czy ty, Dubinina, będziesz pierwsza?

— Mogę być ja — mówi Sylwa i zrywa się z miejsca. Patrzę na nią i ledwo ją poznałem: oczy błyszczą, włosy się rozpuściły.

— Jeżeli — powiada — Riabcew ma być wypędzony ze szkoły, to trzebaby wypędzić i wszystkich pozostałych chłopców. Niech zostaną same dziewczęta. Przecież Fradkina, która oskarżała Riabcewa, i inni rozumieją doskonale, że winnym jest nietylko on sam, lecz wszyscy. Zawsze dokazujemy i na korytarzu i w sali, i nigdy niewiadomo, kto dokazuje i kto kogo bije. Zdaje się, że przeciwstawiamy się tutaj ideologji władzy sowiec-

kiej, która wprowadziła wspólne nauczanie dlatego, żeby wyzwolić kobietę i zrównać ją w prawach z mężczyzną. Możliwe, że Riabcew częściej niż inni puszcza w ruch ręce, ale z tego nie wynika, żebyśmy psuli ustalony przez rewolucję porządek i oddzielali chłopców od dziewcząt. Dlaczego mnie nikt nie prześladuje ani czułościami, ani biciem? Dlatego, że ja nie chcę tego i na to nie pozwolę. To samo jest z innemi. Zamiast wyroku na Riabcewa proponuję, żeby sąd wydał wyrok na wszystkie dziewczęta, które lubią takie figle, a prócz tego proponuję wydalić ze szkoły innych...

— Teraz Nikołaj Piotrowicz — powiada Sieriożka.

— Właściwie po mowie Dubininej nie mam już nic więcej do powiedzenia—mówi Nikpetoż.— Mogę tylko dodać następujące. W każdym człowieku walczą dwa pierwiastki: dobry i zły W swoim czasie ludzie wcielili to w kontrasty. Bóg i djabeł: światło i mrok i t. d. Nawet w literaturze widzimy odbicie tego. Naprzykład, jest dramat Szekspira pod tytułem „Król Henryk". Tam mówi się o tem, jak książę Henryk zaprzyjaźnił się z pijakiem i rozpustnikiem Falstafem, jak razem napadają na przechodniów, hulają i t. d. Aż wreszcie Henryk zostaje królem; Falstaf udaje się do niego, myśląc, że teraz Henryk wynagrodzi go za wszystko i że znowu zacz-

ną hulać bez miary — ale grubo się myli. Henryk z trudem przypomina sobie Falstafa — jak ciężki, upiorny sen... Ot, co to znaczy: w każdym człowieku tkwią Henryk i Falstaf. Czasem — zwłaszcza w młodości — górę bierze Falstaf, ale jak tylko człowiek poczuje się odpowiedzialnym— zwycięża Henryk, i falstafszczyzna staje się dla niego minionym ciężkim snem. Teraz chcecie potępić postępek Riabcewa, w którym — zgadzam się pod tym względem z Dubininą — niema nic szczególnego: zwykłe figle szkolne. Ale przypuśćmy nawet, że u Riabcewa to jest falstafszczyzna: na pewno ulotni się ona jak dym. A tymczasem wyrok skazujący popchnie Riabcewa do wręcz przeciwnego. A przecież Riabcew ma więcej z księcia Henryka niż z Falstafa, chcę powiedzieć: więcej dobrego niż złego.

Wtem zrywa się ze swego miejsca Almakfisz:

— Proszę o głos! — woła. — Ja, jako oskarżyciel, mam prawo odpowiedzieć obrońcy. Nikołaj Piotrowicz mówił nam tutaj o dobrem i złem i o tem, że Riabcew ma więcej pierwiastków dobrych niż złych. Ja zaś stanowczo twierdzę, że jakościowo postępek Riabcewa stoi poza dobrem i złem, a ilościowo dowodzi bogactwa epoki. Skończyłem.

Nikt nie zrozumiał, co chciał przez to powiedzieć.

(A Nikpetoż bardzo lubi Szekspira i przy każdej sposobności wyjeżdża z nim).

— A teraz ostatnie słowo podsądnego — powiada Sieriożka Blinow.

— Nie będę się usprawiedliwiać — powiedziałem. — Jestem niewinny, i wszyscy o tem wiedzą, i gdybym się tłumaczył, tem samem broniłbym tej komedji, jaką tutaj gramy. Chcę jednak coś powiedzieć. Tutaj i Nikołaj Piotrowicz, i Aleksander Maksymowicz mówili o dobrem i złem. A przecież z politnauki wynika, że niema żadnenego dobra i zła i że wszystko zależy od stosunków ekonomicznych; pojęcia zaś: dobro i zło — to idealizm. Ja, naprzykład, uważam, że nie jestem ani dobry, ani zły. Kiedy jestem syty — tom dobry, a kiedy głodny — tom zły — a jeżeli ktoś mnie zaczepi, to go mogę wyłupić. Ot, i wszystko.

Przysięgli wyszli i naradzali się akurat pięć minut. Coś mnie ścisnęło za serce. A co będzie, jeżeli mnie naprawdę wyleją ze szkoły? Ale Wołodźka Szmerc przeczytał:

— ...zwrócić Riabcewowi uwagę na jego niewłaściwe zachowanie i kazać zaprzestać tych figlów, a Orłowej i innym dziewczętom zwrócić uwagę na to, żeby nie pozwalały na poufałości.

A więc stało się tak, jak chciała Sylwa.

28 sierpnia.

Ukazała się nowa gazeta ścienna bez numeru i bez podpisów pod tytułem „Za Nikpetożem".

Ponieważ dotychczas nie zdecydowałem się, do jakiej partji mam się przyłączyć, więc nietylko nie biorę udziału w tej gazecie, lecz nawet nie wiem, kto ją wydaje. Sylwa też nie wie.

Jest tam taki artykulik:

Medycyna. — Walka ze świerzbą języka.

Profesor I. I. Durakow wynalazł sposób leczenia świerzby języka, która w ostatnich czasach przybrała zatrważające rozmiary, stała się istną epidemją. Znakomity filar świata lekarskiego, który, mówiąc nawiasem, otrzymał w tych dniach nagrodę Nobla w postaci dwóch kwaszonych ogórków — poświęcił walce ze wspomnianą chorobą mniejszą połowę swego życia. I. I. Durakow odkrył bakcyl świerzbv języka, który się rozpowszechnia przez ukąszenie głuptotasa przy silnie rozwiniętym próżniakosie. Nasz czcigodny uczony z całem poświęceniem zaszczepił sobie ten bakcyl, wskutek czego zaczął pleść tysiące słów na godzinę; z tego 120% najohydniejszych niedorzecznych plotek. Bohaterska wytrwałość uczonego doprowadziła do wynalezienia środka przeciwko tej chorobie. Środek ten, składający się z wyciągów

z Kautsky'ego i innych autorów marksowskich, został nazwany „antiplotkarina".

Poleca się zażywać w chwilach wolnych od zajęć oraz przed snem.

Prócz antiplotkariny profesor Durakow poleca jeszcze następujący sposób leczenia tej strasznej choroby: chory, który jest na kuracji, chcąc osiągnąć dobry rezultat (obniżenie produkcji bakcyla do 25 ploteczek na minutę), musi bez przerwy rozważać następujące sprawy:

1) porównanie podpalenia Moskwy w 1812 roku z podpaleniem regulaminu szkrabów, dokonanym w naszej szkole,

2) wspólne i odrębne cechy: łódki motorowej marynarki, gwoździa oraz nabożeństwa żałobnego,

3) problemat zapalania papierosów o świecące łysiny (trzeba dowieść matematycznie).

W wywiadzie, udzielonym naszemu reporterowi, profesor Durakow oświadczył, że odkrył bacyl świerzby języka wtedy, kiedy noty Curzona przekroczyły rozmiar świątecznego numeru Timesa. Po pojawieniu się wypadków tej choroby w SSSR profesor przyjechał do Rosji dla specjalnych badań i natrafił na naszą szkołę, gdzie w tych dniach rozpocznie leczenie chorych.

Przygotowano już kilka tonn terpentyny do smarowania języków.

Wszystko to jest piękne i zupełnie z tem się zgadzam, ale codzień cięższą staje się dla mnie walka wewnętrzna: za Nikpetożem czy przeciwko niemu. Krążą pogłoski, że Nikpetoż ostatecznie nieodwołalnie opuszcza szkołę. Bez niego będzie pusto...

Powiedziałem Sylwie o swoich wahaniach; ona powiada, że jej jest przykro, lecz że zasadę trzeba zawsze stawiać ponad wszystko. Prócz tego Sylwa mówi, że jak wiadomo, osobistość nie gra w historji żadnej roli. — Tak, to prawda.

29 sierpnia.

Wreszcie zdecydowałem się i zwróciłem wprost do Nikpetoża.

— Nikołaju Piotrowiczu — pytam — co należy zrobić wtedy, kiedy sprawa osobista staje w sprzeczności z ogólną?

— Wybrać ogólną — odpowiedział Nikpetoż.

— Ma pan słuszność. Dlatego ja nie mogę należeć do partji, która broni pana; choć jest mi bardzo przykro, będę musiał przyłączyć się do przeciwników pana.

— Poco te partje — powiada Nikpetoż, jak mi się zdawało, z wielkim bólem. — Wiem, że ja... nie miałem racji; dlatego opuszczam szkołę. Była chwila, kiedy sprawę osobistą postawiłem ponad ogólną...

O mało nie zapłakałem. Na tem rozmowa się skończyła.

30 sierpnia.

Jesteśmy już komsomolcami — ja i Sylwa. Wszystkie instancje nas zatwierdziły. Polecono nam zorganizować w szkole forpocztę pionierów Jest to nasza pierwsza praca partyjna.

Dzisiaj dowiedzieliśmy się, że Nikołaj Piotrowicz Ożegow ostatecznie opuszcza szkołę. Będę przychodzić do niego do domu.

1 września.

Wybrano mnie do rady szkolnej z ramienia forpoczty.

Pionierzy podrzucali mnie do góry. Nie rozumiem, za co nasi malcy tak mnie lubią.

Niech żyje nasza forpoczta!

Cena 20 h

25 –